

PRZERAŻAJĄCA HISTORIA
OPĘTANEGO SZALEŃSTWEM PSEUDONAUKOWCA

MAX
CZORNYJ
MENGELE

Anioł Śmierci z Auschwitz

FILM

The poster features a black and white photograph of a man in a military-style cap, looking directly at the camera. He is positioned behind several strands of barbed wire that crisscross the foreground. The entire image is heavily splattered with red blood, creating a graphic and disturbing visual. The background consists of vertical grey and white stripes.

**MAX
CZORNYJ**

MENGELE

FILIA



*Pamięci ofiar przeszłości,
by uniknąć ofiar teraźniejszości*

*Doktor widząc, iż mu się lekarstwo udało,
Chciał go często powtarzać; cóż się z chorym stało?
Za drugim, trzecim razem bardzo go osłabił,
Za czwartym jeszcze bardziej, a za piątym zabił.*

I. Krasicki, *Doktor*

1.

– Na lewo, na prawo, na lewo, na prawo...

Może mamroczę te słowa, a może rozbrzmiewają one jedynie w moim umyśle. Nie zastanawiam się nad tym. Niczym dyrygent wymachuję dłonią, wskazując kolejnym ślaniającym się cieniom, dokąd mają iść. Ani ich błagalne miny, ani spuszczone spojrzenia zabiedzonych zwierząt nie mają znaczenia. Dzisiejszy transport jest dość liczny, by nie zważać na szczegóły. Ci, którzy mają umrzeć, i tak umrą. Von Werger lub ten dureń Schmitz wypatrzą tych, którzy powinni umrzeć już dzisiaj. Ja mam jedynie przyjemność zapoznania się z materiałem do swoich badań.

To niezły sort. Przynajmniej jak na ostatnie warunki. Skinieniem głowy daję znać adiutantowi, aby podał mi dokument, i nie przestając wymachiwać prawą dłonią, biorę kartki do drugiej. Transport niedobitków z krakowskiego getta. Najwidoczniej albo tym ludziom przysługiwały zbyt duże racje żywnościowe, albo potrafili o sobie nader dobrze zadbać. Warto będzie się tego dowiedzieć. Ciekawość zawsze trzeba zaspokajać.

Podnoszę wzrok i cicho pogwizdując przez zęby, przyglądam się kolejnym osobom. Grupa przygarbionych kobiet nie ma siły, by szlochać, dwóch telepiących się starców płochliwie rozgląda się wokół – ich obu kieruję na lewo, potem cały sznur ośmio-, może dziesięcioletnich chłopców – trudno ocenić, bo cierpienie nie tylko uszlachetnia, ale znacznie szybciej postarza. To myśl warta zapisania.

Oddaję dokument adiutantowi i przestępuję z nogi na nogę. Nieustannie pogwizduję. Mahler, Haendel, teraz czas na Schuberta. Nie znoszę Wagnera. Jest zbyt poważny i diabelnie pompatyczny. Od życia należy oczekiwać czegoś więcej. Doskonale wiedział o tym Wilhelm Bach, ale przez to wybiegł zbyt daleko przed szereg. A tego stanowczo nie należy robić. Nigdy. Nigdzie.

Uśmiecham się sam do siebie, lecz niemal natychmiast z zamyślenia wyrywa mnie zamieszanie. Podnoszę głowę i spoglądam na drobną nastolatkę w szarej sukience oraz granatowej chuście przewiązanej na głowie. Dziewczyna ma pociągłą twarz, prosty nos i ciemne, niemal czarne worki pod oczami. Musiałem skierować ją na lewo, bo odłączyła się od głównej kolumny. Mimo to zatrzymała się w nieprzepisowym miejscu. Żywiołowo gestykułuje, wskazując w drugą stronę, ku ocalałym.

– Błagam, proszę... – skomli, załamując dłonie. – Pozwólcie jej iść razem ze mną! Błagam, panie oficerze...

Mrużę oczy, ale nadal milczę. Przypatruję się sytuacji.

Nie masz pojęcia, o co prosisz. Chcesz, aby ktoś poszedł tam, dokąd skierował cię twój los. Nie możesz jednak wiedzieć, że przypadł ci w udziale nędzny koniec w krematorium. Za godzinę lub dwie staniesz się jedynie obłokiem gazowym, oparem, który twoja przyjaciółka lub krewna, niczego nieświadoma, wciągnie do płuc. Może nawet ktoś jej wyjaśni, że miała ogromne szczęście, i będzie się delectowała każdym kolejnym oddechem. A może chciałabyś, aby umarła wraz z tobą? Tego chcesz?

Myślę o tym, a uśmiech nie znika z moich ust. Takich sytuacji jest zaskakująco niewiele. Oczywiście zdarzają się kilkukrotnie w ciągu każdego rozładunku, ale udało się już opracować właściwe procedury. Auschwitz nie przewiduje przestojów. Auschwitz to fabryka.

– Tam jest moja siostra! – Nastolatka pada na kolana i błagalnie unosi dłonie. – Proszę... Całe życie byliśmy razem.

Klaus sięga do kabury, gotów wyjąć pistolet i zastrzelić dziewczynę. Być może sam bym to zrobił, jak wielokroć czyniłem przy poprzednich okazjach, lecz coś przykuwa moją uwagę. Zerkam w stronę, w którą wskazuje pyskata Żydówka, i od razu wiem, w czym rzecz. Druga dziewczyna jest ubrana całkowicie inaczej, w grubą, kraciastą spódnicę, na którą narzuciła podarty płaszcz, a jej potarganych włosów nie kryje chusta. Do tego wydaje się zupełnie obojętna na wszystko, co dzieje się wokół. Mimo to podobieństwo jest uderzające. Nie mogę się mylić.

Robię krok w stronę rampy i zakładam dłonie za plecy. Przez chwilę przyglądam się obu nastolatkom, wreszcie zwracam się do tej skomlającej:

– Jesteście bliźniaczkami?

Dziewczyna dostrzega cień nadziei i energicznie kiwa głową. Z jej oczu płyną łzy.

– Tak, tak, panie oficerze... To moja siostra bliźniaczka. Mam na imię Anna, a ona...

– Akurat wasze imiona całkowicie mnie nie interesują – przerywam jej, uśmiechając się jeszcze szerzej. Klaszczę, po czym zacieram dłonie. – Dołącz do niej – nakazuję. – Obie idziecie na prawo.

„Wielu twierdzi, że wolałoby umrzeć niż trafić w moje ręce” – dodaję w myślach. Tymczasem dziewczyna co rusz się pochyła i kłaniając się, gorąco mi dziękuje. Jej siostra spogląda na nią bez żadnych emocji.

A to ciekawy przypadek. A ciekawość... Tak, tak. Ciągłe to powtarzam. Ciekawość należy zawsze zaspokajać.

– Zapiszcie ich numery i oddajcie do mojej dyspozycji – nakazuję adiutantowi.

Anna oraz Irmina. Pacjentki. Obiekty. Numery. Instrumenty mające przysłużyć się rozwojowi nauki oraz ludzkości jako takiej. Nigdy nie należy się zawęzać. Człowiek rozumny nie dąży do osiągnięcia własnych celów, ale do pozostawienia po swoim życiu śladu w historii. To całkowicie naturalne. Każdy, kto uważa inaczej, albo jest naiwny, albo nie powinien nosić miana człowieka.

– Walter – zwracam się do swojego asystenta. – Czy wszystko jest już gotowe?

– Tak, panie doktorze.

– Nie mamy dziś zbyt wiele czasu. W południe rozpoczynam kolejny przegląd.

– Z pewnością skończymy wcześniej.

Świetnie. Ale czy mogę mu zaufać? Już dwukrotnie przez jakieś zaniedbania musiałem się śpieszyć, a cholernie tego nie lubię. Spoglądam w niebieskie, ponure oczy Waltera i przez chwilę mierzę go wzrokiem. Spuszcza spojrzenie, lecz nie zamierza się wycofywać ze swoich słów.

– Dobrze. – Kiwam głową. – Wierzę, że wszystkiego dopilnujesz.

Wstaję od biurka i nakładam śnieżnobiały kitel. Sięgam po parę rękawiczek leżących na blacie, po czym szybkim krokiem kieruję się ku drzwiom. Czuję, że skupiłem na sobie całą uwagę dwóch sekretarek oraz Waltera. Mam trzydzieści trzy lata i nie zamierzam umierać. Jeszcze nie.

Anioł Śmierci. Doszły mnie słuchy, że w ten sposób mówią o mnie nie tylko więźniowie, ale również moi podwładni. Nie przeszkadza mi to. Jasne, wolałbym być bogiem, ale po prawdzie wszelkie teologiczne dysputy w ogóle mnie nie interesują. Wiem, że jestem wieczny, tak jak wieczny będzie mój wkład w rozwój nauki. Pozostanę na zawsze w moich czynach oraz dziedzictwie. To górnotne? Nie, po prostu prawdziwe.

Uśmiecham się przyjaźnie do jednej z sekretarek. Macham do niej dłonią, po czym szybko wychodzę na korytarz. Słyszę, że Walter podąża tuż za mną. Podkute obcasy jego butów stukoczą niemal w tym samym tempie co moje. Ten młokos pragnie być moim cieniem, uczniem i naśladowcą. Rozumiem go, bo również miałem swoich mistrzów. Ba, mam ich nadal.

W takich chwilach zawsze staje mi przed oczami twarz doktora Ernsta Rüdina. Musi być ze mnie diabelnie dumny. W uszach niezmiennie dźwięczą mi wciąż powtarzane przez niego słowa: „Każda osoba niewidoma, głucha, każdy epileptyk oraz schizofrenik może być wysterylizowany...”[1].

– Pośpiesz się. – Nie odwróciwszy się, rzucam do Waltera. Po chwili dodaję uprzejmym tonem: – Proszę. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Przyśpieszam, a Walter natychmiast mnie dogania. Niemal ramię w ramię wpadamy do jasnego, niewielkiego pomieszczenia w rogu baraku. Unosi się w nim intensywny zapach środków czyszczących oraz spirytusu, mimo to wyczuwam słodkawy aromat krwi.

– Dzień dobry. – Kłaniam się stojącej na baczność pielęgniarce. – Proszę spocząć.

To nowa dziewczyna, o rudych włosach i zielonych oczach. Zawsze fascynowało mnie to rzadkie połączenie. Czy barwy w jakiś sposób się uzupełniają? Czy mają znaczenie dla funkcji mózgu? W końcu jeżeli przez całe życie spoglądamy w lustrze na takie połączenie kolorów, wtedy... Nie czas na te rozważania.

Odrywam wzrok od kobiety i odwracam się ku dwóm stalowym łóżkom. Leżą na nich Anna oraz Irmina, bliźniaczki, które przybyły do Auschwitz przed trzema dniami. Są przywiązane skórzanymi pasami tak, że mogą poruszyć jedynie stopami oraz dłońmi. Ta pyskata awanturnica, Anna, ma zaczerwienione oczy pełne łez.

– Proszę – jęczy na mój widok. – Proszę...

Jej siostra jest całkowicie spokojna. Ma nieobecne spojrzenie, lekko rozwarte usta i zaróżowione policzki, jakby trawiła ją gorączka. Spogląda gdzieś w sufit lub znacznie wyżej. W niebo.

– Dzień dobry paniom. – Uśmiecham się do bliźniaczek. – Mamy przyjemność ponownie się spotkać.

– Błagam... – powtarza Anna. – Niech pan nie robi nam krzywdy.

– Krzywdy? Ależ skąd. – Odwracam się do pielęgniarki i przywołuję ją dłonią. – Na początek proszę im zmierzyć temperaturę, dobrze? W naszych badaniach powinniśmy być bardzo staranni. Musi pani o tym zawsze pamiętać. Pod moim kierownictwem szybko złapie pani właściwy rytm.

– Co się z nami stanie? Co pan chce zrobić? – dopytuje bliźniaczka.

– Niech nas pan wypuści, proszę...

– Wypuszczę was już niebawem. Obiecuję.

3.

Spoglądam na wypełniony przez pielęgniarkę formularz. Kobieta przedstawiła się jako Maria Rilche i ma drobne, lecz ładne pismo. Wszelkie adnotacje potrafię odczytać bez najmniejszego problemu. To ważne. Nie marnuję przez to czasu jak przy tej poprzedniej bałaganiarce. Musimy pracować szybko, dokładnie i porządnie. Staram się tego nauczyć wszystkich współpracowników. Tych, którzy tego nie rozumieją, szybko się pozbywam.

– Ich temperatura różni się o dziewięć dziesiątych stopnia – zwracam uwagę. – Myślałem, że ta spokojniejsza jest po prostu chora, ale ciepłota jej ciała jest całkowicie w porządku. To ta pyskata przekroczyła normę... Może to skutek pobudzenia, a może pobudzenie jest skutkiem gorączki. Na wszystko można spojrzeć z dwóch perspektyw.

Pielęgniarka oraz Walter patrzą na mnie z zaciekawieniem. Mimo to nie kontynuuję tego wątku. Świat wypełniają miliony pytań i nie ma sensu usiłować szukać odpowiedzi na każde z nich. Należy się skupić na konkretnych zagadnieniach i nie rozmieniać się na drobne. Na to może przyjdzie jeszcze pora.

– Przygotujcie wszystko do znieczulenia.

– Miejscowego? – dopytuje panna Rilche. Najwidoczniej już zapoznała się z zasadami i dziwi ją, że w ogóle zamierzam kogokolwiek znieczulać.

– Nie. Całościowego.

Na moje słowa Anna wybucha płaczem. Co znacznie bardziej ciekawe, jej siostra bliźniaczka zaczyna cicho szlochać. Spoglądam na te podobne, a jednocześnie różniące się kolorami twarzy. Na policzki pyskatej wystąpiły czerwone, niemal fioletowe pąsy.

– Proszę się nie martwić – zwracam się do niej uprzejmym tonem. – Wszystko odbędzie się bardzo sprawnie. A co najważniejsze: bezboleśnie.

– Nie chcę umierać... Ja... My... Mamy czternaście lat! Tylko czternaście lat...

– Pamiętam czasy, gdy byłem w tym wieku.

Wcale nie kłamię. Rzeczywiście pamiętam, jak miałem czternaście lat, ale za nic w świecie nie chciałbym przenieść się do tamtej epoki. Wtedy jedynie marzyłem o tym, by stać się „kimś”, a teraz mam w swoich rękach życie tysięcy ludzi.

Głaszczę Annę po włosach i się uśmiecham. Gdy pielęgniarka robi jej zastrzyk, spoglądam jej prosto w oczy. Cicho, niemal bezgłośnie zaczynam odliczać. Dziewczyna wbija spojrzenie w moje usta, a jej wzrok staje się mętny. Jeszcze przez chwilę coś cicho bełkocze, ale już nie po niemiecku, lecz chyba po polsku. Wreszcie zamyka oczy i zasypia. Jej siostra, jakby na dany sygnał, wybucha płaczem. Dotychczas niemal zupełnie spokojna, traci nad sobą panowanie.

Usiłuje się rzucać, szarpie skórzane pasy i trzęsie łóżkiem. Jest prawidłowo skrępowana, więc jej korpus pozostaje nieruchomy.

– Śpij, moja droga... – szepczę. – Śpij spokojnie... Niewiele osób dostało zaszczytu całkowitego znieczulenia. Ten środek znacznie bardziej przydałby się naszym chłopcom na froncie, a nie wam. Żydowskie bydłota.

„Dlaczego?” – to pytanie zastyga na ustach Irminy w momencie, gdy jej twarz się rozluźnia, a oddech całkowicie się uspokaja.

– Dlatego, że aby połączyć wasze żyły, nie możecie się poruszyć choćby o milimetr – mówię ni to do siebie, ni do niej. Skinieniem dłoni przywołuję Waltera. – Zaczynamy.

4.

Operacja Irminy i Anny przebiegła pomyślnie. O ich rekonwalescencji informowano mnie na bieżąco przez kolejne dni. Nie odwiedzałem niewielkiej, jasnej sali bloku szpitalnego, w którym je umieściłem. Chciałem się zaskoczyć. Chciałem zobaczyć konkretny rezultat swojej pracy, a nie jedynie połowiczne jego elementy. Codziennie sprawdzałem jednak wszelkie raporty oraz prosiłem o oddzielne meldunki w sprawie bliźniaczek. Od niemal tygodnia Walter mówił o nich z ukontentowaniem, nie kryjąc błysku podekscytowania w oczach. Jednak dziś dostrzegam w tonie jego głosu niepokój.

– Za moment opowiesz mi wszystko ze szczegółami – nakazuję cicho. – Pozwól mi dokończyć obchód.

Spoglądam w karty kolejnych pacjentów, lecz nie mogę się na nich należycie skupić. W tej sali nie ma niczego ciekawego. Wypełniają ją kobiety we wczesnym stadium ciąży. Mam co do nich pewne plany, ale z ich realizacją muszę poczekać. Na razie powinny odpoczywać i odżywiać się tak dobrze, jak nigdy w życiu się nie odżywiały. Aby

badania miały sens, z Żydówek muszę uczynić przynajmniej namiastkę Niemek. Niech się cieszą chwilami szczęścia.

– Ten oddział przypomina sanatorium – zauważam, nachylając się nad wyjątkowo szczupłą, czarnooką więźniarką. – Musi się pani lepiej odżywiać. Przepiszę pani dodatkową porcję węglowodanów.

Zerkam na kartkę i odszukuję rubrykę z wagą kobiety. Mimo stu siedemdziesięciu sześciu centymetrów wzrostu waży jedynie czterdzieści jeden kilogramów.

– To całkowicie niereprezentatywny przykład – rzucam do Waltera. Zagryzam usta i przez chwilę przypatruję się zapadniętej, szarej twarzy ciężarnej. Wreszcie potrząsam głową. – Przewieźcie ją do głównego bloku. Zabierzcie ją stąd.

Kobieta chyba nie do końca rozumie, o czym mówię, lecz domyśla się, że właśnie zdecydowałem o jej losie. Zaczyna szybko oddychać, zaciska i rozluźnia pięści, i coś szybko powtarza. Uśmiecham się do niej poufale.

– Wraca pani na drugi oddział – wyjaśniam. – Ogólny. Tam zostanie pani pozbawiona płodu, który zostanie dokładnie zmierzony i posłuży do rozmaitych badań. Przysłuży się rozwojowi cywilizacji. Może być pani dumna.

Wszystkie te zdanie wypowiadam łagodnym tonem, który uspokaja ciężarną. Najwyraźniej kompletnie nie zrozumiała, o czym mówię, lecz kiwa głową. Walter parska sarkastycznym śmiechem, jednak zaraz się uspokaja.

– Tak, wiem. Masz mi do przekazania jakieś cholernie ważne informacje o tych bliźniaczkach.

– Właśnie.

– Wyjdźmy na korytarz.

Delikatnie chwytam go pod łokieć i prowadzę między łózkami. W połowie drogi przystaję i otwieram okno. Wpuszczam do środka chłodne, ale świeże powietrze.

- Prosiłem, aby regularnie wietrzyć sale – oschle rugam oddziałową.
- Nie dopuszczam żadnych odstępstw od swoich wytycznych.

Tęga kobieta chce coś powiedzieć na swoją obronę, ale unoszę dłoń, dając jej do zrozumienia, aby milczała. Po chwili stajemy z Walterem w ciemnym, dusznym korytarzu.

- Mów – nakazuję. – Żyją?
 - Żyją – potwierdza mój asystent.
- Z ulgą wypuszczam powietrze.
- W takim razie co się dzieje?
 - Musi pan to sam zobaczyć, doktorze.

5.

Najważniejsze, że żyją. W przeciwnym razie cała praca poszłaby na marne. I na marne poszedłby też środek znieczulający, który przydałby się tysiącom naszych chłopców rannych na froncie.

Jednak z drugiej strony śmierć też ma jakieś znaczenie. Dzięki niej można starać się przeprowadzić wnikliwe badania, aby umieć ją odegnąć od wartościowych ludzi. Wszyscy na coś umieramy. Nawet jeżeli jest to po prostu starość, za tym eufemizmem kryje się cały szereg schorzeń. Niewydolność krążeniowa, zastoje, zapadnięcia, zakrzepy, nowotwory, degradacje struktur i tkanek, degeneracje organów oraz narządów...

Bliźniaczki nie mogły umrzeć na starość. Za ich śmiercią musiałyby się kryć coś, czemu powinniśmy nauczyć się dawać odpór. Cywilizacja nie może godzić się na śmierć młodych. Bez względu na to, co by się z nimi działo.

- Co pan powiedział? – dopytuje Walter.

Wyrwany z zamyślenia, marszczę czoło i przyśpieszam kroku.

- Nic. Nie wiem. Po prostu porządkowałem pewne wnioski.

– Przepraszam, myślałem, że czegoś nie dosłyszałem.

– Wówczas bez wątpienia bym to powtórzył.

Przyjacielsko klepię Waltera w ramię, a on niepewnie się uśmiecha. Zauważyłem, że niektórzy ludzie mają do mnie wyjątkowo ostrożny stosunek. Jakby się bali, czy za moją reakcją nie kryje się coś całkowicie przeciwnego. Mój asystent jeszcze raz zerka na mnie, upewniając się, czy go nie zrugam. A za cóż miałbym go rugać? Czy w tonie, jakim wypowiedziałem ostatnie słowa, wyczytał groźbę? Ostrzeżenie? Jest dobrym chłopakiem i sumiennym medykiem. Nie ma się czego obawiać. Będzie miał przy mnie dobrze, tak jak ja miałem przy swoich mistrzach.

– Otwieraj.

Zatrzymuję się i czekam, by Walter otworzył dwuskrzydłowe, drewniane drzwi. Staje na baczność, po czym przepuszcza mnie w progu. Powoli wchodzę na salę. Stukot moich obcasów rytmicznie niesie się echem. Machnięciem dłoni daję znać pielęgniarce, aby nie wstawiała od biurka. Piętrzy się przed nią sterta papierów, które musi wypełnić. Nie lubię zbędnie odrywać ludzi od pilnej roboty.

Dozując sobie napięcie, powoli wiodę wzrokiem po kilku pustych łózkach, po oknach i nagiej, chropawej ścianie. Przęłykam ślinę. Powoli robię zwrot i spoglądam w róg pomieszczenia. Od razu je dostrzegam. Są tam. Ruszają się, a więc żyją.

Anna oraz Irmina siedzą na środku łóżka. Z tym że teraz nie można już o nich mówić inaczej niż w liczbie mnogiej. Siedzą, dyszą, odwracają ku mnie głowy. Od pasa w górę są nagie. Ich plecy oraz ręce zostały złączone w jedną całość, połączyłem niektóre żyły oraz naczynia. Stworzyłem bliźnięta syjamskie. Łączący je brunatnoczerwony szew biegnie po linii oddzielającej niegdyś ich ciała. Ich złączone nadgarstki są opuchnięte, niemal czarne. Bliźniaczki ciężko dyszą i pochlipują. Nawet ta bardziej opanowana ma stężałą od przerażenia twarz, a jej oczy rzucają szaleńcze

spojrzenia. Żadna już o nic nie prosi. Ich czoła są mokre od potu, policzki trupio blade, a usta zapadnięte.

– Gangrena – stwierdzam obojętnym tonem, choć jestem nieco rozczarowany. – Wobec tego z badaniami musimy się pośpieszyć. Mamy mało czasu.

6.

– Nie płaczcie. Być może uda się jeszcze was rozdzielić. Na razie potrzebne jesteście w takiej... formie.

Powoli wdycham i wydycham powietrze. Usiłuję się przyzwyczaić do fetoru, jaki bije od bliźniaczek. Cuchną zgnilizną, kałem oraz moczem. Zapewne robią pod siebie, nie potrafiąc udać się do łazienki. Poinformowano mnie, że tylko raz podjęły próbę wstania z łóżka. Musiały przypominać nieporadnego pająka. Pająka, którego nie stworzyła nędzna matka natura, a bóg – człowiek.

– Czy teraz coś was boli? – pytam spokojnie. – Odpowiadajcie po kolei. No, Anno?

Anna dławi się łzami. Mimo to najwyraźniej stara się opanować, gdyż spazmy płaczu naruszają świeże szwy. Nieudolnie podgina palce rąk, które powyżej nadgarstków przyszyte są do rąk jej siostry. Przez ostatnie dni musiały nauczyć się współpracy. Gdy jedna z dziewczynek usiłuje gestykulować lub się podrapać, druga musi rozluźnić mięśnie. To wymaga doskonałej synchronizacji i zrozumienia. Tyle że po kim można oczekiwać wzajemnego zrozumienia, jak nie po bliźniakach?

– Bolą cię ręce? Rozumiem. – Wyciągam dłoń, jakbym chciał ją pogłaskać po twarzy, lecz w ostatniej chwili się cofam. Spoglądam na jej siostrę. – A ty, Irmino? Chodzi o ból pleców?

– Nie możemy spać – odpowiada po niemiecku. – Nie możemy się położyć.

– Tak, to pewna niedogodność.

– Proszę nas uwolnić – skomle Anna. – Niech pan pozwoli nam żyć.

– Ależ żyjecie i jesteście niemal całkowicie wolne. Czy gdybym powiedział, że możecie teraz wrócić do domu, dałybyście radę? Śmiało. Myślę, że mógłbym załatwić wam zwolnienie z obozu.

– Oddzielnie.

Wypowiedzenie tego jednego słowa sprawia Irminie wyraźny wysiłek. Po wyrzuconych przed chwilą dwóch zdaniach jest wyczerpana i brakuje jej tchu.

– Na razie nie możecie być oddzielnie. Zobaczymy, co będzie jutro lub pojutrze.

– Proszę.

– To nic nie da.

Niespodziewanie uderzam młotkiem neurologicznym w mięsień czworogłowy Anny, czemu towarzyszy prawidłowa reakcja nerwowa. Przesuwam się i robię to samo z jej siostrą. W tym wypadku reakcja jest znacznie słabsza.

– Spójrzcie na mnie – nakazuję. – I nic nie mówcie.

Sprawdzam wrażliwość ich źrenic na światło, co potwierdza, że neurologiczne reakcje Irminy są zanikowe. Przed operacją zachowywały się identycznie.

– Dokumenty, proszę – zwracam się do Waltera.

Natychmiast dostaję tekturową teczkę z kilkunastoma kartkami moich notatek oraz zapisków pielęgniarek i reszty personelu. Przebiegam wzrokiem kolejne kolumny. Przekładam dokumenty, wreszcie wyjmuję epikryzę umieszczoną przy łóżku bliźniaczek i powoli notuję ostatnie spostrzeżenia. Wszystko jest istotne. W przyszłości mogą się przydać najdrobniejsze szczegóły prowadzonych badań.

Odruch kolanowy bliźniaczki 187A w normie, odruch kolanowy bliźniaczki 187B osłabiony...

Po raz ostatni mierzono im temperaturę oraz sprawdzano parametry życiowe przed niespełną godziną. Nie ma potrzeby robić tego częściej niż czterokrotnie w ciągu doby. Wszystko się zgadza. Oglądam ropiejące, owrzodziałe nadgarstki dziewczyn. Rana jednego z nich się otworzyła i jest wspólna dla obu bliźniaczek. Sprawia wrażenie, jakby coś wyżarło ich tkankę niemal do samej kości. Z drugiej strony nadgarstek Anny przybrał niemal czarny kolor, ale Irminy pozostał blady. Najwyraźniej w tym miejscu organizmy walczą o zachowanie odrębności.

Starannie notuję te uwagi i wreszcie zamykam teczkę. Oddaję ją Walterowi. Wszyscy w ciszy czekają na mój werdykt. Powoli się wyprostowuję i przyglądam kitel. Spoglądam prosto w oczy Anny.

– Czas na ostatnie badanie.

7.

Walter doskonale wie, co mam na myśli. Po kilku miesiącach współpracy rozumiemy się bez słów i mogę na nim całkowicie polegać. Ukradkiem podaje mi strzykawkę, po czym, jakby nigdy nic, obraca się do okna.

– Oby ta pogoda utrzymała się jak najdłużej – mówi. – Pięknie byłoby wybrać się na pieszą wycieczkę w góry.

– Dziś był fioletowy świt – odpowiadam. – A fioletowe świty zazwyczaj zapowiadają upały.

– Tak pan sądzi, doktorze?

– To zostało potwierdzone naukowo. Przez statystykę oraz badania fizyczne. A co wy o tym sądzicie, dziewczęta?

Bliźniaczki nie odpowiadają. Chyba nie zrozumiały, o czym mówimy. Wpatrują się w nas szeroko otwartymi, pełnymi łez oczami. Anna kręci głową. Irmina usiłuje się obrócić, jakby zapomniała, że jest zszyta z siostrą w jeden organizm.

– Panie doktorze... – szepcze łamiącym się głosem. – Proszę...

Ciężko wzdycham i pokrzepiająco się uśmiecham.

– Już dobrze. O nic się nie martwcie. Fioletowe świty to kwestia sposobu, w jaki rozszczepia się światło w powietrzu, które w znacznym stopniu wypełniają pierwiastki wodoru, a ozon...

Urywam w pół zdania, po czym nagle wbijam strzykawkę prosto w serce Irminy. Nie zastanawiałem się, którą z bliźniaczek chcę zabić. Ich ogólna kondycja sprawia, że żadna z nich nie byłaby w stanie przeżyć więcej niż trzech, maksymalnie czterech dób. To zresztą nie robi specjalnej różnicy. Nim Anna zdaje sobie sprawę, co się stało, ciałem jej siostry wstrząsa przedśmiertny skurcz. Fenol działa niemal natychmiast i bezbłędnie.

Twarz Irminy momentalnie traci kolory, jej oczy zachodzą mgłą, a usta się rozchylają. Po chwili głowa dziewczyny bezwładnie opada na jej pierś. Gdyby jej korpus nie był zszyty z korpusem Anny, upadłaby na podłogę. A tak niespodziewanie zaczyna ciążyć siostrze bliźniacze. Sfabrykowanej przeze mnie siostrze syjamskiej.

Anna zdaje sobie sprawę, co się wydarzyło, i szeroko otwiera usta. W jej oczach nie ma już łez, lecz wypełnia je bezgraniczne przerażenie. Dziewczyna miota się, niezgrabnie przesuwa na łóżku i omal nie upada. Stara się odwrócić, by móc spojrzeć na twarz Irminy, ale to niemożliwe. Niemożliwe jest również, by złapała ją za dłoń.

– Irmi... Irm... – bełkocze coś w nieznanym mi języku. Powtarza te same słowa, które zlewają się w żałobny jęk.

Pielęgniarka obserwuje wszystko zza biurka, ale nie odzywa się nawet słowem. Widząc moje spojrzenie, spuszcza wzrok i udaje, że

całkowicie pochłaniają ją dokumenty.

– Ciekawość to dobra cecha, siostró – rzucam w jej stronę. – Gdyby człowiek nie był ciekawy, nadal tkwiłby na drzewach lub w najlepszym razie w jaskiniach. Ciekawość napędza rozwój.

– Tak, panie doktorze – przytakuje, raźniej spoglądając na agonię jednej z sióstr i żalobę drugiej.

– Musimy być ciekawi – ciągnę. – Dlatego też intryguje mnie, jak długo uda się pożyć Annie. Przecież, technicznie rzecz biorąc, połowa jej ciała jest martwa. Proszę co kwadrans sprawdzać jej parametry życiowe. Wszelkie spostrzeżenia niech trafią do dokumentacji. To bardzo osobliwy przypadek, który wymaga pilnych studiów. Być może poświęcę temu całą rozprawę.

Odwracam się i ponownie zerkam na Annę. Jej siostra jest już martwa i ciężar jej ciała sprawia, że dziewczyna leży na boku. Musi być jej potwornie niewygodnie. Napięte szwy ciągną i się rozchodzą. Żydówka ciężko dyszy, a jej spojrzenie jest utkwione w podłodze. Z oczu ponownie ciurkiem ciekną łzy. Nie patrzy na mnie, ale nagle z jej piersi wydobywa się dziki, niemal zwierzęcy wrzask. Usiłuje wstać, zaplątuje się w kołdrę i zwała się na podłogę. Ciało jej siostry spada wraz z nią.

Obserwuję to wszystko z uwagą, nie pozwalając, by ktokolwiek zareagował. To interesujące, że jednym z pierwszych odruchów jest wola walki. Wola stawienia czoła śmierci i jakiegoś całkowicie nieracjonalnego zrywu.

– Panie doktorze.

Tak, wiem. Walter ponownie działa z wyprzedzeniem, jakby czytał mi w myślach. Ze skórzanej torby wyciąga aparat i podaje mi go. Cofam się o dwa kroki, by uwiecznić cały kadr. Fotografia jest istotna dla dokumentacji medycznej oraz pod kątem ewentualnych publikacji. Będzie stanowiła niepodważalny dowód, że to, o czym piszę,

rzeczywiście miało miejsce. A zapewne znajdzie się wielu, którzy nie będą chcieli w to uwierzyć. Może jesteś wśród nich?[2]

[1] Przepis sformułowany w tzw. ustawie sterylizacyjnej (*Gesetz zur Verhütung erbkranken Nachwuchses*), którą opracowywał dr Ernst Rüdin, a która weszła w życie w styczniu 1934 r.

[2] Mimo pozorów nieprawdopodobieństwa wszelkie wydarzenia opisane w książce mają potwierdzenie w dokumentach.

MENGELE
ANIOŁ ŚMIERCI

8.

– Przygotujcie wszystko do sekcji – nakazuję. – Chcę dokładnie porównać ich ciała.

– Oczywiście.

– I dowiedzieć się, dlaczego ta dziewczyna tak nagle zmarła. Nie miały wspólnych tętnic, a żyły nie mogły rozprowadzić fenolu. Poza tym to tylko pozorny splot kilku z nich. Nic nadzwyczajnego.

A mimo to Anna zmarła zaledwie godzinę po śmierci Irminy. W pierwszym odruchu popadła w odrętwienie, w drugim chciała walczyć, a w końcu jej funkcje życiowe ustały. Dlaczego? Co było tego powodem?

To pytanie mnie dręczy i rozpala wyobraźnię. Mógłbym przedstawić co najmniej trzy lub cztery teorie, ale dzięki Auschwitz wreszcie nie muszę dywagować. Materiał badawczy jest pod ręką i to w nieograniczonych ilościach. Mam nadzieję, że dzięki temu pchnę niemiecką naukę medyczną do przodu. Wierzę, że stanę się dla niej kimś tak istotnym, jak dla geografii był Kolumb, dla astronomii Kopernik, a dla muzyki Mozart. Albo Wagner.

Mozart – uściślam w myśli. Wagner jest nazbyt hołubionym bufonem, który zamiast dokonać przełomu, obładował muzykę zbędną formą. Forma wszelkich sztuk oraz nauk jest mniej istotna. Liczy się treść.

Zawsze marzyłem, aby być odkrywcą. Intrygowało mnie to, co nieznanne i tajemnicze. Z przerażeniem obserwowałem, że z roku na rok jest coraz mniej białych plam na mapach świata. Odkrywano kolejne obszary, zabierając mi pole do zaistnienia w historii.

Wyobrażałem sobie Ziemię Mengelego w Arktyce albo noszącą moje nazwisko wyspę pośrodku Oceanu Indyjskiego. Podboje świata nie były mi dane. Z pewnością jednak los dał mi szansę dokonywania podboju ludzi. Zdobywałem ich ciała i zwyciężałem w odwiecznym starciu z naturą. W końcu na gwiazdach znałem się zbyt słabo...

– Czy będzie pan chciał zacząć natychmiast?

Przekładam dokumenty i spoglądam na szpakowatego, przygarbionego lekarza SS. Mimo że jest starszy o co najmniej dziesięć lat, jest moim podwładnym. To kolejny powód do dumy.

– Tak, gdy tylko zapoznam się z pełną dokumentacją.

– W porządku. Nakazę przygotowanie stołów.

– Już to zrobiłem. Wydałem właściwe polecenie, jeszcze zanim umarła druga z sióstr.

Rzucam na biurko plik dokumentów i się uśmiecham. Ustawiam nóż do listów, podstawkę pod pióro oraz metalowy przycisk do papieru. Sprzątaczką po raz kolejny minimalnie zmieniła ich położenie. Niezmiennie mnie to irytuje, ale kolejne upomnienia na nic się zdają.

– Będę musiał ją wymienić – szepczę. – Znaleźć kogoś innego...

– Słucham?

– Nie, nic. Jak zwykle gadam do siebie.

Spoglądam na lekarza i niedbale macham ręką. Sięgam po zawieszony na drewnianym wieszaku kitel, po czym zarzucam go na ramiona.

– Idziemy. Szkoda czasu.

– Czy spodziewa się pan jakichś konkretnych rezultatów?

Zatrzymuję się w pół kroku i spoglądam spode łba na szpakowatego medyka.

– Nie – odpowiadam cierpko. – Niczego się nie spodziewam. Spodziewanie się zabija nie tylko przyjemność, ale również może wypaczać prawidłowy osąd. Nacechujemy go swoimi pobożnymi

życzeniami, jak chrześcijanie dopasowujący całe życie do marzenia o pływaniu wśród błękitnych obłoków.

Wychodzę na korytarz i ruszam w stronę głównego wejścia. W tym momencie wchodzi nim dwóch oficerów SS w towarzystwie jakiegoś człowieka w eleganckim ubraniu. Cywil na mój widok mruży oczy i coś tłumaczy swojej obstawie.

– Co się dzieje? – pytam. – Czy mogę w czymś pomóc?

– Pan Josef Mengele?

– Tak, owszem. A pan?

– Chyba powinien pan na chwilę odsunąć obowiązki i udać się ze mną do gabinetu. Liczę, że poświęci mi pan nieco czasu.

Mężczyzna mierzy mnie bacznym, zimnym spojrzeniem błękitnych oczu. Jego cienki, ostry nos wciąga powietrze, jakby chciał rozpoznać mój zapach. Nagle odsłania zęby w drapieżnym, sztucznym uśmiechu.

– To jak, panie doktorze?

9.

– Poczęstuje się pan?

Mężczyzna wyciąga w moją stronę opakowanie cygaretek. Mimo że odmawiam, bez skrupowania zapala jedną z nich. Przyciąga stojącą na biurku popielniczkę, po czym wypuszcza kłęb gęstego dymu. Ma przetykane siwizną, zaczesane do tyłu włosy oraz wysokie, gładkie czoło. Opadnięte, nieco nabrzmiałe policzki odcinają się przy ustach głębokimi fałdkami. Ma około metra siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, proporcjonalną klatkę piersiową oraz dość długie ręce zakończone delikatnymi palcami. Stanowi niezły przykład przedstawiciela rasy aryjskiej, choć widać w nim domieszkę krwi wschodniej. Słowiański pierwiastek potrafi się ujawnić nawet po kilku pokoleniach.

Zakładam nogę na nogę i wygodnie rozpieram się w fotelu. Nie zamierzam rozpoczynać pogawędki pustymi frazesami. Domyślam się, że to jakiś berliński ważniak, lecz czekam, aż sam się przedstawi. Jego dwuosobowa obstawa została na korytarzu. Biorąc pod uwagę, że ci młodzi SS-mani nie są nawet podoficerami, domyślam się, że pełnili przede wszystkim rolę kierowców. Ewentualnie chłopaczków do towarzystwa, co w obecnym systemie bywa nader często spotykanym zjawiskiem.

Wytrzymuję ostre, świdrujące spojrzenie i splatam ręce na piersi. Oddycham spokojnie, choć jestem coraz bardziej zaintrygowany moim gościem. Wreszcie ten się porusza, odkłada cygaretkę do popielniczki i odkasłuje. Po chwili odzywa się przyjemnym, niskim głosem:

– Nazywam się Karl Neuman. Jestem pracownikiem Pierwszego Sekretariatu Stanu w Ministerstwie Propagandy. Podlegam bezpośrednio Obergruppenführerowi, Otto Dietrichowi. Słyszał pan o nim?

– Mówi pan o szefie prasowym NSDAP?

– Owszem, choć obecnie poświęcił się wyłącznie pracy ministerialnej.

– Wobec tego mam nieaktualne informacje. – Wzruszam ramionami. – Jednak co Obergruppenführer ma ze mną wspólnego i co jeszcze istotniejsze, jaki jest powód pańskiej wizyty?

Neuman ponownie zaciąga się cygaretką i odkasłuje.

– Palenie panu nie służy – zauważam z pewną satysfakcją. – To zbędny nałóg, który obciąża organizm w stopniu nieproporcjonalnym do korzyści.

– Chodzi o przyjemność. O nic więcej.

Wypowiedziawszy te słowa, mężczyzna zagasza cygaretkę i wierzchem dłoni ociera spierzchnięte usta. Ponownie wbija we mnie lustrujące spojrzenie.

– Do Ordenspalais[3] dotarły wieści o pańskim zaangażowaniu w rozwój nauki – odzywa się swoim wręcz drażniąco monotonnym tonem. – Oczywiście nie jestem kompetentny oceniać rezultatów pańskich badań, doktorze, lecz pochwalam wszelkie wysiłki służące rozwojowi Trzeciej Rzeszy. W rozmaitych obozach mamy wiele grup pracujących nad konkretnymi problemami, których rozwiązanie może ocalić naszych żołnierzy na frontach wojny. Nie ma cenniejszej misji.

– Wiem o tym – przyznaję. – Z niektórymi naukowcami prowadzę korespondencję.

– Wie pan o badaniach nad odmrożeniami oraz zapobieganiem przeciążeń w trakcie akrobacji powietrznych?

Potakuję. Te zagadnienia nie są dla mnie szczególnie interesujące, ale staram się być na bieżąco z rozmaitymi kwestiami.

– Rozumiem znaczenie tych badań dla naszych wojsk.

– Właśnie. To jest najważniejsze. – Neuman pstryka palcami i sięga po opakowanie cygaretek. Tym razem jednak jedynie obraca je w dłoni, po czym mechanicznie chowa do kieszeni. – Liczymy, że pańskie wnikliwe prace również się temu przysłużą. Niech pan pamięta, że śmierć nawet stu więźniów jest niczym, jeżeli uda się ocalić jedno niemieckie życie.

– To jasne. Zawsze o tym pamiętam.

Neuman poprawia się w fotelu i nieco pochyła głowę. Oczywiście jest, że właśnie zamierza przejść do sedna.

– Po pierwsze, mam panu przekazać, doktorze, że może pan czuć się całkowicie nieskrępowany żadnymi wytycznymi – oznajmia obojętnym tonem. – Wszyscy więźniowie pozostają do pańskiej dyspozycji. I to zgodnie z pańskimi potrzebami. Nikt ich nie będzie kwestionował, przez co otrzymuje pan nieskrępowaną swobodę prowadzenia badań oraz eksperymentów.

Odpowiadam uśmiechem na jego delikatne, przelotne drgnięcie warg. Czuję przyjemny dreszcz. Nagle w wyobraźni przewija mi się

cała seria pomysłów, których realizację krępowały skostniałe procedury oraz moja niechęć do jakiegokolwiek zafałszowywania dokumentów. Muszę się jednak upewnić, że wszystko właściwie rozumiałem.

– Nieskrępowaną swobodę? – dopytuję. – Mogę działać tylko w zgodzie z własnym sumieniem?

– Owszem – zapewnia natychmiast Neuman.

– Mam całe mnóstwo pomysłów, które mogą okazać się przełomowe dla medycyny – cedzę, hamując podekscytowanie. – Proszę powiedzieć, czego chcecie w zamian?

Nie czekając na odpowiedź, zastanawiam się nad tym, które z marzeń wdrożyć w życie jako pierwsze. Wybór będzie trudny.

10.

– Proszę zrozumieć, że nie mogę się wypowiadać za struktury bezpieczeństwa oraz administracji Rzeszy. – Neuman porozumiewawczo zniża głos, po czym znacząco wzdycha. – Mimo to zapewniam pana, że nie musi się pan o nic obawiać. Ma pan całkowicie wolną rękę. A w zamian... W zamian chcemy dwóch rzeczy. Przede wszystkim, i to właściwie prośba od moich kolegów z innych ministerstw, zależy nam na rozwinięciu badań nad leczeniem tyfusu. Wiemy, że już wcześniej się pan tym zajmował.

– Owszem, mam pewne doświadczenie.

Myślę o czterech albo pięciu osobach, które udało mi się zakazić tyfusem, a następnie utrzymać przy życiu w lepszym stanie, niż można się było spodziewać. Przynajmniej do czasu, aż je uśmierciłem i poddałem autopsjom. Zastosowane kuracje nie przyniosły zadowalających mnie efektów.

– Oczekujemy też konkretnych wyników badań nad wzmożoną dietnością – ciągnie Neuman. – Szybki wzrost ludności Rzeszy leży wśród najbardziej istotnych pragnień Führera. I tak, wiemy, że również na tym polu ma pan doświadczenie. Prosimy, by pan traktował te zagadnienia priorytetowo.

– Oczywiście. Nie widzę żadnego problemu.

– Cieszę się.

– Doprawdy?

– Wierzę, że niebawem przedstawi pan naprawdę przełomowe rezultaty swojej pracy. Ku chwale Rzeszy...

Odchrząkuję. Quid pro quo. Coś za coś. Dopuszczenie całkowitej bezkarności i nieograniczonej, niemal boskiej władzy musi kosztować. Zastanawia mnie, jakiej ceny może zarządzać ministerstwo propagandy.

Neuman spogląda za okno, w bezchmurne błękitne niebo. Ponownie w gabinecie zapada cisza. I ponownie nie zamierzam jej przerywać, czekając, aż urzędnik przejdzie do najważniejszego tematu. Mija dziesięć, dwadzieścia długich sekund. Wreszcie Neuman delikatnie kiwa głową i odwraca się w moją stronę.

– Mamy o panu jak najlepsze zdanie – stwierdza, jakby podejmował dawny temat. – Wiemy o panu naprawdę wiele, ale dokumenty nie tworzą intrygujących historii. Rozumie pan, co mam na myśli, doktorze?

– Chyba nie do końca.

– Wiem wiele, ale muszę wiedzieć wszystko. Najlepiej wprost od pana.

Marszczę czoło i przyglądam się temu dziwnemu, antypatycznemu człowiekowi. Staram się go przejrzeć, lecz z jego twarzy nie można wyczytać niemal niczego. Poza tym kolejna przedłużająca się cisza zaczyna mnie irytować. Marnuję tu czas, zamiast prowadzić dalsze badania.

– Chciałbym wrócić do pacjentów – odzywam się, jakbym nie dosłyszał ostatnich słów Neumana. – Tylko w ten sposób mogę przysłużyć się dobru Rzeszy.

– O nie. – Neuman przecząco potrząsa głową. – Rzesza potrzebuje lekarzy, potrzebuje naukowców, ale również bohaterów. Pan nadaje się na jednego z nich. Potrzebna mi pańska historia.

Nerwowo parskam. Wiem już, dokąd zmierza ten cały przedłużający się wstęp.

– Zabawia się pan w dziennikarza? – pytam z emfazą. – Chodzi o wywiad ze mną?

– Konkretnie o rozmowę, na podstawie której stworzymy kilka materiałów, a być może nawet produkcję filmową.

Odruchowo lekceważąco macham dłonią.

– Nie mam na to czasu. Wszystkiego dowie się pan z moich akt.

– Pańskie akta znam na wylot.

– Więc?

– Jeśli pragnie pan niczym nieskrępowanej wolności w prowadzeniu badań, musi mi pan opowiedzieć historię swojego życia – cedzi Neuman. – Całkowicie szczerze i nie pomijając żadnych faktów. Może pan zaufać, że będę wiedział, które z nich zbyć milczeniem.

– Czy będę miał jakieś urzędowe poświadczenie swobody prowadzenia eksperymentów?

Neuman wybucha cichym, szorstkim śmiechem. Nagle go urywa i wbija we mnie poważne spojrzenie.

– Słyszałem o pańskim zamiłowaniu do dokumentacji oraz papierologii. Oby pana kiedyś nie zgubiły – przestrzega, kładąc jednocześnie na biurku szarą kopertę ze stemplem ministerstwa. – To jak? Możemy zaczynać, panie doktorze?

Urodziłem się szesnastego marca tysiąc dziewięćset jedenastego roku w Günzburgu. Kojarzy pan tę miejscowość? To małe, powiatowe miasto w Szwabii, w regionie Donau-Iller. Kiedy myśli się o sztamkowej, niemal baśniowej Bawarii, do głowy przychodzą obrazki właśnie z moich rodzinnych stron. Szeregi dużych domów z wysokimi dachami i mieszkalnymi, kilkupiętrowymi poddaszami, równe ulice, barokowy kościół imienia Marii Panny, rynek wypełniony ludźmi, towarem i tysiącletnią historią. Do tego łagodne, okoliczne krajobrazy, zamek Reisenburg, kilka mrocznych legend i znacznie więcej dumnych, rodzinnych opowieści. Oto Niemcy i kwintesencja niemieckości. Przynajmniej dla mnie.

Moi rodzice otrzymali od dziadków ze strony matki jeden z tych obszernych, belkowanych domów. Miał więcej pokoi, niż było to potrzebne niewielkiej młodej rodzinie, pachniał aromatem przeszłości i wypełniały go rupiecie porzucone przez pięć czy sześć pokoleń, które już dawno poszły do piachu. Czy to pana irytuje? Nie podoba się panu sformułowanie o pokoleniach, które poszły do piachu? Zapewne będziemy mieli jeszcze szansę o tym pomówić, oczywiście jeśli starczy panu cierpliwości, lecz nie mam żadnych oporów moralnych przed stwierdzeniem faktu. Moi przodkowie istnieją w ponadczasowym wymiarze, a także w zbiorowej pamięci mojej oraz innych im bliskich osób, ale ich szczątki rozkładają się w ziemi na cmentarzu upchniętym na zboczu niewielkiego pagórka. To całkowicie naturalne i nie wzbudza żadnych wątpliwości.

W sosnowej trumnie, bo musi pan wiedzieć, że w tamtych stronach trumny robi się z sosny, ewentualnie ze świerku, gnije również mój starszy brat, który po ojcu otrzymał na imię Karl. Stało się tak zapewne tylko dlatego, że zmarł w pierwszych godzinach życia. Nie sądzę, by którekolwiek z moich rodziców zamierzało wołać na syna imieniem ojca. Żadne z nich nie miało w sobie dość bigoterii czy też

tego ohydneho, amerykańskiego luzu, by nazywać go Karolem Juniorem. Mimo to wyczerpano pewne możliwości i nakreślono dalszy schemat postępowania.

Podobno już na długo przed moim urodzeniem zdecydowano, że otrzymam imię po swoim dziadku od strony matki – Josefie Hupfauerze. Jeszcze raz podkreślę, że dom, w którym mieszkaliśmy i w którym przyszedłem na świat, moi rodzice otrzymali właśnie od niego. Nie sądzę, by było to decydującym czynnikiem, ale z pewnością miało znaczenie. Znaczenie miała również wiara zarówno mojego ojca, jak i mojej matki w to, że imiona przenoszą cechy. Że są jakimś ponadnaturalnym nośnikiem umiejętności, szczęścia lub pecha. I muszę panu powiedzieć, że to się sprawdziło. Nikt nie ma wątpliwości, że znalazło się we mnie odbicie dziadka, które emanowało znacznie mocniej niż odbicia któregokolwiek z moich rodziców. Swego czasu nawet to zagadnienie nadzwyczajnie mnie pasjonowało, starałem się je zgłębiać tak mocno, jak Darwin zgłębiał swoje ewolucyjne fantasmagorie. Efekty stanowiły rozważania z pogranicza biologii oraz filozofii, więc oszczędzę panu szerszych wywodów w tym temacie. Zresztą jakież ma pan pojęcie o genetyce? Jak mniemam, niemal żadne...

Dość wspomnieć, że mój ojciec dowiedział się o moich narodzinach przy kuflu bawarskiego jasnego piwa w knajpie, w której spędzał kolejne wieczory w otoczeniu lokalnej śmietanki towarzyskiej. Owszem, Günzburg ma swoje elity, podobnie jak ma je Berlin, Monachium czy Salzburg. Ale to całkowicie bez znaczenia. Mój ojciec elegancko się ze wszystkimi pożegnał, zapłacił, zostawiwszy suty napiwek, po czym szybszym krokiem niż zwykle ruszył w stronę domu. Gdy wbiegł do sypialni, powitała go akuszerka trzymająca w ramionach kwilące dziecko. Ojciec obrzucił je przelotnym spojrzeniem, a następnie zdjął kapelusz, jakby właśnie był świadkiem cudu.

Wyczerpana szybkim, niespodziewanym porodem matka powiedziała wtedy:

– Tym razem udało mi się to zrobić jak należy. Możesz być dumny.

Czy to nie zabawne? A może raczej całkowicie znamienne. Brzmi jak frazes, a mimo to wielokrotnie słyszałem, że z ust matki padły dokładnie te słowa.

Ta krótka, prawdziwa scena pokazuje, jakimi ludźmi byli moi rodzice i jakie wartości we mnie zaszczepili od najmłodszych lat. Danie mężczyźnie potomka sprowadzało się do zadania, które należało wykonać. I które zostało wykonane pomimo wcześniejszych ofiar. Ot co. Ale charakter moich rodziców kształtował cały szereg wydarzeń. Śmierć i zniszczenie wielokrotnie były bardzo blisko nich. Niech pan uważnie słucha, skoro chce mnie pan dobrze zrozumieć.

12.

Niedługo przed moim narodzeniem, gdy matka była już w zaawansowanej ciąży, ojciec do późna pracował w gabinecie. W tamtym czasie jego fabryka zajmowała się jeszcze wytwarzaniem sprzętu młyńskiego, choć od jakiegoś czasu planowano rozszerzenie działalności na ogół maszyn rolniczych. Niestety, rezygnacja jednego ze wspólników i konieczność jego spłaty sprawiły, że ojciec pozbył się niemal wszelkich oszczędności. Aby uporządkować sytuację, pisał dziesiątki listów do wierzycieli, dłużników, banków pozostających w obrzydliwych żydowskich rękach, wreszcie do towarzystw kredytowych, które w tamtym czasie spoglądały na kapitał ziemski dość przychylnym okiem. A należy pamiętać, że na matkę zapisany był rozległy kawał ziemi oraz pozostałość rodzinnego gospodarstwa. Czy pana nie zanudzam? Pragnął pan wiedzieć wszystko, więc pozwoliłem sobie zagłębić się w pewne szczegóły, aby nakreśliły tło

i uwiarygodniły proces, w wyniku którego stałem się tym, kim jestem. O to przecież chodzi, czyż nie?

Wracając do sedna, tamtego wieczoru, ojciec tonął w papierach, pykał fajkę i rozmyślał nad sposobem pozyskania środków dla dalszych inwestycji. Z zamyślenia wyrwało go walenie do drzwi. Pierwsza wstała jedna z pokojówek, lecz nim otworzyła, ojciec już znalazł się na dole. W momencie gdy wychynął na zewnątrz, od razu pojął, co się dzieje.

– Pańska fabryka – krzyczał zadyszany miejscowy pijaczek – wszystko w ogniu! Pożar!

I rzeczywiście ojciec widział łunę wzrastającą od strony Wielkiego Potoku, a w tamtej okolicy nie było żadnych innych większych zabudowań poza inwestycją jego całego życia. Główną ulicą pędził już wóz straży pożarnej zaprzężony w dwa konie z przenośną pompą wody oraz szmacianymi wężami. Bez zastanowienia, w nocnej podomce, ojciec rzucił się za nim.

– Niech Walburga zostanie w domu – nakazał pokojówce, która wyrzała za nim. – Nie pozwól jej wyjść o krok z sypialni. Rozumiesz?

To były ostatnie słowa, jakie mogły zostać mu przypisane. Nie byłoby to nic wielkiego, ale brzmiałoby dość dobrze. Na tyle dobrze, aby stanowić ciekawą legendę przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Ale proszę się nie martwić, mój ojciec żyje i ma się całkiem dobrze. Mimo że osobiście brał udział w gaszeniu pożaru i narażając się na śmierć, ocalił firmowe archiwum (być może dzielimy wspólne zainteresowanie dokumentacjami), nawet nie nadpalił ubrania. Nie wiem, czy był to cud, raczej doceniałbym ogólną sprawność mojego ojca, ale z dymem ulotnił się cały rodzinny kapitał. Rozumie pan? To kompletna tragedia, która pograżyłaby w rozpacz i marazmie niejednego człowieka. Wiele przedsiębiorstw nie podniosło się po znacznie mniejszych pożarach, a liczni fabrykanci, ponosząc o wiele mniej dotkliwe straty, ogłaszali bankructwo. Ale nie Karl Mengele.

Mój ojciec potraktował to nieszczęście jak uśmiech losu. Z mozołem zabrał się za odbudowę, ale nie miał na to środków i właściwie nie było czego odbudowywać. A stawianie na nowo tej samej fabryki to było dla niego zbyt mało. Uznał, że teraz powinien wznieść coś większego, coś naprawdę godnego naszej rodziny i jego możliwości. Na całe szczęście nie miał wtedy kapitału zamrożonego w lichwiarskich pożyczkach u Żydów. Tkwiła w nich tylko znikoma część, którą te bydłeta natychmiast chciały odzyskać, ale pał ich diabli. Towarzystwo asekuracyjne wypłaciło odszkodowanie, a dłużnicy solidarnie i honorowo spłacili należności przed czasem. Niemiecki, szwabski duch jednoczył silniej niż wiara lub więzy krwi. W końcu mój dziadek od strony matki, mimo posiadanego kapitału, nie chciał mu pomóc. Gdy dowiedział się, że ojciec planuje uruchomienie fabryki sprzętu rolniczego, oświadczył, że „chłopi to najgorsi kontrahenci”. Rozumie pan to burżujskie, klasowe myślenie? Nie odmawiam mu pewnej dozy słuszności, dziadek był naprawdę zacnym człowiekiem, ale to zdanie doskonale charakteryzuje tamte czasy.

W każdym razie ojciec w ciągu czterech miesięcy wzniósł nową halę fabryczną oraz magazyn. Gdy wybuchła Wielka Wojna i europejskie imperia postanowiły zgnieść germańskiego ducha, zatrudniał trzydzieści osób i stał się największym przedsiębiorcą w okolicy. Zawsze byłem z niego dumny i wiem, że on jest dumny ze mnie. Zresztą zawsze będzie. Jestem jego synem, a genetyka w naszym przypadku ma szczególne znaczenie.

Może napije się pan koniaku, nim będę opowiadał dalej? A może chce pan, abym już teraz przeszedł do badań nad bliźniętami, do rezultatów przeszczepów oraz operacji przeprowadzanych bez znieczulenia? Mam też wielkie plany, a pan pozwoli mi je zrealizować już niebawem. Czy przyszłość również pana interesuje? W końcu bez przesady można powiedzieć, że Auschwitz to prawdziwa fabryka

przyszłości. We mnie również tkwi duch fabrykanta. Wkrótce to udowodnię. Proszę o odrobinę cierpliwości.

13.

Proszę się częstować. Ostatnio otrzymałem skrzynkę wybornego szampana i armaniaku. Lubi pan armaniak? Nie jestem smakoszem alkoholu, lecz doceniam to, co ma klasę. A armaniak, choćbyśmy go nazywali winiakiem albo bimbrem z winogron, ma klasę. Proszę spróbować. Czuje pan ten delikatny aromat pod językiem? A teraz, gdy po przełyku już się rozleje przyjemna fala ciepła, wyczuwalne stają się lekka kwasowość i wreszcie słodycz. Jakby rozgryzło się świeżo zerwane, napęczniałe od słońca winogrono. To zaleta ciepłego, łagodnego klimatu, wie pan? Dzięki niemu w gronach wzrasta poziom cukru, osiągając poziom niemożliwy do uzyskania w winogronach rosnących nad Renem lub Mozelą. Natura, genetyka, środowisko bytowe, to wszystko system naczyń połączonych. Zależności możemy dostrzec w charakterze ludzi, w ich obyciu, kulturze, a nawet w zwyczajach żywieniowych. Religijne zakazy spożywania mięsa określonego rodzaju mają uwarunkowania genetyczne i są związane między innymi z grupami krwi. Żydzi palestyńscy oraz Arabowie mieszkają na tym samym obszarze, więc naturalnie dzielą też więcej cech rasowych, niż się do tego przyznają. Jedni i drudzy mają szczególną skłonność do tycia od wieprzowiny. Otłuszczają się od niej również ich wątroby, a metabolizm spowalnia do chorobliwego poziomu. Skąd o tym wiedziano trzy, cztery tysiące lat temu? Kto narzucił kulturową normę i czy podstawę obserwacji stanowiły autopsje? Nie wiem. Wiem natomiast, że Hindusi są w znacznej mierze podatni na kilka szczepów bakterii gnieźdzących się w wołowinie. Rozumie pan tę zależność? Religia nie służy niczemu

innemu jak kulturowemu narzucaniu norm mających na celu ochronę zdrowia. A katolicki post? A rytualne ablucje? A...

Przepraszam. Mógłbym o tym mówić godzinami. Wróćmy jednak do wybuchu Wielkiej Wojny i do mojego dzieciństwa. Mój ojciec został zmobilizowany, więc przedsiębiorstwem musiała zająć się matka. Oczywiście, ojciec nadzorował wszystko korespondencyjnie, udzielał jej rad oraz wskazówek, a do tego przeprowadzał osobisty rekonesans w trakcie częstych urlopów. Produkcja z części rolniczych w znacznej mierze została przestawiona na części do rozmaitych urzędów wojskowych. Układy ojca sprawiły, że zamówienia rosły lawinowo.

A ja? Byłem w siódmym niebie, że zyskałem nieco swobody i mogłem włóczyć się po okolicy, ile chciałem. Korzystałem z tego aż nadto. Byłem niesfornym, ciekawskim dzieckiem, dla którego świat stanowił niezmierny materiał badawczy. Zapuszczałem się na wyprawy w dalekie okolice, nad rzekę i w stronę lasu. Wyobrażałem sobie, że jestem odkrywcą podobnym do żeglarzy lub dziewiętnastowiecznych podróżników wypełniających białe plamy na mapach. Uśmiecha się pan? Od najmłodszych lat pragnąłem zapisać się w historii świata. To ojciec rozbudził moją wyobraźnię i motywował do działania. Matka jednak nie była do tego nastawiona równie entuzjastycznie. Kobiety są zapobiegliwe, przystosowała je do tego ewolucja. Zresztą z ich perspektywy to całkowicie pożądana cecha.

Któregoś dnia z iście dziecięcą fantazją wspiąłem się na wielką beczkę z deszczówką. Była w znacznej mierze wypełniona wodą, ale na jej dnie dla obciążenia położono kamienie. Sądzę, że były to kamienie rzeczne, które, wysuszone, matowieją, lecz wilgotne zyskują piękne barwy. Tropem górników, bądź diabli wiedzą czyim, postanowiłem wydobyć kilka z nich. Oparłem się kolanami o drewniane wieko, po czym zanurzyłem ręce i ramiona w beczce. Niestety zrobiłem to na tyle niefortunnie, że wieko spadło, a ja

wpadłem głową w dół do środka. Przestraszony nabrałem wody w płuca i zacząłem tonąć. Nie potrafiłem się wydostać. Miotalem się, jednocześnie coraz bardziej tracąc poczucie przestrzeni. Woda otaczała mnie i wypełniała od środka. Pamiętam, jak raz po raz otwierałem i zamykałem oczy. Zapewne zwymiotowałem, bo może pan o tym nie wie, ale topiący się zazwyczaj wymiotują. Zachłyśnięcie wymiocinami jest powodem takiej samej liczby utonięć, co rozerwanie pęcherzyków płucnych wodą. Bez wątpienia byłem na skraju śmierci i dzieliły mnie od niej tylko sekundy. W takich chwilach objawia się los.

Nagle poczułem gwałtowne szarpnięcie i otoczyła mnie słoneczna jasność. Rzucono mnie na kamienny bruk, a ktoś kilkakrotnie zdzielił mnie po twarzy. Słyszałem krzyki, lecz byłem na wpółprzytomny. Obracano mną jak szmacianą lalką. W momencie, gdy jeden z pracowników ojca był gotów połamać mi żebra, nabrałem powietrza. Wtedy dostrzegłem biegnącą ku nam matkę. Może mi pan wierzyć lub nie, ale momentalnie oprzytomniałem.

– To się więcej nie powtórzy – wybełkotałem. – Przepraszam...

Mimo to przez kolejne tygodnie tkwiłem w areszcie domowym, a matka co rusz powtarzała, że omal nie zginąłem. Nigdy jednak nie obwiniła za to wojny lub nieobecności ojca. Była zła tylko na siebie. No i może trochę też na mnie.

14.

Przełomowe wydarzenie mojego dzieciństwa miało miejsce w listopadzie osiemnastego roku. Pamiętam, że po powrocie ze szkoły omawiałem z mamą lekcje i wydarzenia całego dnia. Należało to do naszego żelaznego rytuału, ale nie wiązało się z żadnymi przesadnymi obowiązkami. Nauka szła mi gładko, właściwie

wyprzedzałem szkolny program o tyle, że mogłem żartować z mniej rozwiniętych kolegów. Matka zawsze hamowała moje przechwałki. Nie, proszę nie zrozumieć mnie źle. Nie chodziło o to, że w świadomości własnej wartości było coś złego. Nie było nic złego również w poczuciu wyższości nad słabszymi, gorszymi czy głępszymi. Na tym polega życie. Drapieżnik zjada ofiarę, myśliwy dopada zwierzynę, nie na odwrót. Tak jest również w szkole, a moja matka zdawała sobie z tego sprawę. Podkreślała jednak, że dumny mogę być dopiero wtedy, gdy osiągnę naprawdę wiele. Nie wystarczy umiejętność dodawania kilku liczb więcej lub płynniejszego czytania. Czując oddech rywali na plecach, nie jest się jeszcze zwycięzcą. Tak, teraz z perspektywy lat widzę, że ojciec rozbudził moją wyobraźnię, a matka ambicję.

W każdym razie tamtego popołudnia recytowałem wiersz. Był to jeden z tych prostych utworów wychwalających cesarza oraz jego niezwyciężoną armię. Podręczniki były ich pełne, a do tego belfrzy regularnie wręczali nam dodatkowe materiały. Organizowano konkursy recytatorskie, akademie i warsztaty. Prymusi starali się nauczyć na pamięć jak najwięcej takich wierszyków, lecz matka nie wymagała tego ode mnie. Doceniała ich rolę, ale zaprzątanie pamięci niezbyt górnolotnymi poezjami traktowała jako przesadę. Goethe, Schiller, Herwegh, ewentualnie Novalis lub Hebbel, ich dzieła warto było zapamiętywać. Do tej pory uwielbiam czytać naszą narodową, niemiecką klasykę, choć nie jestem pasjonatem literatury. Mam znacznie bardziej techniczny umysł, lecz... Zdaje się, że to już zbyt daleka dygresja. Wróćmy do sedna.

Tamten wiersz szedł mi jak po grudzie. Myliłem się, rymy do mnie nie przemawiały, a treść wydawała się kompletnie bezsensowna. Matka też jakby słuchała mnie jednym uchem, łypiąc co chwilę do wielkiej księgi rachunkowej. Może to wszystko wynikało z jakiegoś niezwykłego przeczucia, z jakiejś niezrozumiałej dla nauki energii,

ale zachowywaliśmy się inaczej niż w trakcie innych podobnych przedpołudni.

Nagle z sieni dobiegło nas skrzypienie gwałtownie otwieranych drzwi, a potem odgłos stanowczych kroków. Po chwili w drzwiach nieoczekiwanie pojawił się ojciec. Nie wsunął najpierw jedynie żartobliwie głowy, jak to robił zazwyczaj, wracając do domu na urlop, lecz od razu ciężko wmaszerował do izby. Na jego twarzy widniał wyraz bezgranicznego żalu, wściekłości i bólu.

– Karl... – Moja matka natychmiast zerwała się w jego stronę. – Co się stało? Jesteś ranny?

Wtedy ojciec po raz pierwszy rozplakał się na moich oczach. Swój ból włókł wiele kilometrów, by dać mu ujście dopiero w zamkniętych ścianach rodzinnego domu. Tak zachowują się prawdziwi mężczyźni.

15.

Zawstydzony tym, co właśnie widziałem, bez słowa odłożyłem arkusz z poezją propagandową i odwróciłem wzrok. Nie miałem prawa patrzeć na płaczącego ojca. Spuściłem głowę, ale ciekawość zwyciężyła. Po kilku sekundach ponownie spojrzałem na rodziców. Znajdowali się przy okrągłym, orzechowym stole i zamarli w pozycjach znanych z zacisznych atelier.

– Wszystko skończone – wycedził ojciec.

Siedział na krześle, wyciągnął przed siebie nogi i opuścił brodę na pierś. Bok głowy wsparł na dłoni, której łokieć oparł o blat. Matka stała obok niego, zastygła i niedowierzająca.

– Cesarz ogłosił abdykację – ciągnął ojciec. – Jutro lub pojutrze ma zostać podpisany akt kapitulacji.

– Przecież sytuacja na frontach jest dobra. Czytałam, że na większości odcinków armia odnosi zwycięstwa.

– Armia! – parsknął ojciec.

– Karl, o co chodzi? Proszę, wyjaśnij mi. Przecież... Nie możemy się poddać. Nie... To niemożliwe.

– Już przed trzema dniami pod pretekstem urlopów zlurowano część kompanii. Dlatego odesłali mnie do domu. Rozumiesz?

Matka pokręciła głową. Ja również niczego nie rozumiałem, ale przecież miałem ledwie siedem lat. Jednak już wtedy czułem narastający gniew.

– Uznano, że część jednostek frontowych może nie podporządkować się rozkazowi demobilizacji. – Ojciec drgnął i uniósł głowę. Spojrzał matce w oczy. – Dlatego tchórzliwie je rozwiązali. Co za potwarz, co za wstyd!

– Ale...

– To wszystko wina cholernych robotników i zdradzieckich bydląt z Berlina, Hamburga i Frankfurtu. Już od dawna docierały do nas wieści o masowych protestach, o niszczeniu zapasów amunicji, uzbrojenia, a co zupełnie niepojęte, o nawoływaniu do dezercji. Żony, kochanki i matki żołnierzy wprost nakłaniały ich do porzucenia towarzyszy broni!

Ojciec przysłonił oczy dłonią i zacisnął usta. Wyglądał jak człowiek będący na skraju szaleństwa. Nagle poderwał się i wyciągnął z kabury rewolwer.

– Nie można żyć w hańbie – wyszeptał dziko. – Nie ma dla nas żadnej przyszłości.

– Karl!

Krzyk matki zmieszał się z hukiem dwóch wystrzałów.

Nie. Ojciec ani nie zabił matki, ani nie popełnił samobójstwa. W geście rozpaczony wystrzelił w sufit izby, pozostawiając ślady, które tkwią w nim do dzisiaj. To ślady równie ważne dla niemieckiej pamięci, co dla Kościoła katolickiego ważne są relikwie świętych. Drobne, prawdziwe gesty tworzą naszą tożsamość. Określają, kim jesteśmy i jacy będziemy. Pokazują drogę, którą powinniśmy podążać bez względu na to, czy będzie się to podobało reszcie świata. Germański duch to duch wolności oraz nieposkromienia – połączonych żelazną dyscypliną. Nie można ich zarzucić ot tak. Widzimy to również dzisiaj, niemal na każdym kroku. Tu, w obozie, ale i na frontach lub w miastach Trzeciej Rzeszy. Mamy niegasnącego ducha, który mógł zostać stłamszony jedynie siłą wewnętrznego fermentu.

Czy napije się pan jeszcze kieliszka armaniaku? A może woli pan wino? Mam również prawdziwego szampana, ale prawdę powiedziawszy, traktuję go jako trunek pasujący do natury francuskiej. My, Niemcy, potrzebujemy czegoś wyrazistszego i konkretniejszego. Nawet piwa. Proszę kosztować. Jeśli będę mógł służyć jakimkolwiek innym poczęstunkiem, proszę śmiało mówić.

Tymczasem nie sądzę, by interesowały pana chwilowe problemy finansowe ojca oraz to, że dzięki jego mozolnej pracy przedsiębiorstwo ponownie zaczęło się rozkręcać. Mimo to na początku lat dwudziestych w domu wciąż wyczuwalna była atmosfera depresji i posępnego wyczekiwania, by wreszcie zrzuceno z nas jarzmo traktatu weimarskiego. Wiem, że ojciec prowadził poufne rozmowy z wieloma dawnymi odbiorcami części, zapewniając, że w razie potrzeby gotów jest niemal z dnia na dzień przestawić produkcję na potrzeby wojskowe. Niestety w tamtych czasach ruch narodowy rozwijał się jeszcze zbyt wolno i na gruncie zawieruchy politycznej nie znajdował szerszego poparcia. Ludziom nie brakowało odwagi, lecz,

jak pan wie, musieliśmy czekać na pojawienie się jednostek gotowych nas poprowadzić.

W roku dwudziestym czwartym, przy aprobacie ojca, wstąpiłem do Niemieckiego Związku Narodowego Młodzieży. Pragnąłem działać i trafiłem na innych młodzieńców dorównujących mi zapałem. Początkowo nasze struktury były ułomne, a pomysły ograniczone. Jednak z perspektywy lat z rozrzewnieniem wspominam równonoc czerwcową dwudziestego siódmego albo ósmego roku. Wtedy wraz z grupą przyjaciół zorganizowaliśmy prawdziwe pragermańskie święto.

Skoro tylko zapadł zmrok, na zboczu góry rozpaliliśmy wiele ognisk, które były doskonale widoczne z mojego rodzinnego miasteczka. Zdawało się, że słupy ognia wystrzeliwują w górę z jakichś tajemnych kraterów. Wtedy rozbrzmiała muzyka naszej orkiestry. Nie mam dobrego słuchu ani pamięci muzycznej, więc nie zanucę panu żadnego z tych utworów, lecz do tej pory pobudza mnie wspomnienie tamtych chwil. Mimo lat upokorzenia, mimo prób stłamszenia naszego narodowego ducha byliśmy dumni i niezłomni. Niczym nasi przodkowie, którzy odpierali zakusy wielkiego imperium rzymskiego, symbolicznie opieraliśmy się imperializmowi Zachodu. Ożywialiśmy ducha dwóch tysięcy lat!

O północy odpaliliśmy sztuczne ognie. Przez dziesięć minut dolinę rozświetlał pokaz, jakiego nie widziano nigdy wcześniej. To ja byłem jego twórcą i organizatorem. Wiedział o tym każdy w miasteczku. Po raz pierwszy zaczęto kojarzyć młodego Mengelego inaczej niż jako synalka znanego wszystkim ojca...

– Właśnie. – Mój rozmówca przerywa mi i marszczy czoło. Dopija wino, po czym odstawia kieliszek na blat biurka. Jego badawcze spojrzenie lustruje mnie, ale nie odwracam wzroku. Wiem, że jest berlińskim psem gończym, i wiem też, że podobnych jemu należy obłąskawić, dając im się powąchać. Nie można ich drażnić ani zbywać.

Tym bardziej że przecież nie mam nic do ukrycia. – Pański ojciec. Czy mógłby pan opowiedzieć coś o nim?

17.

Ojciec jest praktyczny. Zapewne wie pan, że w roku trzydziestym drugim na terenie naszej fabryki zorganizował zjazd NSDAP, który swą obecnością uświetnił sam Führer. Przybyłem wtedy specjalnie z Monachium, aby móc w nim uczestniczyć.

„Biorąc pierwszy oddech, wyczuwa się tu odwieczną, niezwyciężoną duszę naszego narodu”. Doskonale pamiętam te słowa wodza. I jeszcze te o pięknej, dzikiej ziemi, która stała się posłuszną okolicznym mieszkańcom. Potem nastąpiły krótkie podziękowania dla ojca, w trakcie których wspomniano jego wojenne zasługi. Wtedy od wielu lat należał do związku kombatantów oraz kilku mniej istotnych organizacji.

Tak, wiem, do czego pan zmierza. Albo raczej czego dotyczyło pańskie pytanie. Owszem, mimo gorliwego zapału i patriotyzmu, ojciec został członkiem NSDAP dopiero po naszym zwycięstwie wyborczym. Nie wynikało to z jego wątpliwości lub tym bardziej jakiegokolwiek niechęci. Proszę pamiętać, że ojciec przede wszystkim jest przedsiębiorcą i człowiekiem praktycznym. Już o tym mówiłem. Doskonale pan zdaje sobie sprawę z sytuacji gospodarczej Niemiec pod koniec lat dwudziestych i na początku czwartej dekady wieku. Walczyliśmy wtedy o przetrwanie, a gros naszych klientów stanowili Żydzi oraz bogacący się chłopci, myślący, że są komunistami. Podkreślam, że jedynie tak wtedy myśleli, gdyż w rzeczywistości nie mieli bladego pojęcia o komunizmie. W każdym razie ojciec nie mógł deklaracją polityczną ukrócić tych kontaktów i wysuszyć źródła utrzymania rodziny.

Wydatki były spore. Rodzice mieli dwie osoby na służbie, a ja oraz mój brat Alois studiowaliśmy. Ojciec szczegółowo zaplanował nasze kariery, choć wiem, że i matka miała na to istotny wpływ. W końcu wychowanie dzieci nie ogranicza się jedynie do ich wykarmienia piersią, prawda? Inteligentna, niemiecka kobieta ma prawo wesprzeć męża w wyborze przyszłości dla synów.

Alois od dawna wykazywał zainteresowanie pracą w rodzinnej fabryce. Dlatego skierowano go do szkoły handlowej, w której miał zyskać wiedzę niezbędną do poszerzenia działalności. Ja roiłem rozleglejsze marzenia. Czułem, że przedsiębiorstwo, bez względu, jak wielkie by było, jedynie by mnie ograniczało. Uważałem, że jestem stworzony do czegoś innego, choć wówczas jeszcze nie potrafiłem jednoznacznie określić, co chcę w życiu robić.

Rozważałem pójście na uczelnię techniczną, kierunek inżynieryjny, a nawet wstąpienie do armii. Jednocześnie pasjonowały mnie antropologia, zoologia i botanika. Prowadziłem atlas roślin, porównywałem je i klasyfikowałem. Ostatecznie wyjechałem na Uniwersytet Monachijski. Początkowo traktowałem to niczym wyjazd na front, na którym zyskam pierwsze szlify, a los pokaże, w jakim kierunku jestem naprawdę uzdolniony. Proszę wybaczyć pewien chaos narracyjny, lecz chcę panu przekazać jak najwięcej informacji. Skoro zależało panu na szczerości i otwartości, nie mogę przedstawić jedynie zwięzłego, suchego raportu.

Mamy więc początek lat trzydziestych, usprawiedliwione wydatki domowe i początek mojej kariery zawodowej. Może się to panu wydać zabawne, ale zdecydowałem się na stomatologię. Z jednej strony w tym zawodzie istotny jest element zdolności technicznych, a z drugiej odpowiada zainteresowaniu biologią. Oczywiście stomatologii nie można również przecenić z perspektywy antropologicznej. Dzięki uzębieniu potrafimy nie tylko rozpoznać rasę, płeć i wiek człowieka.

Możemy również zidentyfikować zwłoki lub tę identyfikację uniemożliwić. Ta wiedza miała mi się przydać...

18.

Nie wiem, czy kiedykolwiek był pan na Uniwersytecie Monachijskim. Proszę pomyśleć o szerokich, ale dość ciemnych korytarzach, o wielkich schodach, posepnych twarzach spoglądających z wielkich portretów, a do tego o tłumie postaci kłębiących się w środku. W większości z nich kipiały niepohamowane ambicje i pragnienia. To był prawdziwy kwiat bawarskiej i nie tylko bawarskiej młodzieży. Nieco oszołomiony, odprawiłem ojca do hotelu, po czym postanowiłem samodzielnie udać się do dziekanatu. Nie wiem dlaczego, ale w pewnym momencie odezwał się we mnie jakiś instynkt. Poczulem duszność i potrzebę zebrania myśli.

Wyszedłem na podwórze, gdzie z teczką dokumentów pod pachą usiadłem na skraju fontanny. Może moje skrzące się oczy, a może jakiś wyraz dezorientacji sprawiły, że dosiadł się do mnie niski, krępy młodzieniec o wyjątkowo inteligentnym spojrzeniu. Zaczęliśmy niezobowiązującą pogawędkę i wkrótce dowiedziałem się, że ten dwudziestodwulatek nazywa się Julius Diesbach i jest studentem trzeciego roku medycyny.

– Stomatologia? – Parsknął z pogardą. – To piekielnie wąska specjalizacja. Idą na nią tylko ci, którzy nie potrafią poruszać się po szerszym gruncie medycyny. Grzebią w cuchnących gębach, nie mając pojęcia o tym, co naprawdę ciekawe.

– A co jest naprawdę ciekawe? – zagadnąłem prowokująco.

– Człowiek! Więcej wiemy o kosmosie i głębinach oceanu niż o nas samych. Dlaczego się starzejemy, dlaczego niektórzy z nas są

melancholikami, a inni sangwinikami? Dlaczego czasem zmienia się to w trakcie naszego życia i wreszcie: dlaczego umieramy?

Pamiętam, że tych pytań i zagadnień było znacznie więcej. Podejrzewam, że Diesbach zaczerpnął swoją przemowę z wykładu któregoś z profesorów lub ze wstępu do podręcznika, ale wywarł na mnie głębokie wrażenie. Zastanawiałem się nad wszystkim, co mówił, i poczułem inspirację. Rzeczywiście, żeby mogły stanowić pewien punkt wyjścia, ale dlaczego miałbym się do nich ograniczać? Dlaczego nie miałbym zgłębiać tajemnic, które czekają na odkrycie? W medycynie mogłem wreszcie zostać odkrywcą i uzupełnić białe plamy ludzkiej niewiedzy, czyli zrobić to, o czym zawsze marzyłem. Medycyna dawała mi możliwość trafienia na karty encyklopedii. Zapewne pan wie, że już na nie trafiłem...

Tak, tamta krótka rozmowa zadecydowała o mojej przyszłości. Gdyby nie Diesbach, nigdy nie rozmawialibyśmy ze sobą. Być może tamte dziesięć minut sprawiło, że nie tkwię teraz w jednym z gabinetów dentystycznych zlokalizowanych w bocznych ulicach monachijskiego rynku lub w suterrenach zapyziałych szpitali.

Inspiracja. To jej potrzebujemy do życia i to właśnie ona sprawia, że jesteśmy zdolni zdobywać najwyższe szczyty. W swoim otoczeniu potrzebujemy osób, które tchną w nas ducha. Na mojej drodze życia nigdy ich nie brakowało, jakby czuwała nade mną jakaś tajemnicza moc. Teraz sam staram się dawać natchnienie przebywającym w moim otoczeniu. A pan nie czuje się zainspirowany myślą o zgłębianiu ludzkiego ciała? Nie pobudza pana moje własne pobudzenie, drżący głos i entuzjazm? Widzę to doskonale.

Jednak od mojego pierwszego spotkania z Diesbachem do momentu, gdy rozmawiamy w tym gabinecie, minęło wiele czasu. Potrzeba było kolejnych zbiegów okoliczności i szczęśliwych inspiracji, abym trafił właśnie tutaj. Wówczas z pewnością nie marzyłem, że spotkam tysiące osób, dzięki którym moje badania staną się słynne na całym

świecie. Prawdę mówiąc, większość z nich spotykam na obozowej rampie...

19.

Dzięki kontaktom ojca jeszcze tego samego dnia, kiedy złożyłem dokumenty na wydział medycyny i zostałem na niego przyjęty, znaleźliśmy dla mnie pokój. Zamieszkałem w domu profesora Friedricha Loffera i jego żony. Było to typowo mieszczańskie, nieco ciemne i ponure lokum, przepełnione atmosferą nauki oraz powagi. Największą zaletę stanowiła lokalizacja – ledwie kilkadziesiąt metrów od instytutu anatomii, a także czynsz wynoszący miesięcznie równiuteńko pięćdziesiąt pięć marek[4].

Profesorostwo prosiło ojca, by osobiście za mnie poręczył, co w tamtych czasach stanowiło ciekawą spuściznę pruderii poprzedniego stulecia. Nie musieli się jednak obawiać ani pijaństwa, ani rozpusty. Alkoholu, jak pan widzi, niemal nie tykam, ze względu na chroniczne problemy z nerkami oraz konieczność przestrzegania surowej diety, natomiast w wieku dwudziestu lat nadal zachowywałem istotną wstrzeźliwość i dystans do płci przeciwnej. Korzystając z okazji, może ma pan ochotę na jakiś inny alkohol? A może przywołać służącą, aby przygotowała nam przekąskę? To żaden problem, ci ludzie cieszą się, jeśli mogą się przede mną wykazać. Ale mniejsza z tym... Skoro woli pan słuchać, wracajmy do przeszłości.

Na pożegnanie ojciec zabrał mnie do eleganckiej restauracji mieszczącej się naprzeciw katedry Najświętszej Marii Panny. Nie wiem, czy ten lokal nadal istnieje, ale gdyby miał pan okazję się pojawić w okolicy, gorąco zachęcam do spróbowania jagnięciny z warzywami. Tu, w Generalnej Guberni, nikt nie potrafi przyrządzić

jagnięciny. Robią ją na jakąś ohydną, średniowieczną modłę, zanurzając ją w przyprawach, byle tylko zabić smak mięsa. Dla Bawarczyka to świętokradztwo, to... Przepraszam, dość o jedzeniu.

Po skończonym posiłku ojciec zamówił świeże, marcowe piwa, co dobitnie dowodzi, jakim jest człowiekiem. Mimo że było go stać, nie zamierzał wznosić toastu szampanem albo francuskim winem. Za powodzenie moich studiów, uśmiechając się, dobrodusznie wznosił w górę gruby, pękaty kufel. Tręciliśmy się, wypiliśmy po solidnym łyku i wtedy ojciec powiedział coś, co utkwilo mi w pamięci na zawsze.

– Gdyby zdarzyło ci się nieszczęście ze strony kobiety – odezwał się, patrząc mi prosto w oczy – natychmiast udaj się do najlepszego lekarza. Z tymi chorobskami nie ma żartów. Poinformuj mnie, a ja za wszystko zapłacę[5].

Rozumie pan? Zamiast wnieść jakiś kolejny górnołotny toast, ojciec nakazał mi nie lekceważyć chorób wenerycznych! Następnie zapłacił, w milczeniu wstaliśmy od stolika i odprowadziłem go na dworzec kolejowy. Przez całą drogę myślałem o tym, że nie powinniśmy się bać żadnych schorzeń. Obiecałem sobie, że wynajdę lekarstwa na przynajmniej niektóre z nich. I właśnie tym zajmuję się tutaj, w Auschwitz. Po raz kolejny proszę docenić szczerą, motywującą inspirację. Możemy to chyba nazwać przewrotnością losu, prawda?

20.

Ostatnie prawdziwe wakacje w moim życiu upłynęły pod znakiem zabaw i muzyki. Proszę jednak nie myśleć o jakiegokolwiek rozpuście lub wyuzdaniu. To nigdy nie tkwiło w mojej naturze. Zdaje się, że małomiasteczkowy, pruderyjny duch zawsze definiował moje zachowanie oraz wybory.

Wyjechałem nad Morze Północne, gdzie w jednym z uzdrowisk poznałem uroczą dziewczynę z Nadrenii. Po raz pierwszy poczułem to, co do kobiet czują mężczyźni, a nie chłopcy. Miłość. Nie jakies krótkotrwałe, banalne zauroczenie, lecz prawdziwą, pełną rozmysłu miłość.

Może pan uznać, że nie można się w nikim zakochać przez parę dni, ale zaręczam panu, że niezbadane są procesy chemiczne zachodzące w ludzkim mózgu. To jednak z pewnością nie jest temat istotny dla tej rozmowy. Tym bardziej że, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, pora rozstania przyszła zbyt szybko i zupełnie niespodziewanie.

Czas biegł swoim tempem. Pierwszy rok nauki upłynął gładko, a kolejne przedmioty zaliczałem bez problemu. Z tygodnia na tydzień rozbudzało się moje zainteresowanie medycyną oraz człowiekiem jako takim. Całe wieczory spędzałem nad podręcznikami. Byłem pilnym i dobrym studentem, który nie stronił jednocześnie od wyjść z przyjaciółmi. Wiem, że ich krąg był dość wąski, lecz nie przeszkadzało mi to. Nigdy nie łaknąłem szerszej akceptacji. Ważne było, abym mógł w pełni zaufać osobom z najbliższego otoczenia. Jednocześnie... Wielu chłopakom przeszkadzało, że stać mnie na więcej niż ich. Nie rozumieli, że stoi za tym ciężka praca mojego ojca i że mimo możliwości wcale nie jestem rozrzutny. Czare goryczy przelał samochód, który otrzymałem od jednego z monachijskich współpracowników ojca. Automobil miał mi ułatwić poruszanie się pomiędzy licznymi budynkami uniwersytetu, szczególnie ze względu na gnębiące mnie choroby. W tamtym czasie lekarze stanowczo zabraniali mi poruszania się na rowerze ze względu na ewentualność przewiania nerek.

Zdaję sobie również sprawę, że dla niektórych bliskich mi osób stałem się po prostu osobliwością, kimś, z kim warto się pokazać i zaprezentować w towarzystwie. Zdemaskowałem kilkoro

zakłamanych osób na co dzień mi sprzyjających, lecz jednocześnie szkalujących mnie za plecami. Wtedy też po raz pierwszy zrozumiałem, że zakłamanie leży w naturze żydowskiego ducha.

Nie wiem, czy interesują pana te wszystkie wynurzenia o zabawach, o upodobaniu do zdegenerowanej zachodniej muzyki, do kameralnych koncertów oraz wizyt w lokalach, gdzie odbywały się ohydne występy. Młodość ma swoje prawa, chyba się pan z tym zgodzi? Wszyscy o tym wiemy, ale obiecałem panu bezgraniczną szczerość.

W roku trzydziestym pierwszym niespodziewanie przyszedł do mnie list. Długo trzymałem w dłoni kopertę z imieniem oraz nazwiskiem tamtej dziewczyny, którą poznałem nad morzem. Nie widzieliśmy się wiele miesięcy, a teraz nagle donosiła, że dowiedziała się o miejscu mojego pobytu. Zapewniała, że chciałaby się spotkać i że ponownie może „odżyłoby to, co dawniej zdawało się nas łączyć, lecz nie zdążyło stężeć”. Użyła dokładnie tych słów, dodając, że obecnie mieszka w Lozannie.

Szalony impuls sprawił, że momentalnie podjąłem jedną z najbardziej spontanicznych decyzji swojego życia. Zdecydowałem się przenieść na uniwersytet do Bonn, gdzie znalazłem się niespełna dwa miesiące po odnowieniu korespondencyjnej znajomości. Tam też po raz kolejny zetknąłem się z polityką, która sprawiła, że stałem się coraz doskonalej ukształtowanym człowiekiem. No, ale zrobimy wreszcie przerwę. Jest już najwyższy czas na obiad. Te wspomnienia sprawiły, że cholernie zgłodniałem, a pan? Po posiłku przejdziemy do ideałów wcielanych w życie. A potem do śmierci. O tak, o niej będę mógł panu sporo opowiedzieć. Wiem o niej więcej niż ktokolwiek inny.

Wspomniałem o przenosinach do Bonn i o tamtej dziewczynie. Pan wybaczy, ale nie wymienię jej imienia ani nazwiska, dość powiedzieć, że nasze ścieżki szybko całkowicie się rozplotły. Tak to już bywa. Nie chciałbym oceniać, sam sobie mam wiele do zarzucenia, lecz przynajmniej rozumiałem wtedy, czego tak naprawdę oczekuję od kobiet. Pojąłem rolę płci oraz ich uwarunkowań. Każde z podobnych rozważań pochłaniało mnie i nakłaniało do iście naukowego podejścia. Analizowałem je pod kątem antropologii, genetyki, a nawet filozofii. W tamtym czasie intrygowała mnie również właśnie filozofia.

Nie zbacząc zbytnio z tematu, dość boleśnie przeżyłem rozstanie. Nie miało ono eleganckiej formy i padło wiele dosadnych słów. Na pewno wie pan, jak to wygląda, szczególnie w tym wieku pełnym wigoru oraz młodzieńczej energii. Teraz jest mi za siebie wstyd, żałuję kilku listów, lecz nie mogłem postąpić inaczej. Czułem żal przede wszystkim ze względu na to, że dla tej śmiesznej miłości przeniosłem się do Bonn. Szybko jednak zrozumiałem, że we wszystkim należy doszukiwać się korzyści.

Po rozstaniu nagle miałem znacznie więcej czasu. Zamiast na spacer i do kawiarni zacząłem chodzić na zebrania partyjne. Aktywnie udzielałem się w Stahlhelmie[6], do którego przecież od wielu lat należał mój ojciec. Jednocześnie starałem się pozyskiwać jak najwięcej członków na uczelni oraz organizować spotkania z weteranami Wielkiej Wojny. Wtedy po raz pierwszy dostrzegłem, jak zdegenerowana jest część środowiska akademickiego. Żydzi, bolszewicy i rozmaici reakcyjniści robili wszystko, aby nie dopuścić do chwalebnych wieców. Ich postawa jedynie rozbudziła we mnie zapał. Ze zdwojoną energią zapraszałem prelegentów, wynajmowałem sale i poszukiwałem nowych członków. Wiem, że moje działania znalazły uznanie najwyższych władz organizacji.

Wobec niechęci części profesorów musiałem uczyć się ze zdwojoną intensywnością. Tylko czyhano na moje potknięcie i nie zamierzałem

nikomu dać możliwości do jego wykorzystania. Opracowałem charakterystyczny system nauki oparty na domowym archiwum. Porządkowanie wiedzy stało się dla mnie pasją na równi z jej zgłębianiem. Proszę zobaczyć.

Odchrząkuję i podnoszę się z fotela. Podchodzę do wysokiej, drewnianej komody. Wyciągam kolejne wąskie szuflady, które wypełniają karty, notatki oraz fiszki. Mój gość z uznaniem kiwa głową. Nie potrafi ukryć, że jest pod wrażeniem.

– To jedynie archiwum gabinetowe – ciągnę. – Namiastka tego, co rozpocząłem tworzyć. Docelowo zamierzam skatalogować całą wiedzę, którą zdobędę na podstawie doświadczeń prowadzonych w obozie. Bardzo ważne są przy tym fotografie. One pozwalają lepiej zrozumieć naturę wielu rzeczy... Nawet to.

Wyciągam zdjęcie leżącej na stole kobiety. Jej brzuch jest rozcięty i rozwarty za pomocą specjalnych imadeł. Doskonale widać, że była w ciąży, ale płody są usunięte. Kadr jest na tyle szeroki, że widać główkę jednego z nich, wrzuconego do metalowego wiadra. O ile mnie pamięć nie myli, drugi został poddany sekcji na sąsiednim stole.

– Sprawdzaliśmy, czy ułożenie płodów bliźniaczych ma znaczenie dla ich rozwoju – oznajmiam. – Pozwoliłoby to w przyszłości selekcjonować silniejszych i słabszych bliźniaków, na przykład pod kątem pracy naukowej lub wstąpienia do armii.

Mniejsza z tym. Do tego, co się tu dzieje, przejdziemy niedługo. Wtedy opowiem panu o planach oraz marzeniach, a pan może ułatwi mi spełnienie tych drugich. Wróćmy jeszcze do czasów, kiedy rozumiałem, kto jest prawdziwym wrogiem.

W wakacje trzydziestego drugiego roku przyjechałem z moim przyjacielem Ottonem Krauchem do Günzburga. Oddaliśmy się wycieczkom, wędrówkom w góry oraz debatom. Zawsze pociągały mnie konstruktywne rozmowy, a Otto był wyjątkowo inteligentnym człowiekiem. Zgadaliśmy się co do potrzeby oczyszczenia środowiska akademickiego z rewolucyjnej zarazy, lecz on był znacznie bardziej radykalny. Uważał, że reakjniści powinni trafić do więzień, a następnie na szubienicę. „Nie możemy za nasze pieniądze hodować zdrajców i wichrzycieli. Bez względu na to, czy przebywają na wolności, czy w zamknięciu”. Te słowa zwróciły moją uwagę. Rzeczywiście, utrzymywanie wrogów systemu jest działaniem całkowicie nieracjonalnym. Natomiast czy racjonalność da się pogodzić z humanitaryzmem, o którym tak wiele mówiło się od kilkunastu lat? A jeśli nie, co jest istotniejsze?

Jak pan widzi, problemy moralne wciąż mnie żywo zaprzatają. Mimo upływu lat nie znalazłem jednoznacznej odpowiedzi na te pytania, choć funkcjonowanie obozu przynosi pewne wskazówki. Owych wichrzycieli i zdrajców można wykorzystać w imię rozwoju cywilizacji. Wtedy ich życie nabiera znaczenia, nawet jeśli w jakimś stopniu pokrywamy wydatki na ich utrzymanie lub dokonywanie na nich eksperymentów.

W tamtych czasach nie byłem jednak do końca ukształtowany. Gdy któregoś wieczoru wracaliśmy z wyprawy, już z daleka usłyszeliśmy szaleńczą muzykę oraz krzyki. Potem dołączył do nich równy, ciężki krok marszowy. Pamiętam to jak dziś...

– Co się dzieje? – Otto przyśpieszył kroku. – Jakieś pokazy wojskowe?

– Nie mam pojęcia.

Niemal biegiem rzuciliśmy się do miasteczka. Na ścianach pierwszych domów dostrzegłem plakaty z czerwoną gwiazdą oraz rewolucyjnymi hasłami. Miałem ochotę je zrywać, lecz ciekawość nie

pozwoili mi się zatrzymać. Gdy wypadliemy na główną ulicę, zauważyłem kilkudziesięciosobowy pochód bydła ubranych jak radzieccy proletariusze. Wymachiwano flagami, grano na rosyjskich instrumentach i wznoszono komunistyczne hasła. Okazało się, że to jedna z nieformalnych bojówek przyjechała do miasteczka na zaproszenie lokalnego radnego.

– Maszerują jak żołnierze – zauważył Otto. – To nie jest krok cywilów.

Również zwróciłem na to uwagę. O nie, to nie byli cywile, lecz zorganizowani wojskowo wrogowie naszej ojczyzny, tradycji i kultury. Szli ze wzniesionymi podbródkami, rzucając wyzywające spojrzenia skonsternowanym mieszkańcom spokojnego Günzburga.

– Międzynarodowy ruch robotniczy! – wykrzykiwali. – Łączmy się ponad granicami!

Jednak to łączenie pieczętowali rzucaniem oszczerstw na wymyślonych burżujów oraz ciskaniem w mury niektórych domów brudami. Jeden z oszpeconych budynków należał niegdyś do mojej babki, kobiety, która w czasach biedy zajęła się wyplataniem kapeluszy i zarobiła na tym krocie. Kobiety, która dowodziła, że nie rewolucją, ale własną uczciwą pracą dochodzi się do sukcesu. Ogarnęła mnie wściekłość. Chciałem rzucić się z gołymi rękoma na te głupie bydła, lecz Otto mnie powstrzymał. Kazał mi odetchnąć i spokojnie się zastanowić, co osiągnę, pakując się w kłopoty. Wzruszyłem ramionami, parsknąłem, lecz wiedziałem, że ma rację.

– Nie można deptać naszej przeszłości – wycodziłem, choć pewnie brzmi to banalnie. Nadal jednak wierzę w te słowa. Przeszłość jest święta i jeżeli my będziemy ją pielęgnować, dla następnych pokoleń sami staniemy się świętymi. Oczywiście mam na myśli prawdziwą, dziką świętość germańskich wodzów i zdobywców.

Wtedy ostatecznie postanowiłem działać. Zrozumiałem, że wroga trzeba zniszczyć, zanim na dobre podniesie głowę na naszej własnej

ziemi. Należało zlikwidować go wszelkimi możliwymi sposobami, choćby świat wołał, że są niehumanitarne. To nie było starcie ludzi, ale walka cywilizacji oraz barbarzyńskiego chaosu. Dziś doskonale widzimy ją na Wschodzie.

Niedługo po tamtych wydarzeniach, w związku z reorganizacją Stahlhelmu, wstąpiłem do SA. Działiałem w nim niemal przez rok, do momentu, gdy okazało się, że najwyższe władze organizacji spiskowały przeciwko Adolfowi Hitlerowi. Wówczas zdecydowałem się bezgranicznie zawierzyć Führerowi i podążyć szlakiem narodowego socjalizmu. Moje życie nabierało rozpędu. I sensu.

23.

Rok trzydziesty szósty przyniósł w moim życiu dwa istotne wydarzenia. Po pierwsze, zdałem egzamin lekarski i rozpocząłem staż w klinice dziecięcej Uniwersytetu Lipskiego. Klinika mieściła się w starym, surowym budynku z wysokimi oknami, przez który które wpadało stanowczo zbyt wiele światła. Pewne sceny powinny pozostawać w półmroku, aby zbyt głęboko nie wbijać się w psychikę obserwatorów. Przynajmniej taką opinię usłyszałem z ust jednego ze starszych lekarzy, ale z perspektywy czasu nie do końca się z nim zgadzam. Szpitale z założenia mają służyć szczytnym celom i nie można ich traktować jako miejsca śmierci i chorowania, lecz jako placówki dające życie oraz przynoszące ozdrowienia. Wówczas wyrazistość scen oraz obfitość światła są jak najbardziej pożądane. Oczywiście naturalną konsekwencją terapii i walki o życie jest również śmiertelność, lecz musimy ją podporządkowywać innym celom. Ma stać się instrumentem, statystyką oraz tłem. Jeżeli zdystansujemy się od pacjentów, jesteśmy w stanie działać lepiej

i sprawniej. Szpital to dom medyków, a dla całej reszty ludzkości jedynie miejsce przechodnie. Nie możemy o tym zapominać...

Przepraszam, po raz kolejny zbaczam z tematu, jednak zagadnienie psychicznej dbałości o personel oraz kuracjuszy również stanowi istotną płaszczyznę moich zainteresowań. Wróćmy jednak do sedna.

Zapewne po przejrzeniu moich akt pamięta pan, że w Lipsku kilkakrotnie uczestniczyłem w wiecach partyjnych. Co prawda nie byłem jeszcze członkiem, ale polityka coraz mocniej mnie interesowała. Dostrzegałem w niej element mogący przyczynić się do rozwoju medycyny. Zresztą z wzajemnością.

Teraz przechodzimy do drugiego istotnego dla mnie wydarzenia z tamtego okresu. W trakcie jednego ze spotkań entuzjastów narodowego socjalizmu wygłaszałem odczyt o czystości rasy. Ot, garść różnych przemyśleń połączonych z najnowszymi odkryciami naukowymi oraz zagadnieniami filozoficznymi. Gdy zszedłem ze sceny, zauważyłem, że przy moim stoliku poza dwójką przyjaciół siedzi młoda, wysportowana blondynka o niebieskich oczach. Spojrzała na mnie chłodno i wyniośle.

– Irene – przedstawiła się, uważnie mi się przypatrując. – Irene Schönbein.

– Przepraszam, ale nic mi nie mówi pani nazwisko.

Moi przyjaciele popatrzyli się na mnie spode łbów i skupili na popijaniu piwa.

– Moja kuzynka, Anne, była pańską pacjentką – odezwała się po chwili Irene. – Właściwie nie był pan lekarzem prowadzącym, ale mniejsza z tym.

– Do czego pani zmierza?

– Jej dziecko zmarło chwilę po porodzie. Nie wiadomo, co się stało. Wygłasza pan piękne frazesy o rozwoju rasy, lecz nie potraficie uratować dziecka. Może lepiej skupić się na życiu, a nie na filozofii.

Nic nie odpowiedziałem. Co w ogóle mogłem powiedzieć na takie słowa? Tymczasem Irene powoli podniosła się od stolika i spojrzała na mnie z pogardą.

– Po krótkiej konsultacji powiedział pan jej, że prawdopodobnie będzie mogła powtórnie zająć w ciążę – parsknęła gniewnie. – Nic więcej. Tylko cholerne zdanie o tym, że nadal jest płodna. Że kolejnym dzieckiem wynagrodzi stratę pierwszego.

Jak przez mgłę przypomniałem sobie tę sytuację. Nie byłem aż tak niedelikatny, ale, rzecz jasna, przygotowywano mnie do trudnych rozmów. Nigdy nie wahałem się powiedzieć prawdy. To właśnie kwintesencja owych wysokich okien i jasnego światła wpadającego do budynku kliniki. Nigdy nie kłamałem. Poza tym w moim przekonaniu najważniejszą informacją dla kobiety, która jest przecież genetycznie zaprogramowana do rozmnażania, stanowi ta o jej zdolnościach reprodukcyjnych. Wobec śmierci potomstwa nabiera ona szczególnego znaczenia, choć może pośpieszyłem się z jej wyjawieniem.

Uśmiecham się i filuternie spoglądam w oczy mojego rozmówcy. Karl Neuman z uznaniem kiwa głową. Wypuszcza kłęb dymu i strzepuje popiół cygaretki do popielniczki.

– A nieco ponad rok później Irene została pańską żoną, prawda? – Jego uśmiech jeszcze się poszerza. – Ma pan coś w sobie, panie Mengele. I dlatego coraz bardziej mi się pan podoba.

24.

Z Lipska los zagnał mnie do Frankfurtu nad Menem. Po stażu klinicznym mogłem wreszcie działać tam, gdzie chciałem i z kim chciałem. Od pewnego czasu prowadziłem korespondencję z profesorem Otmarem von Verschuerem, o którym zapewne wiele pan słyszał. To weteran Wielkiej Wojny, ale przede wszystkim

znakomity naukowiec i niestrudzony badacz. Zainteresowały go moje prace naukowe oraz pasje antropologiczne. Wymieniliśmy wiele inspirujących listów, w których... Chwileczkę, dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak często używam tego słowa. Czy to nie znamienne? Jednak nie potrafię tego ocenić inaczej niż właśnie w ten sposób. Nasza korespondencja była inspirująca i natchnęła mnie do wyjazdu do Frankfurtu.

W roku trzydziestym siódmym rozpocząłem pracę dla Instytutu Biologii Genetycznej i Higieny Rasowej przy Uniwersytecie Frankfurckim. Profesor został moim bezpośrednim przełożonym oraz mentorem. Prowadziliśmy głębokie studia nad zagadnieniami antropologicznymi oraz genetycznymi. Głośnym echem odbił się pewien list, który wysłaliśmy do ministerstwa... W tamtym czasie ustawy rasowe już weszły w życie i nie można było zbywać ich funkcjonowania milczeniem. Niestety w niektórych kręgach wciąż starano się je bojkotować.

Tak się złożyło, że właśnie wtedy wziąłem udział w sesji rady miejskiej. Wygłosiłem drobny odczyt, po którym na sali obrad wzniesiono oklaski. Jednak dwóch rajców podniosło się i niemo obserwowało resztę towarzystwa. Rzucali mi gniewne spojrzenia, po czym w wyrazie protestu cisnęli na ziemię jakimiś dokumentami.

– Jak pan śmie w ten sposób generalizować! – krzyknął jeden z nich. – Jest pan niespełna trzydziestoletnim podrostkiem, a szafuje pan sądami na prawo i lewo. Co ma wspólnego żydowska twarzoczaszka z pojemnością mózgu?

– Badania wskazują na specyfikę budowy – wyjaśniłem chłodno. – Ucisk części skroniowej może predestynować do pewnych cech oraz zachowań.

– Czyżby?!

– Na przykład do impertynencji w trakcie odczytu w sali rady miasta.

Moja uwaga wywołała ogólne rozbawienie, ale tamtych dwóch dosłownie się zagotowało. Byli cali czerwoni, a pot lał się po ich twarzach strumieniami.

– Sugeruje pan, że jestem Żydem?! – parsknął ten bardziej wyszczekany. – Obrzydliwe pomówienie. Zresztą...

Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że sam zagnał się w ślepią uliczkę. Wściekły, sztywnym krokiem wyszedł z sali. Pożegnały go śmiechy oraz drwiny. Mimo wszystko czułem się obrażony i nie zamierzałem mu tego puścić płazem.

Poprosiłem profesora Verschuera, aby wsparł mnie swoim autorytetem i pomógł w dokonaniu analizy typu rasowego obu radnych. Pracowaliśmy nad nią przez trzy lub cztery dni, dokładając do tego zadania szczególnej staranności. Mieliśmy do dyspozycji zeznania świadków, fotografie oraz kilka innych dowodów, o których nie czas teraz mówić. Wreszcie powstało wyczerpujące studium uwarunkowań antropologicznych tych mężczyzn. Nie było żadnej wątpliwości, że starali się utajnić swoje żydowskie korzenie i zapewne dzięki znajomościom dokonali szeregu poprawek w dokumentach stanu cywilnego. Nie było potrzebne dłuższe śledztwo ani lokalny skandal, więc potraktowaliśmy sprawę honorowo. Zamiast zawiadamiać organy ścigania, wysłaliśmy z profesorem list wprost do ministerstwa. Dzięki niemu obaj rajcy zostali odwołani ze stanowisk, a ten, który wdał się ze mną w słowną polemikę, trafił do aresztu.

Tryumfowałem. Nigdy nie byłem tak dumny i nie miałem takiego poczucia własnej siły. Lata studiów oraz wyrzeczeń wreszcie pokazywały, że obrałem właściwą drogę. Podążałem śladem wodza, partii oraz naszej wspaniałej historii. Moja nauka znalazła przekucie w rzeczywistości, a jeszcze kilka lat wcześniej wielu zadufanych profesorów kompletnie ją wyśmiewało. Miałem ochotę słać listy do każdego z nich, lecz wtedy poniosłem swoją pierwszą klęskę. Nie wiem, czy mam prawo tak to określać, ale zdaję sobie sprawę, że

zagadnienie jest panu doskonale znane. Nie powinienem go przemilczeć. Dzięki pańskiej protekcji może się jednak uda coś temu zaradzić.

25.

Wówczas byłem członkiem NSDAP oraz SS. Uważałem, że to jedyna słuszna droga postępowania, a przy okazji członkostwo pozwalało mi na prowadzenie szerszych badań. Nie spodziewałem się, że z tej strony spotka mnie również pewna przykrość. Jak wspomniałem, mówię to panu w zaufaniu, wolałbym, aby sprawa nie stała się szerzej znana.

Szybko zakochałem się w Irene i zrozumiałem, że to właściwa kobieta dla kogoś takiego jak ja. Miała wszelkie cechy, których oczekuje się od prawdziwych Niemek, a przede wszystkim wiedziałem, że mogę jej powierzyć losy wspólnego potomstwa. Czy genetyka uprawnia nas do żądania czegokolwiek więcej? Proszę mi wierzyć, panie Neuman, libido i w ogóle seksualność to jedynie zagadnienia wtórne.

Szybko się oświadczyłem, a Irene przyjęła te oświadczenia entuzjastycznie. Jej powszechnie poważany ojciec również natychmiast nam przyklasnął. Wszystko wydawało się być na dobrej drodze. Oczywiście, należąc do SS, zgodnie z wszelkimi procedurami wystąpiłem do Reichsführera z wnioskiem o akceptację naszego związku. Nie ukrywam, że zależało mi na uzyskaniu zaświadczenia Sippenbuch[7] dla przyszłego potomstwa. Dzięki niemu ród Mengele wpisałby się na karty wielkiej historii nazistowskich Niemiec, jednak na przeszkodzie stanęła niewydolna machina urzędowa.

Podrywam się z fotela i podchodzę do biurka. Gwałtownie wyciągam jedną z szuflad, a następnie sięgam do starannie wydzielonej

przegródki z przedmiotami najbardziej osobistymi. Przez chwilę przerzucam kolejne koperty, wreszcie odnajduję właściwą. Wiem, że Neuman przypatruje mi się teraz ze szczególną uwagą. Wszystko to mogło być z jego strony testem szczerości i nie mogę go oblać. Mimo to nie potrafię pohamować emocji.

– Mam. – Gniewnie rozprostowuję kartkę, a następnie zaczynam czytać wiadomość, którą znam niemal na pamięć. – „Ze względu na nieustalone ojcostwo Herr Schönbeina (ojca Irene Schönbein) jako dziecka pozamałżeńskiego, a przez to jego wątpliwy rodowód aryjski, wyraża się zgodę na zawarcie małżeństwa na wyłączną odpowiedzialność wnioskującego Josefa Mengele. Nadmienia się przy tym, że prawdopodobnie nie będzie możliwe wpisanie potomstwa wyżej wskazanych do Sippenbuch SS”. Bla, bla, bla... Oto decyzja Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS. Czy nie brzmi kuriozalnie w momencie, gdy jestem w stanie przedłożyć wszelkie medyczne dowody, że moja żona jest pełnoprawną Aryjką? Czy widział pan piękniejszą kobietę?

Podstawiam mojemu gościowi niemal pod nos fotografię Irene. Brązowe odcienie nie pokazują, jak doskonale błękitne ma oczy, ale sam kształt twarzy nie pozostawia żadnych wątpliwości.

– Jestem lekarzem i naukowcem! – wykrzykuję. – Zajmuję się kwestiami rasowymi od ponad dekady!

Neuman milczy. Tymczasem emocje powoli ze mnie ulatują. Odkładam na miejsce list oraz fotografię. W momencie, gdy chcę ponownie usiąść na fotelu, rozlega się pukanie do drzwi gabinetu.

– Proszę!

Niemal natychmiast do środka wchodzi jedna z moich asystentek.

– Panie doktorze, wydarzyło się coś pilnego. – Kobieta wymownie zerka na mojego gościa, nie wiedząc, jak wiele może przy nim powiedzieć. – Czy możemy zamienić słowo?

26.

– Panie doktorze, jedna z tych kobiet była w ciąży. Dopiero teraz udało się to ustalić. Rozpoczęto autopsję zgodnie z opracowanym przez pana schematem i trafiliśmy na płód.

– Co takiego? – Marszczę czoło nie do końca pewny, czy rozumiem, o kim mówi Inge. – Kto był w ciąży?

– Jedna z tych bliźniaczek, które nakazał pan zszyć. Ta, która zmarła jako druga.

– Anna – szepczę.

– Zgadza się, Anna.

Kiwam głową i głęboko wciągam powietrze. Rozmawiamy na korytarzu przed wejściem do mojego gabinetu. Właściwie nie ma przeciwwskazań, aby Neuman był obecny przy tej wymianie zdań, ale zostawiłem go samego. Samego z kilkoma flaszkami dobrych alkoholi oraz wyraźną sugestią, że nie chcę, aby się zmarnowały. Jego najście może mi się przydać.

Staram się zebrać myśli i przystąpić do działania. Gdybym wziął udział w sekcji, straciłbym dwie lub trzy godziny. Na tak długi czas nie mogłem zostawić człowieka, który przybył tu prosto z Berlina. Tyle że...

– Czy ciąża była mnoga? – dopytuję zaintrygowany.

– Nie. To pojedynczy, około trzymiesięczny płód. Wykazuje już męskie cechy płciowe, co pozwala sądzić, że...

– Tak, wiem. – Niedbale macham ręką. Jestem rozczarowany. – Bliźnięta w ponad jednej trzeciej przypadków mają ciążę mnogą. Co jest nie tak z tymi, które rodzą pojedynczo?

– Co takiego?

Zdaje się, że swoim zwyczajem ostatnie zdania jedynie wybełkotałem. Doktor Inge stoi z pochyloną głową i oczekuje

konkretnych decyzji.

– Nie możemy składować każdego płodu – dodaje po chwili. – To niewykonalne.

– Oczywiście. Jednak to wyjątkowy płód. – Zaciskam usta i intensywnie myślę. Wreszcie podejmuję decyzję. – Zakonserwujcie go. Nie mamy wielu dzieci bliźniąt. Jeśli z jakichś względów będzie trzeba usunąć inny materiał badawczy, zróbcie to. Tylko wszystko starannie odnotujcie. Gdy skończę rozmowę, osobiście przeprowadzę autopsję płodu.

Nie mam pojęcia, czego mógłbym w nim szukać. Jakiej anomalii lub ciekawostki. Ale przecież musi istnieć jakiś klucz do genotypu bliźniąt. Coś musi łączyć z nimi ich dzieci oraz rodzeństwo. Nie mam wątpliwości, że istnieje jakiś wewnętrzny przełącznik, którego aktywowanie sprawia, że rodzą się dwojaczki albo czworaczki. Jego odkrycie sprawiłoby, że populacja Rzeszy mogłaby gwałtownie wzrosnąć, a za piętnaście, szesnaście lat na front mogłyby się udać nie trzy, lecz dziesięć milionów żołnierzy. Poza tym rozległe przestrzenie życiowe na Wschodzie będą wymagały zagospodarowania i fizycznego objęcia w posiadanie. Moje badania mogą okazać się równie przełomowe jak badania nad cudowną bronią.

– Coś jeszcze? – Spoglądam na Inge, która nadal stoi przede mną.

Kobieta lustruje mnie wzrokiem, wreszcie kręci głową i odchodzi. Wiem, że również niedawno była w ciąży, ale straciła dziecko. Traumatyzmy należy pokonywać z naukowym zacięciem. Życie jest procesem biologiczno-fizycznym i na pewnym poziomie nie różni się niczym od śmierci. Właściwie ich rozróżnienie stanowi jedynie kwestię perspektywy oraz skali. W rozumieniu makro śmierć może być nawet bardziej pożądana, czego nie można pogodzić z indywidualnym podejściem skali mikro.

W każdym razie będę musiał zbadać ten płód. I chciałbym zrobić to jak najszybciej.

Pogrążony w myślach wracam do gabinetu i przeproszam gościa za nieobecność. Neuman ze zrozumieniem unosi dłoń z kieliszkiem wina. Jego policzki są zaczerwienione, a oczy skrzą się od wypitego alkoholu.

– Proszę kontynuować swoją opowieść, doktorze – nalega z uśmiechem. – Chyba zbliżamy się do najciekawszego okresu pańskiego życia.

– O tak – zgadzam się ochoczo. – W końcu nieuchronnie nadciągała wojna...

27.

Nikt nie miał wątpliwości, że wojna zbliża się wielkimi krokami. Czy to z Polską, czy ze Związkiem Sowieckim, czy też z Francją lub Anglią. Trzecia Rzesza potrzebowała rozwoju i doskonale pan pamięta atmosferę roku trzydziestego ósmego. Dlatego w październiku postanowiłem odbyć skróconą służbę wojskową. Miałem możliwość zrobić krótką przerwę w pracy naukowej, a trzymiesięczne doświadczenie mogło mi się przydać w przyszłości. Zresztą chciałem służyć Rzeszy tak, jak to będzie niezbędne. Zgłosiłem się do 19 kompanii 137 Pułku Strzelców Górskich, który miał przydział w Saalfelden nieopodal Salzburga. Po intensywnym szkoleniu wnioskowałem o wcielenie do Waffen SS, na co wyrażono zgodę. Ze względu na moją pracę uniwersytecką odesłano mnie jednak do Frankfurtu z adnotacją, że armia zgłosi się po mnie w razie potrzeby. Byłem gotów. Tymczasem na powrót zająłem się badaniami oraz rozpocząłem prowadzenie ćwiczeń i wykładów.

Muszę nadmienić, że dzięki profesorowi Verschuerowi moje zainteresowanie genetyką oraz kwestiami rasowymi jeszcze wzrosło. Prowadziliśmy wiele owocnych rozmów, w których uczestniczyli

znamienicy naukowcy. Wystarczy wspomnieć profesorów Fischera i Bauma oraz doktora Langer, który zasłynął później badaniami nad sposobem szybkiej i bezbolesnej śmierci.

Pamiętam wiele naszych spotkań, które często odbywały się w niewielkiej, frankfurckiej kawiarni „Pod Złotą Koroną”. Regularnie zajmowaliśmy okrągły stół w rogu sali i wzorem dawnych mistrzów prowadziliśmy naukowe dysputy. Spieraliśmy się i przekonywaliśmy. Potrafiliśmy omawiać szczegółowe zagadnienia przez całą noc. Podczas jednego ze spotkań debatowaliśmy nad genetycznymi argumentami przemawiającymi za zachowaniem czystości rasowej.

– Według moich badań można śmiało postawić tezę, że nawet znikoma domieszka krwi żydowskiej zwiększa ryzyko rozszczipu żuchwy – stwierdził Langer. – I to ponad ośmiokrotnie względem osób czystych rasowo.

– Czy przeprowadzał pan badania na próbie reprezentatywnej? – Natychmiast zainteresował się Baum.

– Warunki laboratoryjne.

To krótkie stwierdzenie mieściło w sobie mnóstwo treści. Warunki laboratoryjne eksperymentów oraz badań były zawsze pewną fikcją. Przede wszystkim dlatego, że nie znajdowały odzwierciedlenia w rzeczywistości. To niemalże niczym badanie osoby zdrowej, która ma podobną fizjonomię do chorego. Działa się na ślepo, na podstawie porównań ze światem idei. Przynajmniej tak ujmuję to zagadnienie filozofia medycyny.

– Specyfika tych badań wymaga żywego materiału... – Verschuer westchnął. – Obawiam się, że wszystkie wyniki naszych doświadczeń są zaburzone. Środowisko naturalne istotnie odbiega od laboratoryjnego.

– Potrzeba osobników dobranych całkowicie losowo.

– Skąd moglibyśmy ich pozyskać?

Wtedy do głowy przyszła mi pewna myśl. Skoro już od jakiegoś czasu osoby obciążone ciężkimi chorobami odseparowywano od społeczeństwa, można było je podzielić na konkretne grupy. Musiały one zostać w maksymalnym stopniu reprezentatywne, lecz jednocześnie stanowiłyby doskonały materiał badawczy. Swój pomysł przedstawiłem reszcie towarzystwa, lecz dostrzeżono cały szereg systemowych problemów. Wtedy żaden z nas nie przypuszczał, że z pomocą przyjdzie nam wojna.

28.

W roku trzydziestym dziewiątym obroniłem doktorat poświęcony studiom nad rasowymi zagadnieniami budowy i podatności patologicznej przedniego fragmentu zuchwowego. Rozprawa łączyła nie tylko cechy badawcze, czysto statystyczne, lecz także filozoficzne i genetyczne. Zyskała szerokie uznanie, a dzięki wsparciu profesora Verschuera niebawem rozpocząłem karierę asystenta w Instytucie Genetyki i Higieny Rasowej przy uniwersytecie we Frankfurcie.

Wybuch wojny sprawił, że gwałtownie wzrosło zapotrzebowanie na szpitalne łóżka, gdyż trafiali do nich żołnierze przywożeni z jednostek frontowych. Władze postanowiły zaadaptować na ich potrzeby placówki nakierowane na leczenie pacjentów nierokujących na wyzdrowienie, obciążonych genetycznie lub niepełnosprawnych. Zgodnie z ustawą wytypowano do eliminacji także chorych na płasawicę, otępienie, schizofrenię, padaczkę oraz osoby niepoczytalne... Mieli zwolnić niemal pół miliona łóżek! To była kapitalna koncepcja.

Po pańskiej minie wnioskuję, że wie pan, dokąd zmierza ten fragment opowieści? Niebawem zostałem członkiem komisji mającej analizować kwestionariusze pacjentów mogących podlegać eutanazji.

W ciągu kilku tygodni przejrzałem blisko dziesięć tysięcy kart i zaklasyfikowałem trzy tysiące osób, aby złagodzą ich cierpienia zastrzykiem z fenolu. Jednocześnie wciąż prowadziłem swoją grę. Proszę mi wybaczyć szczerść i nie poczytywać tego za cynizm. Po prostu uważałem, że w ramach systemu można jeszcze mocniej przysłużyć się rozwojowi Rzeszy. Jak wspominałem, nasze badania potrzebowały jednak reprezentatywnej grupy pacjentów. Dlatego wnosiłem o przeniesienie części osób przeznaczonych do eutanazji do odrębnych ośrodków. Wraz z profesorem Verschuerem planowaliśmy stworzyć placówkę naukową, która operowałaby na najlepszym możliwym materiale. Istota tych badań byłaby nie do przecenienia.

Niestety w środowisku naukowym oraz w pewnych strukturach politycznych napotkaliśmy na opór. Nie sądzę, by wynikał on z niechęci albo złej woli. Zdaje mi się, że ze względu na pewne niezrozumienie materii chciano zaoszczędzić pieniądze oraz miejsce na potrzeby naszych weteranów. Nie doceniano roli, jaką mogli odegrać na rzecz Niemiec zdeformowani kalecy i szaleńcy. Na szczęście, jak pan mógł się zapewne zorientować, po pewnym czasie to się zmieniło. A pańską obecność traktuję jako kolejny wyraz zaufania dla wagi prowadzonych przeze mnie doświadczeń. Już niebawem będziemy mogli je pokrótce omówić. To wyjątkowo fascynująca materia, szczególnie gdy weźmie się pod uwagę ich rezultaty.

– Właśnie... – Pstrykam palcami i podnoszę się z fotela. Od pewnego czasu dręczyła mnie pewna myśl. Doktor Inge powinna przeprowadzić sekcję do końca, lecz mogła nie zapoznać się z moimi ostatnimi wytycznymi. Muszę jej przekazać, że zależy mi na gipsowych odlewach organów wewnętrznych obu zmarłych bliźniaczek. Analiza porównawcza to kwintesencja rozwoju nauki.

Pochłonięty dokonywaniem ekspertyz oraz prowadzeniem badań niemal przegapiłem wojnę z Polską. Wielu moich młodszych kolegów zostało zmobilizowanych, aby uzupełnić stany osobowe oddziałów, lecz o mnie machina wojenna zdawała się nie pamiętać. A może czuwał nade mną jakiś duch opatrnościowy, wierzący, że moja praca we Frankfurcie jest bardziej przydatna od tułaczki po dzikich, wschodnich krajach? Owszem, podróż do Polski mogła mi pomóc w prowadzeniu obserwacji, dostarczyłaby licznego materiału porównawczego oraz obiektów do przeprowadzania eksperymentów. Jednak, jak pan widzi, musiałem na to nieco zaczekać. Nie od razu Auschwitz zbudowano, parafrazując miejscowe przysłowie, które kilkakrotnie mi przytaczano. To całkiem zabawne, prawda?

Już tylko krótka historia dzieli nas od gabinetu, w którym siedzimy. Oczywiście przez cały czas oczekiwałem listu z armii i byłem gotów wyjechać na front. Żał mi było zawieszać prowadzoną praktykę, lecz sprawa Wielkich Niemiec wymagała rozmaitych poświęceń. Wszyscy zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

Do jednostki wojskowej zostałem powołany w czerwcu czterdziestego roku. W tamtym czasie Francuzi leżeli już na całej linii, ale dowództwo planowało następne operacje. Poza tym mieliśmy wielu ciężko rannych, którzy potrzebowali opieki lekarskiej. Braki kadrowe wśród medyków stały się szczególnie widoczne w szpitalach polowych, ale w tej sprawie nie zamierzam się szerzej wypowiadać. To nie moja rzecz.

Zostałem przydzielony do dziewiątej kompanii sanitarnej stacjonującej w Kassel nad Fuldą, w Hesji. Miałem stamtąd tak samo daleko do Warszawy, jak do Paryża, lecz inspektorat Waffen SS organizował tam specjalne kursy dla medyków wojskowych. Trwały kilka miesięcy i stanowiły praktyczne przygotowanie przed wyjazdem na front. Nie bałem się tego, a nawet czułem przyjemny dreszcz

emocji na myśl, że w tak bezpośredni sposób przysłużyć się Rzeszy. Tymczasem wojna z Francją dobiegła końca, a poza Afryką i Anglią na świecie chwilowo zapanował spokój. Dziś wiemy, że była to prowokowana zakusami imperialistów cisza przed burzą, ale wtedy sądziliśmy, że nadszedł czas uporządkowania podległej nam Europy. Kwestie rasowe oczywiście odgrywały w nim pierwszorzędne znaczenie.

Podniesiony do stopnia Untersturmführera SS trafiłem do Generalnej Guberni, aby wykorzystać swoje praktyczne umiejętności. Przez kilka tygodni dokonywałem medycznej weryfikacji aryjskości osób objętych kartą volksdeutscha. Rozumie pan? Przez osiem, dziewięć, a czasem nawet więcej godzin dziennie dokonywałem pomiarów czaszek, kończyn i organów płciowych. Sprawdzałem uzębienie i choroby genetyczne, opisywałem cechy antropologiczne budowy ciał oraz potencjalne odstępstwa od wzorca. Dzień w dzień oceniałem przydatność rasową tysięcy ludzi. To ogrom pracy, która miała niebagatelne znaczenie dla przyszłości Rzeszy. Nie mogłem sobie pozwolić na najdrobniejszy błąd, nie mogłem dopuścić skażonej krwi do naszego gniazda.

Odchrząkuję i sięgam po szklanę z wodą. Zaszło mi w ustach, a przed sobą mam najważniejszą część mojej historii. Neuman jest wyraźnie zaintrygowany. Co chwilę coś notuje, a w jego oczach widzę blask zrozumienia. Łączy nas więcej, niż na początku sądziłem. Dzielimy wspólną ideę, a to znacznie istotniejsze od najdłuższych przyjaźni.

– Jesienią czterdziestego roku zostałem przydzielony do dywizji Waffen SS Wiking – ciągnę opowieść. – Wówczas kwaterowaliśmy w Bawarii, ale kilka miesięcy później otrzymaliśmy rozkaz relokacji na Wschód. Szykowała się wojna z Sowietami, a nam pisany był w niej morderczy udział.

30.

– Zapewne czytał pan raporty uzasadniające przyznanie mi kolejnych odznaczeń oraz wyróżnień, w tym samego Krzyża Żelaznego I klasy. – Niedbale macham ręką, gdyż naprawdę nie uważam, że to istotne z perspektywy całokształtu mojej działalności. Dla urzędnika z Berlina może mieć jednak znaczenie.

– Proszę mi o tym opowiedzieć. – Neuman odchyła się wygodnie w fotelu i uważnie na mnie spogląda. – Otrzymałem polecenie ustnego zdobycia od pana wszelkich informacji, więc się tego trzymam.

– Ktoś spodziewa się, że raporty mogą nie oddawać prawdy? – pytam czujnie. – O to chodzi?

– Nie, absolutnie. Raczej o to, że raporty bywają zbyt suche. A propaganda – Neuman znacząco unosi palec – to materia żywa. Potrzebuje wody i ognia, jeśli rozumie pan, o czym mówię.

– Myślę, że tak...

Upijam kolejny łyk wody i przez chwilę zbieram myśli. Tamte wspomnienia są aż nazbyt wyraźne, a mimo to rzadko do nich wracam. Świadomość ilości przelanej niemieckiej krwi sprawia mi niemal fizyczny ból. Tak musiało być – wiem to aż nazbyt dobrze, nie przeraża mnie brutalność ani natłok cierpienia, przeraża mnie jednak ogrom potencjału rasowego, który trafił do ziemnych, żołnierskich mogił pośród bezkresnych stepów Ukrainy i Rosji.

– W grudniu czterdziestego pierwszego Sowieci uciekali jak zwierzyna łowna – odzywam się wreszcie. – Rozpierzchli się po tysiącach kilometrów kwadratowych, byle tylko trudniej było ich wszystkich wystrzelać. Ścigaliśmy ich, rozciągając linie zaopatrzenia do maksimum. Wiem, że generał Steiner nalegał, aby przyśpieszyć ruch taborów, ale plany pokrzyżowały nagła i surowa zima.

Rosjanie dostali w prezencie od natury nieco czasu na przegrupowanie. Mimo to nasza dywizja nieustannie parła do przodu, a ja poruszałem się wśród najbardziej wysuniętych formacji. Któregoś lodowatego, mglistego poranka zdecydowano o wysłaniu czujki do niewielkiej wsi, która znajdowała się na naszej marszrucie. Ot, kilkanaście drewnianych chałup, rozpadających się płotów i stodoły, w których mogło się uchować jedynie półdzikie bydło z tamtych stron. Wieś znajdowała się na skraju lasu, który przesłaniał szary, gęsty opar. Pamiętam to bardzo dokładnie. Na południe rozciągała się niezmierna połać pól pokrytych śniegiem, a na północy zmrożone bagna. Nie mogliśmy obrać innej drogi.

Nasza czujka liczyła ośmiu ludzi, którzy mieli sprawdzić, czy we wsi nie ma przypadkiem rosyjskich maruderów. Kilkukrotnie trafialiśmy na kompletnie pijane masy żołdactwa. W trakcie potyczek niepotrzebnie traciliśmy ludzi oraz sprzęt. Rozeznanie mogło zaoszczędzić sporo problemów.

U boku oficera liniowego obserwowałem wieś przez lornetkę. Widziałem, jak nasi chłopcy chodzą od chaty do chaty i najwyraźniej zastają je całkowicie puste. Wyważali drzwi kolbami, potem biegli dalej, ku oborom, stajniom i stodołom. Zdawało się, że okolica jest kompletnie wymarła. Jednak w momencie, gdy nasze czujki weszły do ostatnich zabudowań, ze skraju, lasu padło kilka strzałów. Proszę to sobie wyobrazić. – Na to wspomnienie mimowolnie zaciskam pięści i przełykam ślinę. – Poranna cisza, mgła i pięć lub sześć stłumionych wystrzałów.

Wydawało się, że to jakiś pojedynczy żołnierz, który uciekając, stara się ostrzeliwać. Albo że jakiś pijany maruder wystrzelił bardziej na wiat niż do któregoś z naszych. Momentalnie jednak okazało się, że nie mieliśmy racji. W ułamku sekundy cała wieś stanęła w ogniu. Jakby każdą belkę, każde przesło płotu i każdą stertę drwa polano benzyną. Żar wyssał tlen tak, że po okolicy poniósł się głuchy huk.

– Zaczęło się – wyszeptałem.

31.

Dostrzegłem dwóch naszych ludzi, jak zamienieni w żywe pochodnie usiłują tarzać się na zaśnieżonym podwórzu. Kolejnych trzech albo czterech zginęło od serii karabinu, która ponownie padła ze skraju lasu. Wieś ostrzeliwano amunicją zapalającą. Mimo to zadziałąłem instynktownie. Kazałem kierowcy jechać natychmiast ku wsi, a gdy znaleźliśmy się na jej skraju wraz z dwójką sanitariuszy rzuciłem się na oślep między kłęбами dymu.

Był pan kiedyś na froncie? Widzę, że nie. Nie rozumie pan, że nie ma niczego gorszego od walki pośród rozprzestrzeniającego się pożaru. Do tego, gdy ciało jest przyzwyczajone do panującej na dworze temperatury minus dziesięciu stopni, jego reakcja na ogień zmienia się. Czasem postrzega go jako powiewy lodowatego powietrza, co utrudnia dokonywanie właściwych osądów. Niektórzy z naszych zapalali się, gdyż po prostu podchodzili zbyt blisko ognia, ale...

Pierwszy żołnierz, do którego dopadłem, miał około dwudziestu lat. Leżał przed wejściem do jednej z chałup, miał wybałuszone oczy i puste spojrzenie. Mimo to żył. Na jego mundurze nie dostrzegłem śladów ognia, więc natychmiast przekazałem go sanitariuszom. Nie musiałem sprawdzać, co się stało. Kula przebiła jego hełm i zrykoszetowała, odłupując kawałek czaszki. Zapewne część mózgu była już na wierzchu, ciśnienie mózgowe spadło i rozpoczęła się agonía. Sądzę, że tamten chłopak nie czuł już bólu.

Rzuciłem się niemal na oślep między kolejnymi płonącymi domami. Osłaniałem twarz rękawem płaszcza, potykałem się na zaspach, ale pamiętałem, gdzie mniej więcej upadli pierwsi ostrzelani żołnierze.

Tymczasem z oddali dobiegł huk dział, które skierowały ogień zaporowy na skraj lasu. Wokół rozpętało się prawdziwe piekło. Wyższe dowództwo obawiało się kontrataków lub prób wciągnięcia nas w zasadzkę, przez co dmuchało na zimne. Dla nich cała wioska mogła zostać zrównana z ziemią, byle Sowieci nie przejęli choćby chwilowej inicjatywy. Zresztą całkowicie rozumiem i pochwalam to stanowisko. Gdy się jest jednak na miejscu, trudno mieć taki osąd, prawda?

Zostałem już całkowicie sam. Moi podwładni zajęli się ewakuacją pierwszego ze znalezionych żołnierzy, a szansa, że wrócą między domy, równała się zeru. Podoficer, którego widziałem wcześniej przez lornetkę, już nie żył. Odnalazłem go skulonego pod jednym z płotów, w pozycji, jaką przyjmuje większość ofiar ognia. Napięte mięśnie, stężenie nerwowe, boczna pozycja... Kojarzy pan zwłoki znalezione w Pompejach? Ci ludzie nie chcieli umrzeć w takiej formie.

Na kolejnego podoficera trafiłem parę metrów dalej, u wejścia do płonącej obory. Wokół trzaskały płomienie i niosły się kłęby czarnego, gryzącego dymu, lecz zawiewający w drugą stronę wiatr pozwalał zaczerpnąć powietrza. Ten żołnierz był ciężko ranny. Gołymi rękoma dogasiłem tłący się na nim mundur i obróciłem go na plecy. Od razu poczułem ohydny odór spalonego mięsa. Zna pan smród spalenizny, lecz tamten proszę pomnożyć razy sto lub więcej. To swąd oblepiający płuca i gardło. Jednak gdy spojrzałem na jego twarz... Nos przypominał mięsistą bulwę z wytopionym tłuszczem. Z policzków obeszła niemal cała skóra, lecz oczy jakimś cudem pozostały nienaruszone. Przerażająco białe, kontrastujące z czarnym nalotem, który pokrył twarz tego człowieka, błagały mnie o śmierć. Tamten chłopak nie miał nawet siły, by jęknąć. Być może zresztą z bólu odgryzł sobie język. To bardzo prawdopodobne i widziałem to wielokrotnie... Jednak nie musiał nic mówić.

Wyprostowałem się i wyciągnąłem z kabury pistolet. Oddałem dwa strzały prosto w jego odsłonięte czoło. Zginął od razu.

Przełykam ślinę i ukradkiem ocieram dłonią pot znad górnej wargi. Nie wiem, dlaczego tamto wspomnienie utkwiło mi tak mocno w pamięci. Widziałem wiele, naprawdę wiele, lecz obraz tamtych umierających chłopców wrył się jak jakieś diabelne przekleństwo. Śwąd śmierci nigdy wcześniej i nigdy później mi nie przeszkadzał. Może moje serce krwawiło nad umierającym ideałem niemieckiej rasy? Może...

– Tak też za uratowanie jednego ciężko rannego oraz dobiecie niemieckiego żołnierza otrzymałem Krzyż Żelazny – kończę pośpiesznie. – Nie wiem, czy jestem z tego dumny. Znacznie bardziej napawałoby mnie dumą zabicie sowieckich psów.

– Wbrew przepisom konwencji nosił pan przy sobie broń? – dopytuje Neuman. – Lekarze wojskowi nie mają takiego prawa.

Bez cienia zmieszania kiwam głową. To dopiero początek tej historii.

32.

Pod koniec stycznia czterdziestego drugiego roku zaczęły się przepychanki. Sowieci zmienili taktykę i zaczęli nas kęsać, spowalniając pochód na wschód. Wiedzieli, że czas gra na ich korzyść. Wystarczyło opóźnić nasz marsz o tydzień lub dwa, a trzy tysiące ludzi trafiło do ziemi z wychłodzenia. Mimo badań prowadzonych między innymi w Dachau, nie potrafiliśmy sobie z tym radzić. Żołnierz niemiecki nie jest przystosowany do walki w warunkach arktycznych. Nie jest do tego przystosowany żaden człowiek.

Przez cały dzień mój oddział patyczkował się z grupą sowieckich dywersantów. Usiłowaliśmy przejąć niewielki most nad strumieniem

na tyle wartkim, że mimo tęgich mrozów lód skuł tylko wierzchnią warstwę. Nie było mowy o sforsowaniu go sprzętem w bród. Wojska techniczno-inżynieryjne zostały gdzieś z tyłu i budowa nowej przeprawy sprawiłaby, że stracilibyśmy kolejne dwa lub trzy dni. Na to nie mogliśmy sobie pozwolić.

– Ilu ich może być? – zagadnąłem jednego z oficerów obserwujących miejsce walk. – Stu? Więcej?

Wysoki, telepiący się z zimna frontowiec głośno westchnął.

– Nie więcej niż dziesięciu – odparł po chwili. – Pokryli się w krzakach razem z amunicją i materiałami wybuchowymi.

– Będą wysadzać?

– Robimy wszystko, aby na to nie pozwolić. Na szczęście nie zdążyli go ostatecznie zaminować, ale kto wie, co kombinują.

Zakląłem. Rzadko mi się to zdarza, ale wtedy byłem wściekły. Sześciu moich pacjentów pilnie musiało trafić do ciepłego miejsca, a od miejsciny, w której spodziewaliśmy się rozlokować na noc, dzieliło nas pięć kilometrów. Pięć kilometrów i ten cholerny most.

– Nie można ich ostrzelać z cięższego sprzętu?

Oficer pokręcił głową i bacznie mi się przyjrzał. Znaliśmy się z widzenia, w końcu przeszliśmy obok siebie kilkaset kilometrów, ale nigdy dłużej nie rozmawialiśmy. Do tej kompanii trafiłem po przeformowaniu naszej grupy operacyjnej ledwie tydzień wcześniej. Wielu frontowców odczuwa nieuzasadnioną niechęć wobec lekarzy wojskowych. Nazywają ich felczerami lub konowałami, ale mniejsza z tym.

– Jakikolwiek ostrzał może naruszyć konstrukcję mostu – odparł tamten kpiącym tonem. – Nie mamy możliwości podejścia ani szturmowania. Wcześniej szlag trafi nasze...

Oficer nie dokończył. W tamtym momencie sowiecki granat rozerwał na strzępy jednego z naszych i ranił dwóch kolejnych.

– Kurwa, niech ich diabli – wycedził ktoś z tyłu.

Wtedy instynkt po raz kolejny nakazał mi działać. Nie mogłem zwlekać ani chwili dłużej.

– Mam pomysł, panie Hauptsturmführer...

Moja propozycja spotkała się z ukontentowaniem.

33.

Przygotowania trwały zaledwie kilka minut. Wybadaliśmy grunt, zebraliśmy potrzebny sprzęt i nawołując co siłą, ogłosiliśmy wstrzymanie ognia. Rzeczywiście nagle nastąpiła cisza.

Wówczas ruszyłem w stronę rannych. W mundurze z insygniami medycznymi, z czerwonym krzyżem na proporczyku i białym strzępem w dłoni. Szedłem wyprostowany, choć przyznam, że nigdy nie czułem bliższej obecności śmierci. To oczywiście całkowicie wytłumaczalna reakcja mózgu, niedotlenionego i ogarniętego szaleństwem hormonów, ale w rzeczy samej byłem przekonany, że lada moment kula roztrzaska mi głowę.

Choć nie widziałem Rosjan, wyczuwałem ich obecność. Z każdym metrem miałem wrażenie, że w nozdrza coraz bardziej razi mnie ich ohydny smród. Obaj ranni leżeli kilka metrów od siebie, z rozrzuconymi na boki ramionami, jakby wylegiwali się na łące i spoglądali w niebo. Co się kryje za anatomiczną budową człowieka, że raniony często pada właśnie w tak błogiej, niemal rozkosznej pozycji? Nie zwinięty w kłębek, nie skulony z bólu, ale rozłożony na wskroś, jakby z otwartymi ramionami chciał maszerować prosto, ku niebu... Proszę wybaczyć tę metaforę, ale swego czasu uporczywie zaprzętała moje myśli.

Już na pierwszy rzut oka wiedziałem, że obaj żołnierze nie mają żadnych szans przeżycia. Nogi jednego z nich drżały, wstrząsane konwulsjami, a z ust drugiego ciekła krew zmieszana z pianą. Do

tego krew tak ciemna, że niemal czarna. Daruję teraz panu medyczne opisy, to nic by nic wniosło, ale słowo daję, że gdybym widział choć szansę uratowania któregokolwiek z nich, nie zrobiłbym tego, do czego się szykowałem. Taką miałem umowę z Hauptsturmführerem.

Najpierw ranni.

Ranni byli jednak już prawie martwi.

Udając, że ich badam, obserwowałem przeciwległy brzeg rzeki. Wyschnięte, zmrożone lodem i pokryte śniegiem krzaki nagle się poruszyły. Dostrzegłem kilku rosyjskich gówniarzy, którzy przyglądali mi się z zainteresowaniem. Pamiętam ich czerwone gęby zakapiorów, z którymi kontrastowały dość żywe, zwierzęce spojrzenia. Liczyli na chwilę wytchnienia lub zamierzali w tamtej chwili ostatecznie zaminować przeprawę. Dość, że poruszyli się w jej stronę z jakimś ciężkim pakunkiem, licząc, że od strony medyka nic im nie grozi.

Byłem na to przygotowany. Sięgnąłem do skórzanej torby, jakbym chciał wyjąć fiolkę lekarstw. Zamiast niej chwyciłem odbezpieczony granat i cisnąłem go w ich stronę. Nie spodziewali się tego. Nie zdążyli nawet przykucnąć, gdy eksplozja rozerwała ich na drobne kawałki. Strzępy mięsa i ubrań okleiły przęsła mostku. W tym momencie spostrzegłem, że jeszcze jeden Sowiec podrywa się z nieodległego rowu biegnącego wzdłuż rzeki. Byłem zdeterminowany, by zabić ich wszystkich. Tym bardziej że właśnie, jak na umówiony znak, do ataku rzucili się żołnierze z mojej kompanii.

Nie mam pojęcia, kiedy kule wbiły się w moje ciało. Nawet tego nie czułem. Zdałem sobie sprawę, że po moim barku oraz klatce piersiowej rozlewa się lepkie, nieprzyjemne ciepło. W tamtych warunkach człowiek uczył się naprawdę wiele na temat postrzegania bodźców termicznych. Nie potrafię tego właściwie opisać, ale to pewnie pana nie interesuje. Czy kiedykolwiek pana raniono?

Nie czekam na odpowiedź Neumana. Wiem, że to niedyskretne pytanie.

Kilka dni później zostałem odesłany do Rzeszy – stwierdzam cierpko. – Wie pan, jakie to upokorzenie? Prosiłem, aby zostawić mnie na froncie, abym nadal marzył ze swoimi ludźmi i pomagał naszym bohaterom, ale jakiś ważniak z Berlina lub cholera wie skąd uznał, że powinienem wracać. „Musi pan odpocząć” – skwitował mój dowódca, do którego zwróciłem się z prośbą o pozostawienie na froncie. Jak to brzmi wobec żołnierzy? Wychodziłem na tchórza i nie mogłem z tym nic zrobić. Wtedy z wszystkich sił postanowiłem, że z dala od linii walk również będę służył jak najofiarniej Rzeszy. Jak najofiarniej! Wie pan, jak wiele to dla mnie znaczy?

34.

Ileż można przeglądać dokumenty? Nauka niestety nie może sprowadzać się do fotografii, lecz wymaga osobistego kontaktu z pacjentem lub obiektem badanym. Oczywiście w pewnym uproszczeniu można prowadzić kwerendę na podstawie cudzych notatek lub oświadczeń. To wykonalne, jednak naraża na mnóstwo błędów. Tymczasem ja mam ogromną niechęć do popełniania najmniejszych pomyłek. Nie po to wkładam w swoją pracę tyle wysiłku, nie po to wszystko porządkuję i systematyzuję, by popełnić pomyłkę przez niedopatrzenie kogoś przede mną.

Dlatego druga połowa roku czterdziestego drugiego i początek roku czterdziestego trzeciego były dla mnie skrajnie męczące oraz rozczarowujące. Nie potrafię tego nazwać inaczej. Choć praca dla Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS powinna napawać dumą, mógł wykonywać ją ktokolwiek inny. Wystarczyłoby, bym udzielił tej osobie ustnych instrukcji.

Po przyjeździe do biura w moje ręce trafiało kilkadziesiąt teczek Polaków. Wertowałem fotografie, dokumenty oraz oświadczenia.

Dokonywałem pomiarów i wszystko starannie wynotowywałem.

„Element nieporządnny rasowo”.

„Brak jakiegokolwiek charakterystycznego aryjskiego rysu anatomicznego”.

„Słowiańskość morfologiczna każe wykluczyć zdatność genetyczną”.

To nie są opinie, a pełnoprawne naukowe osądy. Choć każde z tych zdań wydaje się proste, ich stworzenie niejednokrotnie wymagało kilku godzin mozolnej pracy. Tym bardziej że część fotografii, jakie dostawałem do analizy, była potwornej jakości. Kilkukrotnie zwracałem się do przełożonych, by opracować w tej mierze konkretne standardy, ale odmawiano mi ze względów technicznych. Czym jest technika? Może pan będzie potrafił w tym względzie interweniować? Przecież chodzi o kilkadziesiąt porządnnych, stacjonarnych aparatów fotograficznych zamiast tych podręcznych migawek. No i o pewną dbałość w trakcie wywoływania zdjęć...

Przyznam, że podobna kwerenda populacji przydałaby się w całej Rzeszy. Gdybyśmy mogli oddzielić element porządnny genetycznie od tego zepsutego, moglibyśmy pozostawić czyste, aryjskie społeczeństwo. Oczywiście dopuszczam pewne odstępstwa, ale ogólna zasada byłaby wskazana. Wszelkie czynniki patologiczne powinny zostać wyodrębnione i poddane szeroko rozumianej eutanazji[8]. W ten bądź w inny sposób. Dzięki temu uchronilibyśmy kraj przed zbędnymi kosztami rozmaitych kuracji oraz poszerzyli dostęp do opieki medycznej dla wartościowych obywateli. Wiem jednak, że z wielu względów jest to utrudnione.

Proszę wybaczyć szczerść, ale po kilku miesiącach tamta praca wydała mi się potwornie wyniszczająca. Poruszałem się w miejscu, nie mogąc przekuć żadnej ze swych tez w konkrety. Ludzie tacy jak ja nie są stworzeni do stagnacji. Dlatego postanowiłem wziąć sprawę w swoje ręce.

35.

Byłem gotów do ponownego wyjazdu na front. Napisałem odpowiednie listy, spotkałem się z osobami, które moim zdaniem warte były poświęconego im czasu, i czekałem na rozkazy. Wiem, że na Wschodzie potrzebny jest każdy żołnierz. Ze swoimi zdolnościami mógłbym przysłużyć się zwycięstwu, jednak los chciał inaczej. Chyba że losem są również oficjele obserwujący z góry przebieg mojej zawodowej drogi.

Uśmiecham się znacząco, lecz Neuman nie podejmuje tematu. Kreśli kilka pośpiesznych notatek, po czym odkłada pióro. Spogląda na mnie z ukosa, jakby te słowa go rozczarowały. Szybko się mityguje i odpowiada mi uśmiechem.

– Proszę mówić dalej – ponagla grzecznie, ale zdecydowanie. – Zaczynam coraz bardziej pana rozumieć. A przede wszystkim rozumiem istotę miejsca, w którym się znajdujemy.

– Obozu? – dopytuję.

– Tak, właśnie jego. Oraz całego obozowego zaplecza z instytucjami medycznymi, technicznymi oraz różnymi zakładami pracy.

Kiwam głową, bo to rzeczywiście imponujące przedsięwzięcie. Nie dodaję, że dostrzegam w nim cały szereg wad, które można by szybko naprawić. Miałbym kilka propozycji, ale na razie dość o tym. Najważniejsze, żebym uzyskał gwałtownie pozwalający mi na niczym nieskrępowane badania. Wtedy zostanie osiągnięty jeden z zasadniczych celów istnienia obozu i potwierdzi się cywilizacyjna rola niemieckiego zamysłu organizacyjnego. Mniej więcej tak można to ująć.

– Miesiąc później zostałem podniesiony do rangi Hauptsturmführera SS – podejmuję swoją opowieść. – Wszelkie moje prośby jak najszybszego odkomenderowania na front, spełzały

niestety na niczym. Powoli jednak domyślałem się, że za awansem musi stać jakaś koncepcja dowództwa i tylko ta myśl utwierdzała mnie w słuszności obranej drogi.

– Domyślał się pan jaka to była koncepcja?

– Absolutnie. Nie miałem o tym żadnego pojęcia.

– Czyli nie wnioskował pan o przeniesienie do służby obozowej?

Stanowczo przecinam powietrze dłonią.

– Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy – zaprzeczam. – Choć rzeczywiście nie spodziewałem się, jakie mogą się wiązać z nią profity oraz jakie może dawać spektrum prowadzenia badań. Kiedyś poruszałem ten temat z profesorem Verschuerem, lecz mieliśmy w tej mierze inne zdania. W tym względzie z całą przekorą muszę przyznać się do pomyłki.

– To wydarzyło się dwa miesiące temu, zgadza się?

– Tak. Właśnie wtedy otrzymałem przydział do KL Auschwitz. Wyruszyłem w tę podróż z ogromną ciekawością, lecz bez konkretnych planów oraz nadziei. Byłem stanowczo zbyt chłodno nastawiony wobec czekających mnie możliwości. Ale kto mógł się tego spodziewać?

Uśmiecham się i nieświadomie zacieram ręce.

– Niebawem spotkało mnie mnóstwo pozytywnych zaskoczeń.

[3] Berlińska siedziba Reichsministerium für Volksaufklärung und Propaganda.

[4] Dla porównania kilogram boczku kosztował około 2 marek, piwo 80 fenigów, popularny volkswagen 1600 marek, a średnia pensja robotnika wynosiła miesięcznie około 120-130 marek.

[5] Sytuacja przywoływana w wielu relacjach przyjaciół oraz współpracowników Mengelego.

[6] Paramilitarna organizacja nacjonalistyczna mająca na celu obalenie rządów Republiki Weimarskiej. Na przełomie lat 20. i 30. liczyła około pół miliona członków.

[7] Księga genealogiczna SS. Umieszczano w niej wzmianki o aryjskości członków organizacji oraz ich przodków do 1750 r. Potomstwo mogło uzyskać status pełnej aryjskości, gdy pożądaný status rasowy przynależał obojgu rodzicom.

[8] Mengele wielokrotnie formułował postulat „przebadania” społeczeństwa Rzeszy i pozostawienia na wolności/przy życiu jedynie konkretnego typu „szlachetnego człowieka”.

KL AUSCHWITZ

36.

Arbeit macht frei.

Po przejechaniu obozowej bramy przez jakiś czas analizuję sens tych słów. Kryje się w nich coś więcej niż jedynie powierzchowna koncepcja. Nadzieja? A może jej brak? Słyszałem już o tej formule, do której autorstwa przyznawało się zbyt wielu ludzi, lecz dopiero teraz w pełni rozumiem jej cały sens.

– Zwolnij – nakazują kierowcy. – Chcę powoli nasiąkać tą atmosferą.

Przez uchyloną szybę auta wpada powiew powietrza. Ma ono zapach spalenizny, pyłu i czegoś jeszcze, czegoś tak wyjątkowego, że nie potrafię nawet tego uchwycić. Mokrej ziemi? Zbutwienia? Nie, to tylko odległe skojarzenia. W rzeczywistości to miejscowy odór śmierci.

To ciekawe, że w zależności od szerokości geograficznej, wysokości nad poziomem morza, a nawet ciśnienia, śmierć ma różny zapach. Niektórzy zmarli już kilka godzin po ustaniu parametrów życiowych cuchną zgnilizną, inni przez całe tygodnie zachowują wygląd, jakby spali. Są miejsca, w których dokonuje się automumifikacja, bez potrzeby użycia jakichkolwiek technik oraz konserwantów. W Auschwitz śmierć ma istotny, wszechobecny odór brudu, potu oraz fekaliiów. Tak, to chyba one odpowiadają za ten aromat zbutwienia i mokrej ziemi. Zadowolony, że go rozpoznałem, bębnię palcami w skórzaną oparcie siedzenia przed sobą.

Zachłannie chłonę widok za oknem. Równe rzędy baraków, kominów oraz latarni. Błękitne niebo gdzieniegdzie zlewa się z horyzontem. Spodziewałem się, że okolica będzie nieco bardziej zróżnicowana, ale podobna harmonia ma swoje dobre strony. Wszystko wydaje się

doskonale uporządkowane, jakby teren ten w chwili stworzenia przez Boga, naturę lub cokolwiek innego został przeznaczony właśnie do pełnienia roli, jaką dopiero nadała mu praktyczna niemiecka ręka.

– SS-Standortarzt[9] już na pana czeka – informuje mnie szofer. – Zapewne będzie chciał pana osobiście zapoznać z metodami funkcjonowania obozu.

Nie odpowiadam. Irytuje mnie, że młody, pyszałkowaty kierowca odzywa się niepytany, a do tego wydaje własne osądy. Mimo to moje zmysły są zbyt pobudzone, aby tracić czas na tony przygany. Chłopak zatrzymuje auto, obiega je i z przesadną dwornością otwiera drzwi. Chwytam swoją skórzaną torbę, po czym jeszcze raz rzucam okiem na mundur. Jest idealnie czysty.

Szybko wychodzę z samochodu i niemal wpadam na przesadnie wyprostowanego mężczyznę o specyficznym, nieco szerokim nosie i wąskich ustach. Uwagę zwracają jego mocna szczęka oraz przeszywające spojrzenie.

– Eduard Wirths. – Mężczyzna przedstawia się z uśmiechem. – Naczelnny lekarz obozowy. Mieliśmy przyjemność wymienić listy.

– Owszem. – Zamiast hitlerowskich pozdrowień mocno ściskamy sobie dłonie. – Wreszcie spotykamy się osobiście.

Wirths śmieje się krótko i znacząco.

– Jest pan zmęczony, panie Hauptsturmführerze? Chciałby pan teraz odpocząć?

– Nie. – Podaję torbę jakiemuś podoficerowi i bacznie rozglądam się wokół. – Chciałbym bezzwłocznie wdrożyć się w obowiązki.

– Doskonale. Natychmiast mogę zaprezentować panu coś, co powinno wydać się dość interesujące. Proszę za mną.

Z dziecięcym entuzjazmem ruszam za Wirthsem. On wydaje się równie podekscytowany.

37.

– Chciałbym panu zaprezentować specyfikę naszej pracy. Jesteśmy zobowiązani przestrzegać pewnych regulaminów, ale o wszystkim szczegółowo pana poinformuję w stosownym czasie. Nie chciałbym zamęczać pana po podróży. Tym bardziej że jako lekarza cygańskiego obozu rodzinnego[10] pańskie obowiązki będą... osobliwe. Sądzę, że będzie miał pan dość czasu na rozwinięcie własnych zainteresowań.

– Bardzo mi na tym zależy – odpowiadam szczerze. – Mam wiele pomysłów, które chciałbym wprowadzić w życie...

– Słyszałem, że zajmuje się pan kwestiami rasowymi?

– Tak, przede wszystkim uwarunkowaniami genetycznymi chorób oraz zaburzeń, które...

Wirths wchodzi mi w zdanie.

– Moim konikiem jest rak szyjki macicy. Poczyniłem w tej mierze znaczne postępy, dążąc do pełnej profilaktyki. Zapobieganie rakowi, a nie jego leczenie, w tym tkwi sedno. Wierzę, że te badania przyczynią się do uratowania wielu niemieckich matek oraz żon.

Lekarz popycha przede mną ciężkie, drewniane drzwi i gestem daje mi znać, bym wszedł do środka. To spore pomieszczenie z kilkoma piętrowymi łózkami, na których leżą kobiety. Kilka z nich natychmiast spogląda w naszą stronę. Mimo to Wirths nie zwraca na nie uwagi i przedstawia mnie uroczej, drobnej pielęgniarce oraz jej niezgrabnej przełożonej. Następnie skinieniem głowy wskazuje na metalowe łóżko w rogu sali. Leży na nim przytomna, lecz skrupowana więzią kobietą.

– Pan pozwoli, doktorze. – Wirths daje znać, bym szedł za nim. – Panno Schmitt, proszę o rękawiczki oraz preparaty. Rozpoczynamy badanie.

Nie mam wątpliwości, że to wszystko zostało zaaranżowane specjalnie na moje przybycie. I jestem z tego powodu naprawdę

zadowolony. Posłusznie podążam za Wirthsem, który po chwili zaczyna mi objaśniać charakterystykę obiektu, przygotowanego do przeprowadzenia opracowanego przez niego badania. To bardzo ciekawe.

38.

– Proszę teraz uważać. Wybrałem pacjentkę, która powinna wzbudzić nasze zainteresowanie.

Wirths daje mi znać, bym obserwował jego poczynania. Operuje specjalnym wziernikiem, wkładając go głęboko do pochwy skrzepowanej kobiety. Oprócz mnie zabieg ogląda jeszcze kilka osób. Najwyraźniej lekarz naczelny lubi mieć publikę albo stara się wyrzucić na mnie odpowiednie wrażenie. Udaje mu się. Jestem podekscytowany bezgraniczną swobodą, z jaką poczynają sobie z obiektem badania. Nie zwraca uwagi na więzy ani jakiegokolwiek protesty, a zwyczajnie robi swoje. Teraz nie jest lekarzem. Jest naukowcem.

– Widzi pan te zaczerwienienia?

Rozwarcie metalowych szczypiec napręża drogi rodne kobiety do granic wytrzymałości. Jej skóra niemal pęka. Musi to boleć, lecz dzięki temu mamy dobry podgląd na sytuację.

– Tak – zgadzam się. – Czy to wzbudza pańskie podejrzenia?

– Nazwijmy je uzasadnionym niepokojem.

Nieco przeszkadza mi pokrętny ton tego człowieka. Uważam, że w trakcie prowadzenia badań oraz eksperymentów należy unikać skali szarości i zbędnych komplikacji. Uzasadniony niepokój powinno nazywać się właśnie podejrzeniem.

– Pobiorę wycinek. – Wirths sięga do podanego mu przez asystentkę naczynia. – Nie jestem ginekologiem, ale wdrażam się w tę materię.

Szczerze mnie zaintrygowała.

– Chodzi o jej istotę?

– A może o coś całkowicie innego?

Lekarz wzrusza ramionami i nachyla się ku specjalnej metalowej tulei umieszczonej w pochwie leżącej. Wlewa przez nią jakiś płyn.

– To kwas octowy oraz roztwór wodny jodu – wyjaśnia, widząc moje zainteresowanie. – Dzięki nim zazwyczaj zyskujemy ostateczne potwierdzenie.

– Gdyż? – dopytuję szczerze zdumiony.

Tymczasem kobieta szarpie się i krzyczy, ale nikt nie zwraca na nią uwagi.

– W niektórych sytuacjach zwiększają stan zapalny. Nie zawsze, lecz w około sześciu na dziesięć przypadków.

– Wtedy podejrzewa pan raka?

– Właśnie. Proszę zobaczyć, tak dzieje się również teraz.

Specjalna latarka ma pomóc mi dostrzec różnicę, lecz w tej materii nie jestem wystarczająco biegły. Choć nie widzę, by zaczerwienienie przybrało na sile, przytakuję. Robię to na tyle wiarygodnie, że Wirths jest wyraźnie usatysfakcjonowany z efektu swojego pokazu. Nie maskując uśmiechu, sięga po kilkunastocentymetrowe, zakrzywione nożyczki. Wkłada je do metalowej tuby, po czym dokonuje nacięcia, na skutek którego kobieta dziko wrzeszczy. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że robi to mimo tkwiącego w jej ustach szmacianego knebla.

– Częściowa amputacja szyjki macicy pozwala na pozyskanie wystarczającego materiału – stwierdza Wirths. Wrzuca fragment tkanki do przygotowanej próbówki i spogląda mi w oczy. – Odeślemy go do Monachium, mam pełne zaufanie do tamtejszych specjalistów. Zobaczymy, czy znów miałem rację.

Po swoim powitalnym pokazie Wirths kazał podwładnym się mną zaopiekować. Oprowadzono mnie po terenie obozu, a przede wszystkim zaprowadzono do tak zwanego „kwartału chorych”. Tamtejsze baraki niczym nie różniły się od pozostałych, miały taki sam prostokątny kształt, a do środka prowadziły z boków skrzydłowe drzwi. Przy wszystkich mieściły się pomieszczenia barakowego oraz zarządcy, a po drugiej stronie łazienka, latryna i trupiarnia.

Istotę baraków położonych w kwartale chorych stanowiło ich wnętrze. Wypełniały je szeregi trzypiętrowych łóżek, na których każdym poziomie leżało kilku pacjentów. Usiłowano segregować ich ze względu na stan oraz dolegliwości, lecz w tej materii od razu dostrzegłem istotne braki. Z pewnością system działał sprawnie, ale nie tak sprawnie, jak mógłby działać przy włożeniu w niego jeszcze nieco pracy. Wszelkie pomysły na bieżąco notowałem, gotów przedstawić je Wirthsowi oraz władzom obozu.

W związku z niedoborem materaców większość łóżek była wyłożona płóciennymi workami wypchanymi słomą oraz przykryta szmatami. Podczas niektórych transportów więźniowie przywozili ze sobą kołdry oraz pościel, jakby wybierali się do domku na wsi. W końcu bywa, że nie zabiera się im tych tobołków. Uważam to za słuszne, gdyż skoro mają pracować ku chwale Rzeszy, należy pozwolić im stworzyć właściwe warunki. Tym bardziej takie, na które Rzesza nie musi wyłożyć choćby jednej marki. Czasem rekwirowane są tylko najgrubsze, podwójne kołdry przywożone z Bałkanów oraz okolicy Krymu, ale to tylko dlatego, że tak dobrym nakryciem nie mogą się pochwalić nawet nasi żołnierze. Przede wszystkim winno się zachować odpowiednią proporcję.

Odpowiednią proporcję zachowano natomiast z pewnością przy wydzielaniu racji żywnościowych. Jest to szczególnie istotne, biorąc pod uwagę, że więźniowie muszą mieć dość energii do pracy, ale nie

tyle, aby mieć siłę się zbuntować. To jedna z podstawowych zasad wszelkich systemów penitencjarnych i cieszę się, że jest tu wdrażana w życie. Wirths, w porozumieniu z jakimś akademikiem, opracował doskonałą dietę. Odpowiednia ilość białek, węglowodanów i tłuszczu ma znaczenie nie tylko dla żołnierzy, ale również dla więźniów.

Kwartal chorych nie wyróżniał się na tle pozostałych. Jednak ze względu na liczne przypadki dręczącej chorych biegunki wprowadzono dodatkowe porcje owsianki z moczonym w niej chlebem. Ten środek zaradczy, jak na panujące tu warunki, jest całkowicie wystarczający. Więźniowie mają zostać zachowani przy życiu, nie mogą się odwodnić, ale musimy pamiętać, że leki oraz istotne porcje żywieniowe należy wysyłać na front.

Co rusz zerkam w notatki, aby uporządkować wszelkie spostrzeżenia z pierwszych dni. Usystematyzowałem swoje oczekiwania oraz coraz konkretniej wiem, czego się mam spodziewać. Plaga wszy w kwartale chorych nie stanowi istotnego problemu, choć z pewnością jest uciążliwa również dla personelu. Znacznie większą bolączką jest tyfus. Na podstawie uzyskanych informacji mogę stwierdzić, że epidemie wybuchają raz po raz, a najpospolitszym sposobem ich dławienia jest masowe uśmiercanie więźniów. To wyjście skuteczne, ale jednocześnie pozbawiające nas siły roboczej. Mam kilka alternatywnych propozycji, które zamierzam przedstawić komendantowi. Obersturmbannführer Rudolf Höß zaprosił mnie na wspólny obiad, co bardzo mnie cieszy.

Czuję, że powoli się tu zadomawiam. Najważniejsze są jednak stojące przede mną wyzwania. Jest ich kilka.

Obersturmbannführer Rudolf Höß jest postawnym, nieco przysadzistym mężczyzną o ponurym spojrzeniu i pełnych ustach. Porusza się dość niezgrabnie, co może być kwestią przebytej niegdyś choroby lub doznanego urazu. Staram się jednak powstrzymać od analizowania jego fizjonomii.

Przechodzimy szeregiem pokoi, a za nami podąża adiutant komendanta. Z kurtuazją otwiera ostatnie drzwi, po czym staje na baczność. Wtedy we dwóch wkraczamy do prostokątnej jadalni z długim, elegancko nakrytym stołem. Na środku stoi srebrny świecznik, a po obu stronach ciągnie się szereg tac z przekąskami.

– Szybciej, szybciej! – Höß krzyczy w głąb domu, a następnie wskazuje miejsce, które mam zająć. – Ci cholerni lenie wiecznie się spóźniają. Za każdym razem to samo.

W tej samej chwili do pomieszczenia wchodzi dwie służące ubrane w fartuchy. To więźniarki, lecz najwyraźniej zezwolono im nie nosić obozowych oznaczeń. Ze spuszczonej oczami przemykają do stołu. Stawiają przed nami głęboką wazę oraz półmisek z kilkoma rodzajami pieczywa.

– Won – syczy Obersturmbannführer. – Z nalewaniem poradzimy sobie sami.

– Tak jest, panie...

– Won.

Kobiety potulnie niemal wybiegają z jadalni. Höß podnosi się i sięga do wazy. Nalewając gęstej, pożywnej zupy, co rusz zerka na mnie rozbawionym spojrzeniem.

– Odpowiednia liczba ćwiczeń sprawia, że nawet bydlęta nabierają rozumu – oznajmia. – Najlepszą mobilizacją jest jednak rotacja. Ta dwójka służy mi najdłużej, do tego ze szczególną starannością. Wiedzą, że ich poprzedniczki popełniały błąd i już po kilku dniach trafiały do...

Obersturmbannführer stawia przede mną talerz i znacząco unosi palec w górę. Sprawia wrażenie wyjątkowo uporządkowanego oraz przywiązującego wagę do szczegółów. Dostrzegam, że jego spojrzenie przemyka po sztucach, jakby lustrował, czy zostały równo rozłożone.

– Smacznego!

Na dany znak zabieram się do jedzenia. Zupa jest bardzo dobra, mięsna i kaloryczna. Dawno nie jadłem nic równie smacznego, lecz Höß zdaje się nie zwracać na to żadnej uwagi. Swoją porcję pochłania szybko, całkowicie mechanicznie, jakby nie sprawiało mu to żadnej przyjemności.

– Słyszałem, że ma pan szereg pomysłów – odzywa się, ocierając kąciki ust serwetką. – Proszę powiedzieć jakich.

Nie spodziewałem się tak szybkiego przejścia do konkretów, lecz dzięki starannemu ich wynotowaniu poprzedniego wieczora natychmiast rozpoczynam referat. Po kilku zdaniach Obersturmbannführer ruchem dłoni daje mi znać, żebym przerwał.

– Ma pan moje całkowite poparcie – rzuca, kilkakrotnie uderzając łyżką w talerz. Najwyraźniej to znak, by służące pojawiły się w jadalni, gdyż drzwi natychmiast się otwierają. – Może pan wdrażać swoje pomysły bez względu na wymagane półśrodki. Wszelkie ofiary są do zaakceptowania.

Te ostatnie słowa Höß wypowiada, bacznie obserwując pracę swoich służących. Kobiety zachowują się, jakby były kompletnie głuche.

41.

Czystość to podstawa. Profesor von Seifeld powtarzał to, rozpoczynając każde zajęcia. Czy mówił o profilaktyce, czy o przeprowadzaniu operacji, zawsze wspominał o czystości. Jeżeli traktuje się ją jako punkt wyjścia, wszelkie późniejsze działania są

ułatwione. Unika się podstawowych błędów, jakimi są ułatwienie namnażania czynników chorobowych oraz komplikowanie procesów kuracji. To dwie strony tej samej monety, ale patrząc na rewers, nigdy nie można zapominać o awersie. Doskonale pamiętam te słowa.

Wszy są immanentnie związane z tyfusem, dlatego ich zwalczenie stanowi główny element mojego planu objęcia funkcji. Rozpisałem szczegółowy harmonogram, a teraz z niecierpliwością czekam na efekty.

– Wszyscy na zewnątrz! – krzyczą towarzyszący mi żołnierze. – Szybciej, szybciej!

Barakowy podrywa się i jak w ukropie biega od łóżka do łóżka, wybudzając pacjentów. Ci, którzy mają siły, pomagają się zwlec obłożnie chorym. Nie mam wątpliwości, że część z nich po prostu udaje. Tymi wyrzutkami zajmę się niebawem, ale najważniejsza jest systematyczność.

– Na zewnątrz!

Kilkudziesięciu więźniów formuje się w kolumnę, a następnie rusza ku otwartym drzwiom. Mimo to w jednym z łóżek zostało trzech chorych. Im nie miał kto pomóc. Skoro nie mogą wstać, niepotrzebnie zajmują przestrzeń.

– A oni? – zwracam się do blokowego.

Ostrzyżony na zapalną malutki mężczyzna cofa się, jakby spodziewał się, że go uderzę. Zatrzymuje się trzy kroki ode mnie. Przyjmuje postawę na bacność, ale zaraz błagająco unosi dłonie. W jego mętnych oczach kryje się bezbrzeżny strach. Może mieć pięćdziesiąt, a równie dobrze siedemdziesiąt kilka lat.

– Są przytomni, już im lepiej, ale nie mają sił – mówi, wyrzucając szybko słowa. – Potrzeba im kilku dni, tygodnia.

– Akcja odwszawiania nie może zaczekać – odpowiadam szorstko. – Oni ją opóźniają. Minuta stracona w jednym baraku wiąże się z kwadransiem straconym w całym kwartale. To niedopuszczalne.

– Ale...

Szybkim krokiem podchodzę do łóżka, w którym leżą ci mężczyźni. Jeden ma zamknięte oczy i ledwie oddycha, ale dwaj pozostali wbijają we mnie proszące, bezbronne spojrzenia. Mają zapadnięte policzki i żółtą cerę. Ich czoła zroszone są kroplami potu, a nozdrza zapadnięte jak u większości osób po ciężkiej chorobie.

– Proszę... – szepcze po niemiecku jeden z nich.

Usiłuję się podnieść, ale jedynie delikatnie unosi kark. Po chwili jego głowa opada na poduszkę. Jego przytomny towarzysz błądzi wzrokiem gdzieś po suficie. Chyba się modli. Biorę jego dłoń i sprawdzam puls. Jest miarowy, lecz słabo wyczuwalny. Spoglądam na jego pokrytą wybroczynami twarz. Zapewne jest skrajnie odwodniony i może majaczyć.

– To stolarz – wyjaśnia blokowy. – Bardzo zdolny człowiek, który...

– Dość – uciszam go ostro. Następnie zwracam się do towarzyszącego mi podoficera. – Pozbądźcie się ich. Jak najszybciej.

42.

– Rozbierać się! Do naga.

Komenda budzi zdumienie, mimo to po chwili kilkudziesięciu mężczyzn posłusznie zdejmuje ubrania. Pada deszcz i momentalnie zaczynają drżeć z zimna, lecz wiedzą, że nie mogą się opierać. Działają najszybciej, jak umieją. Przynajmniej tego zdołali się już nauczyć. To kwestia instynktu przetrwania. Słowo daję, że wszystko można sprowadzić do odruchów oraz biologii.

Wiodę wzrokiem po wychudzonych, kościstych ciałach. To teoretycznie wyłącznie Cyganie, choć z rasowego punktu widzenia tożsamość genetyczna niektórych z nich budzi wątpliwości. Konkretne badania antropometryczne mogłyby pozwolić dokonać

bardziej szczegółowej segregacji. Teraz jednak nie ma na to czasu. Postanawiam skupić się na tym później, gdy wypełnione zostaną istotniejsze punkty opracowanego przeze mnie grafiku.

Po kilku minutach mężczyźni usiłują robić, co w ich mocy, byle się rozgrzać. Przeszują z nogi na nogę, zbijają się w grupy, a jednocześnie zerkają, czy nie będzie to stanowiło naruszenia regulaminu, na które nie pozwolę. Kilku z nich ukradkiem podpira chorych, niezdolnych do utrzymania się na stojąco. Nagle jeden z mężczyzn zwała się na ziemię, lecz momentalnie wokół niego robi się próżnia. Nikt nie zamierza mu pomóc.

– Mogą wrócić – melduje mi jeden z żołnierzy.

Proces odwszawiania ubrań oraz worków ze słomą został rozpoczęty. Teraz czas na kolejny etap. Przed wejściem do baraku zostaje ustawionych kilka wiader z przygotowanym przeze mnie roztworem. To substancja żrąca, lecz nie na tyle, by oparzenia nie mogły się łatwo wygoić. Co najwyżej doprowadzi do miejscowych ubytków skórnych.

– Do roboty! – nakazuję. – Podłoga, ściany i łóżka mają lśnić!

Więźniowie w pierwszej chwili nie rozumieją, czego od nich oczekuję. Gdy obozowy rzuca w błoto parę szmat oraz szczotek, rozlega się szmer.

– Szybciej, szybciej – ponagla ich charkotliwym tonem. – Dobrze słyszeliście Hauptsturmführera. Raz, raz!

– A ubrania? – pyta któryś z więźniów.

– Później.

Szmaty, w które byli ubrani, trafiły do balii ze środkami odkażającymi. Działanie preparatu powinno być natychmiastowe, więc nie widzę przeszkód, by już im je wydać.

– Niech się ubiorą – zgadzam się łaskawie. – Skoro tak tego chcą, nie mam nic przeciwko.

Mokre, cuchnące odkażaczem części odzieży wydawane są na chybił trafił. Więźniowie, mimo że telepią się z zimna, zakładają je bez słowa

niezadowolenia. W momencie, gdy zwarta grupa rusza do baraku, na ziemię pada kolejny z nich.

– Do kostnicy – rzucam do obozowego.

Nie zamierzam tracić czasu na sprawdzanie, czy leżący mężczyzna jeszcze żyje. Nie wszyscy mają tu szansę na wyzdrowienie. Takie są bezwzględne prawa natury.

43.

– Skoro akcja odwszawiająca przyniosła odpowiednie efekty, bezwzględnie należy ją rozszerzyć. Świerzb oraz wszawica mają bardzo wiele wspólnego.

Uśmiecham się i pokazuję Wirthsowi dwie balie ustawione na środku dziedzińca. Naczelny lekarz przygląda się im z zainteresowaniem, wydyma wargi, po czym przenosi wzrok na liczącą niemal sto osób kolejkę nagusów. Jest zimno, a oni stoją bez ubrań już niemal dwie godziny. To również istotny element planu kuracyjnego.

– Sądzę, że temperatura ma wyjątkowe znaczenie w procesie leczenia świerzbu – oznajmiam. – Przynajmniej pierwsze rezultaty moich badań są obiecujące.

– Doprawdy?

– Powstrzymałem rozprzestrzenianie się choroby w dwóch trzecich baraków objętych programem. Nie ma nowych źródeł...

Nie precyzuję, że według przypuszczeń części moich współpracowników więźniowie po prostu ukrywają objawy świądu. Robią, co mogą, byleby nie zwrócił na nich uwagi.

– Szybciej! – Podoficer służby obozowej nakazuje wejść do balii pierwszym stojącym w kolejce. Rozkazałem, by rozpoczął ten pokaz dokładnie w momencie, gdy zjawię się z Wirthsem.

– Co jest w środku? – pyta naczelny lekarz.

Wkładam dłonie do kieszeni i obojętnie wzruszam ramionami.

– W pierwszej siarczan sodu, a w drugiej kwas solny. Oczywiście w stężeniu, które ich nie zabije.

– Każdy z nich ma zanurzyć się w jednej i w drugiej balii?

Nie odpowiadam. Odwracam się i skinieniem głowy daję znać, by Wirths obserwował, co się dzieje. Po zanurzeniu w siarczanie sodu przygarbiony Cygan zaczyna dygotać i parskać. Pilnujący porządku żołnierz znacząco poklepuje kolbę karabinu.

– Szybciej, szybciej! – ponagla podoficer. Gdzieś z boku wściekle ujadają psy. Jakaś kobieta wybucha głośnym, spazmatycznym płaczem. Wszystko to zdaje się robić na Wirthsie właściwe wrażenie.

Więzień wskakuje do wanny z kwasem solnym, a jego twarz wykrzywia się z bólu. Wszystkie rany oraz ogniska świerzbu na jego ciele gwałtownie czerwienieją.

– Pięć sekund! Cztery! – odlicza żołnierz. – Trzy, dwa...

W tym samym momencie kolejny więzień wchodzi do balii z siarczanem sodu. Stojący za nim bacznie się temu przyglądają. Zacierają dłonie i usiłują się rozgrzać. Starają się nie zwracać uwagi na krzyki oraz jęki bólu. Są zrezygnowani. A może pojawiła się w nich nadzieja na wyleczenie świerzbu? W końcu kazałem ogłosić, że robimy to wszystko jedynie ze względów sanitarnych. Najważniejsze jest zdrowie więźniów, choć dbałość o nie przyczynia się do rozwoju nauki. Ustawione publicznie balie mają pokazać wszem wobec, że poza poparzeniami nic im nie grozi. A przecież poparzenia to niewielka cena wyzdrowienia[11].

Wracam wspomnieniami do tych ostatnich tygodni z przyjemnością. Uważam, że wypełniała je praca oraz pokorna służba Rzeszy i wartościom, w jakie zaprzysiągłem wierzyć.

– I oto jesteśmy tutaj – kończę opowieść i spoglądam na Neumana.
– Zgodnie z umową opowiedziałem wszystko całkowicie szczerze. Może pan z tym zrobić, co chce. Ja jestem dumny z każdej sekundy swojego życia.

Neuman odstawia pusty kieliszek i powoli podnosi się z fotela.

– Ma pan prawo być dumny. – Podchodzi do mnie, wyciągając dłoń. – Robi pan doskonałą rzecz. W Rzeszy powinno być o panu głośno.

Jego słowa łechcą moje ego, lecz powstrzymuję uśmiech. Przez chwilę mierzymy się wzrokiem. Wydaje mi się, że Neuman jest autentycznie ukontentowany. Poklepuje mnie po ramieniu, jakbym był jego najbliższym przyjacielem.

– Dokładnie tego się spodziewałem – stwierdza, kierując się do drzwi. – Jest pan człowiekiem na właściwym miejscu.

– Robię, co do mnie należy.

To całkowita prawda. Czasem pozwalam sobie również na nieco więcej, ale wiedzie mnie jedynie naukowa ciekawość. W tym momencie czuję, że otwiera się przede mną szansa na jeszcze bardziej obiecującą przyszłość.

– Czy nasza umowa obowiązuje? – pytam, gdy Neuman wychodzi na korytarz.

– Oczywiście.

Z ulgą wypuszczam powietrze. Opieram się o drzwi i splatam ręce na piersi.

– A pańskie zadanie? Co pan zamierza zrobić?

Neuman odwraca się i pochyla głowę. Marszczy czoło, jakby zastanawiał się nad czymś szalenie istotnym. Młascze, po czym odzywa się nieco zblazowanym tonem.

– Wykorzystamy pańską osobę do propagowania właściwej postawy wśród niemieckich naukowców – wyjaśnia. – W kręgach akademickich wciąż szerzą się poglądy zaskakująco niechętnie narodowemu socjalizmowi.

– Mam nadzieję, że przysłużę się ich ukróceniu.

Właściwie mało mnie to interesuje. Znacznie istotniejsze jest dla mnie to, co otrzymam w zamian, a przede wszystkim kolejne zdanie, które trafi do notek na mój temat w naukowych periodykach. Chcę, by poza rezultatami moich badań do historii przeszło również wspomnienie mnie samego. Dzięki temu każda anonimowa śmierć nabiera znaczenia. Za sto, dwieście lat nie chcę być anonimowy.

– Wobec tego liczę na pańskie wsparcie – stwierdzam, byle coś powiedzieć. – Mnóstwo projektów czeka na jak najszybsze wdrożenie.

– Nie wątpię.

– Nie interesuje pana, co to za projekty?

Neuman kręci głową. Jego usta wyginają się w delikatnym uśmiechu, a oczy figlarnie błyszczą.

– Daję panu całkowicie wolną rękę – oznajmia. – W polityce, podobnie jak w nauce, najważniejsze są rezultaty, a nie metody ich otrzymania. Rozumie pan, co mam na myśli?

– Oczywiście.

– Mimo wszystko liczę na dyskrecję. Przynajmniej na tyle, na ile jej zachowanie będzie uzasadnione.

– Oczywiście – powtarzam.

Odruchowo przyglądam rękaw i sięgam ku tkwiącemu w zamku kluczowi. Jednak Neuman nie czeka, abym go odprowadził.

– Proszę nie tracić czasu i natychmiast zabrać się do pracy – rzuca, odchodząc. – Nie oczekujemy od pana niczego więcej, doktorze.

Doskonale. Z pewnością nie zamierzam zawieść zaufania.

45.

Spoglądam na dodatkowy transport żywności przeznaczony dla osób przebywających w moim kwartale. Aby móc prowadzić wiarygodne badania, ci ludzie muszą jeść. Jeżeli mają stanowić próbkę na tyle reprezentatywną, by przyrównać ich do niemieckich cywilów, wartości kaloryczne muszą zostać zwiększone co najmniej dwukrotnie. To nadal będzie zbyt mało, jednak ich ciała staną się wówczas bardziej odporne na choroby.

Już pierwsze dni wdrażania programu żywnościowego przynoszą istotne efekty. Wchodzę do lazaretu i zerkam na więźniów chorych na raka wodnego. To specyficzny rodzaj zapalenia błony śluzowej jamy ustnej, który zostaje wywołany przez zakażenie bakteryjne. W normalnych warunkach niemal nie występuje, ale badania mogą przydać się żołnierzom pozostającym na froncie. Przede wszystkim to schorzenie może pojawić się w wyniku niedostatków dystrybucji racji żywnościowych, na przykład w związku z odcięciem od źródeł zaopatrzenia.

– Lepiej wam? – Pytam z uśmiechem dwóch Cyganów leżących na zapadniętym łóżku. Obaj mają w policzkach rany niemal na wylot. U jednego z nich widać nawet żółtoczarne popsute zęby. Owrzodzenie na twarzy drugiego jest nieco mniejsze. – Możecie jeść? Zwiększyłem wasze posiłki niemal dwukrotnie.

Z ust więźnia w lepszym stanie wydobywa się niezrozumiały bełkot. Spojrzenie drugiego jest nieruchome i wbite gdzieś w ścianę. Zapewne zaczyna toczyć go sepsa.

– Dziękujemy, ojczulku.

Odwracam się, by zlokalizować, skąd dobiega głos. Nieco dalej w rogu pomieszczenia, na łóżku, siedzi dwóch bliźniaków. To kolejni więźniowie skierowani do tego baraku bezpośrednio z mojego rozkazu. Miałem zająć się badaniem porównawczym ich źrenic. Od

jakiegoś czasu głowę zaprzęta mi zagadnienie przeszczepu organów między bliźniętami. Gdyby zwiększyć liczbę mnogich ciąży wśród Niemek, można by rozważyć stworzenie ludzi będących zbiorem zapasowych części dla ich braci walczących na froncie. To intrygujący temat.

– Tak, dziękujemy, ojczulku... – dodaje drugi bliźniak.

Chłopcy mają piętnaście lat i nakazałem szczególnie o nich dbać. Mogą istotnie przysłużyć się badaniom. Wykazują całkowite podobieństwo, bez żadnych jawnych cech odrębności. Nie natrafiłem nawet na jakiegokolwiek, niebędące im wspólnym, znamię.

Ojczulku...

Odkąd zdecydowałem o podwojeniu dostaw żywności, zwraca się tak do mnie większość pacjentów. Na ich bladych twarzach widzę nawet sporadyczne uśmiechy. Są mi wdzięczni. Gdy przechodzę, wyciągają ku mnie dłonie. Tak jak teraz.

Podchodzę do bliźniaków i serdecznie się z nimi witam. Pochyliam się, by poklepać jednego z nich po plecach. Spoglądam mu prosto w oczy, co wcale go nie peszy. Chłopiec uśmiecha się jeszcze weselej. Jego źrenice lekko się rozszerzają. Przenoszę wzrok na jego brata, a ten również zdaje się z tego powodu zadowolony. W jego policzkach pojawiają się delikatne dołki. Tak, to one odróżniają go od bliźniaka. To jego wyjątkowa cecha anatomiczna.

Wyprostowuję się i patrzę po kolejnych twarzach. Zwiększona porcja potrafi z tych bydląt zrobić niemalże ludzi. Nabrali kolorów oraz sił. Owrzodzenia spowodowane rakiem wodnym w kilku przypadkach wyraźnie się zmniejszyły. Nie notuje się niemal żadnego pogorszenia stanu.

Dotykam ramienia czarnookiej, niskiej Cyganki. Jest w ciąży, choć jeszcze tego niemalże nie widać. Niebawem miałem się skontaktować z doktorem Claubergiem, który zgłosił zapotrzebowanie na ciężarne

do swoich badań. Myślę, że będę mógł mu ją udostępnić. Podobnie jak dwie inne Cyganki, które wbijają we mnie ufne spojrzenia.

Tak, jestem ich ojczulkiem. Omiatam wzrokiem salę pełną najszcześliwszych więźniów tego obozu. To moje dzieło. To moje dzieci.

46.

Przekładam dokumenty i starannie je porządkuję. W moim gabinecie zaczyna brakować miejsca. Sprowadziłem dwie kolejne szafki, ale papiery całkowicie je wypełniły. Teczki piętrzą się na podłodze oraz na biblioteczce. W szufladach biurka nie mogę upchnąć choćby kartki.

– Muszę przenieść to do głównego archiwum... – szepczę, zerkając na teczki odłożone w kącie gabinetu. – Trzeba je powiększyć... Albo znaleźć nowe pomieszczenie.

Odkąd pojawiłem się w obozie, główne archiwum rozrosło się niemal dwukrotnie. Rozumiem niechęć niektórych lekarzy oraz oficerów do prowadzenia dokumentacji, ale moim zdaniem to całkowicie niezbędne. Człowiek o najlepszej pamięci nie jest w stanie zasufladkować w mózgu każdego szczegółu. Zapomnienie wiąże się z koniecznością powtórzenia badań, które często trwają całymi tygodniami. To strata czasu, a czas jest jedną z niewielu rzeczy, jakich mamy zbyt mało.

Przesuwam kolejne teczki, starając się wybrać te, które muszą zostać w gabinecie. Najczęściej będę zerkał do tych zawierających dokumentację badań będących w toku. Jednak przecież ich przebieg ma zazwyczaj sens jedynie w odniesieniu do eksperymentów już dokonanych.

– Cholera...

Być może przesadna dbałość o detale jest moją największą wadą. Wydaje mi się jednak, że w kontekście systemowym to istotna zaleta. Często spowalnia moje prace, lecz ostatecznie przyczynia się do niepodważalnych rezultatów. Nie chcę, aby kiedykolwiek zarzucono mi niedochowanie standardów. Pod moim nadzorem wszystko musi być przeprowadzone perfekcyjnie.

Sięgam po szklankę wody i upijam łyk. Jeszcze raz wiodę wzrokiem po rozłożonych tu i ówdzie teczkach. Dobrym sposobem byłoby pozbycie się ich wszystkich z gabinetu. Wówczas trafiłyby do jednego miejsca i...

Tok moich myśli przerywa pukanie. Ciche, ale stanowcze.

– Wejść – nakazuję.

Drzwi otwierają się i do pomieszczenia wchodzi mój adiutant. Staje przede mną wyprostowany jak struna.

– Tak? – rzucam niedbale, sięgając ku plikowi kartek. – O co chodzi?

– Rozkaz od komendanta.

– Co takiego?

Odwracam się i zerkam na trzymaną przez adiutanta kopertę. Biorę ją, po czym gestem daję znać, że chcę zostać sam. Gdy tylko drzwi się zamykają, pośpiesznie rozrywam pieczęć. Nie tracę czasu na szukanie noża do papieru. Dziwi mnie, że komendant nie wezwał mnie do gabinetu osobiście.

Wyjmuję kartkę i szybko przebiegam ją wzrokiem. Kolejne słowa sprawiają, że czuję narastającą wściekłość.

– Szlag!

Ciskam rozkaz na ziemię i kieruję się ku wyjściu. Gniewnie zaciskam pięści. To niewiarygodne!

– Chcę się spotkać z Obersturmbannführerem – oznajmiam bez ogródek. – Natychmiast.

W obozowej kancelarii, która stanowi zarazem pokój filtracyjny na dywanik komendanta, jest dwóch oficerów Waffen-SS. To obozowe psy stróżujące. Cerbery. Nigdy nie myślałem w ten sposób, ale nigdy dotąd nie byłem również tak wściekły. Choć noszę ten sam mundur, nie rozumiem skostniałości procedur.

Staram się uspokoić. Z trudem wyprostowuję palce i rozluźniam mięśnie twarzy. Przed wejściem do pomieszczenia starannie otarłem pot z czoła.

– Komendant jest teraz zajęty – odpowiada młodszy oficer, z niechęcią podnosząc głowę znad pliku papierów. W ich oczach działalność medyczna nadal jest czymś niepożądanym. Jestem kimś gorszym, bo nie włóczę się po wieżyczkach strażniczych i nie robię obchodów wokół ogrodzenia.

– To pilne. – Potrząsam rozkazem. – Muszę z nim porozmawiać.

– Proszę zostawić wiadomość. Przekażemy ją i Obersturmbannführer ustosunkuje się do niej w najkrótszym możliwym czasie.

– „W najkrótszym możliwym czasie” to ja mam się ustosunkować do rozkazu.

– To już nie leży w granicach mojej kompetencji.

Mam ochotę zakląć, ale się powstrzymuję. Gnę rozkaz i zakładam dłonie za plecy. Momentalnie jednak podchodzę do biurka drugiego z oficerów.

– Proszę kartkę oraz ołówek.

Otrzymuję je niemal natychmiast, bez słowa komentarza. Pośpiesznie kreślę kilka zdań, wreszcie w żaden sposób nie opieczętowując pisma, rzucam je na blat. Obersturmbannführer nigdy nie traktował mnie w taki sposób.

- Proszę je przekazać niezwłocznie.
- Oczywiście.
- I dodać, że to bardzo pilne. Nie można zlikwidować części obozu, która bez wątplenia się jeszcze przyda. Nie można...

Gryzę się w język, choć oczywiście nie powiedziałem nic na wyrost. Spodziewałem się, że w kancelarii będzie wiadomo na ten temat więcej niż gdziekolwiek indziej. Skoro otrzymałem rozkaz przygotowania się do zamknięcia obozu cygańskiego oraz pozbycia się jego mieszkańców, musiał być on dyskutowany. Przypuszczam, że nawet jeżeli dyspozycje nadeszły z samej góry, do ich wykonania przymierzano się na wszystkie strony właśnie w tym pomieszczeniu. Stąd wydostały się wici wzywające do działania podwykonawców takich jak ja.

Nie myliłem się. Starszy z oficerów kancelaryjnych wbija we mnie znaczące spojrzenie. Wyciąga papier z maszyny i odsuwa krzesło od biurka.

– Wszystko zostało już postanowione – oznajmia. – Zostały określone konkretne ramy operacji likwidacyjnej.

– Eksperymenty naukowe nie podlegają cholernym ramom! – protestuję, choć wiem, że ten człowiek może zrobić tak samo niewiele jak ja. – To moje dzieło! Nie można go zaprzepaścić ot tak. Wtedy wszystko pójdzie na marne!

– Na marne? Musimy usprawnić funkcjonowanie obozu. Jest zbyt niedochodowy, a pański kwartał przynosi wyłącznie długi.

– Długi? – dziwię się. – Przecież moje badania to oczywiste korzyści!

– Kosztują zbyt wiele. Będzie pan musiał zmienić materiał badawczy.

– Wyselekcjonowanie tych więźniów trwało tygodniami. Wdrożenie badań to kolejne tygodnie.

Oficer wzrusza ramionami. Ponownie przysuwa się do biurka i wkręca do maszyny kolejną kartkę. To wyraźny znak, że audyencja

została zakończona. Mogłem być wschodzącą gwiazdą berlińskiej propagandy oraz niemieckiej nauki, ale w tej machinerii jestem tyle samo wart, co nadzorca kwartału. Kwartały i ich nadzorcy byli warci natomiast tyle, ile zysku przynosili. Oczywiście tkwiący w łózkach, półprzytomni więźniowie nie mogli stanowić istotnej siły roboczej. Moje próby wyznaczenia im prac możliwych do wykonywania w pozycji leżącej spotkały się z drwinami. Zwiększenie racji żywnościowych stanowi natomiast widoczną pozycję w rubryce „straty”. Ci impertynenci nie rozumieją inwestycji, jaką moje badania stanowią dla całej Rzeszy.

– Proszę to przekazać komendantowi. – Jeszcze raz wskazuję na pismo. – Z wykonaniem rozkazu będę czekał na odpowiedź. Nie mogę przerwać badań...

Każde kolejne zdanie byłoby zbędnym błaganiem. Nie zamierzam o nic prosić ani tym bardziej nikogo błagać. Mimo to żał mi wszystkiego, co osiągnąłem. Nie chcę tego stracić.

Kieruję się na zewnątrz i wychodząc, trzaskam drzwiami. Leje deszcz. Na uspokojenie wystawiam twarz ku niebu, ale to nie może nic zmienić. Gotuję się od środka. Nerwowym krokiem ruszam w stronę baraku szpitalnego. Tam są moi pacjenci. Moje obiekty i moja szansa na zaistnienie w historii. Nie poddam się tak łatwo.

Wpadam do środka i natychmiast przywołuję blokowego.

– Przyspieszcie wszelkie opisy, zweryfikujcie przypadki i przekażcie dokumenty prosto do mojego gabinetu – nakazuję. – Natychmiast. Wydzielcie kobiety w ciąży oraz bliźnięta. Szczególnie zależy mi właśnie na nich. Nie możemy ich stracić... Rozumiesz? Nie możemy ich stracić!

Z nerwów cały drzę.

– Otwórz szerzej oczy. Ty również.

Choć bliźniacy nie znają niemieckiego, natychmiast wykonują moje komendy. Siedzą naprzeciw mnie na obrotowych fotelach. Na ich twarze pada światło dnia oraz pozbawionej klosza mocnej żarówki. Do tego w lewej dłoni trzymam małą latarkę, którą na przemian zapalam i gaszę. W prawej ściskam stoper, którym odmierzam czas reakcji źrenicy. W przypadku chłopca siedzącego po mojej lewej reakcja ta jest nieco wolniejsza. Kolejne wyniki starannie zapisuję w zeszycie.

– Teraz zamknijcie oczy – nakazuję. – O tak. Bardzo dobrze. Nie otwierajcie ich, dopóki nie pozwolę, a wtedy zróbcie to jednocześnie. Postarajcie się...

Poprawiam lampkę, tak że żarówka znajduje się dosłownie trzydzieści centymetrów od twarzy bliźniaków. Włączam latarkę i minimalnie się przesuwam, by nie rzucać cienia.

– Teraz. Otwierajcie!

Chłopcy wykonują polecenie, a ja dwukrotnie wciskam przycisk stopera. Po raz kolejny reakcja ich źrenic nie jest jednoczesna. To ciekawe. Nie wiem, czy ta obserwacja ma jakiegokolwiek znaczenie dla prowadzonych przeze mnie badań, ale podobne rozbieżności po prostu bywają intrygujące. Żałuję, że nie jestem w stanie ustalić, który z chłopców przyszedł na świat jako pierwszy. Nie posiadam na to żadnych dokumentów, a gdy dwujęzyczny więzień przetłumaczył chłopcom moje pytanie, ci jedynie zmarszczyli czoła, jakby tę kwestię poruszono przy nich po raz pierwszy. Albo jakby stanowiła dla nich zagadnienie całkowicie abstrakcyjne.

Jaki może być inny czynnik determinujący reakcję źreniczną? Uszkodzenie wzroku? Wszelkie testy pokazały, że obaj bliźniacy mają minimalną krótkowzroczność, ale na takim samym poziomie. Nie przeszli żadnych chorób w obrębie narządu wzroku ani nie doznali

uszkodzeń mechanicznych. Przynajmniej nic, co pozostawiłoby jakiegokolwiek zauważalne ślady.

– No, dobrze. Będę musiał to rozpisać i nad wszystkim się zastanowić – szepczę. – Poza tym skonsultuję się z okulistą...

Odkładam latarkę i stoper na biurko, po czym rozpinam kitel. Zdejmuję rękawiczki, a bliźniacy wyraźnie się rozluźniają. Zamieniają ze sobą kilka krótkich zdań. Zdaje się, że porozumiewają się w jakiejś romskiej gwarze. Do obozu przybyli wraz z transportem więźniów z Moraw.

– Macie. – Podaję im dwa cukierki. – Dobrze się spisaliście.

Na jajowatych czaszkach, uwypuklonych przez brak włosów, skrzą się kropelki potu. Bliźniacy chętnie biorą słodczyce i łapczywie rozpakowują pozłotka. Zerkają, jakby się upewniali, czy mogą zjeść cukierki od razu, tu, w gabinecie. Gdyby ktoś z ich współtowarzyszy zobaczył, że je dostali, pojawiłyby się rozmaite podejrzenia. Wiem, jak funkcjonuje obóz. Doskonale rozumiem zawilosci relacji między więźniami. Ba, z całym rozmysłem im sprzyjam.

– Jedzcie, śmiało. – Uśmiecham się zachęcająco.

W tym samym momencie drzwi do gabinetu otwierają się bez pukania. Bliźniacy odruchowo starają się ukryć słodczyce. Ganię ich wzrokiem, po czym powoli się odwracam. W progu stoi jeden z kancelistów komendanta i bacznie się mi przygląda. Wreszcie unosi dłoń, w której ściska złożoną na pół kartkę. To musi być odpowiedź na mój apel o wstrzymanie likwidacji tej części obozu. O wstrzymanie likwidacji tych więźniów.

49.

Dwukrotnie czytam krótką wiadomość. To nieoficjalna, nawet niepodpisana notatka. Trudno nazwać ją rozkazem lub

ustosunkowaniem się do mojego pisma. Zawiera jedynie lakoniczne stwierdzenia.

– Nie można spełnić... Odmawia się... Kategorycznie nakazuje... – Wychwytyuję pojedyncze zdania i frazy, które nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

Zaciskam usta i ponownie składam kartkę na pół. W pierwszej chwili chcę ją zmiąć, ale kancelista komendanta wciąż mnie uważnie obserwuje. To może być kolejna z prób. Mam wrażenie, że ma związek z wizytą berlińskiego ważniaka oraz całym tym zamieszaniem z wykorzystaniem mnie do celów propagandowych. A może przesadzam? Czasem zastanawiam się, czy nie popadam w paranoję.

Wyprostowuję się i staram wyglądać na całkowicie opanowanego. Zakładam dłonie za plecy.

– Proszę przekazać Obersturmbannführerowi, że wszystko jest dla mnie całkowicie zrozumiałe – oznajmiam niedbałym tonem. – Wcześniejsze polecenia wykonam natychmiast.

Podoficer stuka obcasami i bez słowa wychodzi. Pozostawia mnie wraz z bliźniakami, którzy całej scenie przypatrywali się z rozdziawionymi ustami. Na ich twarzach widać wyraz zaskoczenia oraz zmieszania. Najwyraźniej się domyślają, że pismo może mieć związek z ich losem. Podświadomość... To kolejne z zagadnień wymagających zgłębienia, choć nie mam na to czasu ani nie posiadam do tego właściwych instrumentów. Psychologia powinna odgrywać dla medycyny większą rolę.

– Zjedliście cukierki? – zagaduję chłopców. – No, czemu je chowacie?

Ci doskonale mnie rozumieją. Natychmiast wkładają słodczyce do ust i zaczynają je powoli przeżuwać. Delektują się ich smakiem. Kosztują je, jakby jedli najbardziej wyjątkowy frykas. Ich usta mimowolnie wyginają się w uśmiechach. Oczy błyszczą ekstatycznie. Czasem minimalna dawka cukru wystarczy, aby podnieść poziom hormonów zadowolenia. To fakt, o którym warto pamiętać w odniesieniu do

badań nad poziomem motywacji wśród żołnierzy. Wszystko ma przełożenie na praktykę. Nawet cholerne cukierki.

– Wasz obóz będzie musiał być zlikwidowany – mówię, przenosząc wzrok z jednego na drugiego chłopca. – Nic na to nie poradzę. Staralem się, aby was ocalić, ale nie miałem na to żadnego wpływu. Komendant podjął decyzję. Traficie do krematorium, a co gorsza, nie przysłużycie się nauce...

Wzruszam ramionami i bezradnie rozkładam ręce. Bliźniacy nadal mają słodczyce w ustach, ale przestają przeżuwać. Spoglądają na mnie z zainteresowaniem, starając się domyśleć, o czym mówię. Niepewnie wymieniają spojrzenia.

– Musimy wstrzymać wszystkie eksperymenty – ciągnę, po czym zerkam na zeszyt oraz plik kartek. – Na szczęście mam bogate notatki. To bardzo ważne. Myślę, że wykorzystam je, gdy znajdę waszych następców, tymczasem...

Zawieszam głos i wzdycham. Chłopcy po raz kolejny wymieniają ukradkowe spojrzenia i przenoszą je na mnie. Marszczą czoła w taki sam sposób jak wtedy, gdy zapytałem ich o kolejność, w jakiej się urodzili. Dziwią się. Nie mają pojęcia, dlaczego wypowiedziałem do nich tak wiele niezrozumiałych słów. Jeden z nich szeroko się uśmiecha, jakby był wdzięczny za całą tę przemowę.

– Dość – oznajmiam. – To koniec.

Błyskawicznie sięgam do kabury i wyjmuję pistolet. Oddaję cztery strzały. Po dwie w pierś każdego z bliźniaków. Umierają niemal jednocześnie. Nie zdołałem odnotować różnic czasu ich zgonu.

50.

Likwidacja obozu cygańskiego trwa, a mimo to nie ustają kolejne transporty. Po niemal dwugodzinnej segregacji przybyłych jestem

diabelnie zmęczony. Od wymachiwania bolą mnie ręce, a do tego odzywa się ból w okolicy nerek. Muszę więcej pić. W trakcie pracy wielokrotnie o tym zapominam i przez wiele godzin nie mam niczego w ustach. To błąd.

– Tylko torby podręczne! – krzyczę do więźniów skierowanych na lewą stronę. – Żadnych walizek! Te zostaną dostarczone przez strażników w późniejszym czasie. Szybko!

Kolumna złąknionych kobiet, starców oraz dzieci powoli rusza w stronę niskich budynków, nad którymi sterczy wymierzony w niebo komin. Maszerując obok niej, zerkam na twarze przybyłych. Zawsze intrygują mnie ich myśli oraz spojrzenia. Często staram się jeszcze dostrzec jakiegokolwiek okazy istotne dla ewentualnych eksperymentów lub badań. Tym razem rozczarowany stwierdzam, że nikogo nie pomiąłem. Nie dostrzegam ani jednego interesującego przypadku.

Po przebyciu nieco ponad dwustu metrów kolumna się zatrzymuje. Na znak dany przez strażników zostają otwarte drzwi znajdujące się nieco poniżej poziomu ziemi. Prowadzą do nich niezbyt strome schody. Zgromadzeni więźniowie zaczynają wymieniać przestraszone spojrzenia oraz rozmawiać przyciszonymi głosami. Od czasu do czasu odważają się zerknąć w stronę żołnierzy.

– Szybciej, szybciej – popędza ich wysoki jak tyczka Unterscharführer. Po chwili dodaje uspokajającym tonem: – Wchodźcie do środka, ale ostrożnie. Po kolei! Niedługo przejdziecie do kolejnego etapu.

Wszędzie wiszą tabliczki o koniecznej dezynfekcji oraz kąpieli. W kolejnym pomieszczeniu, które z mojej perspektywy tonie w mroku, znajdują się wieszaki na ubrania. Słyszę, jak strażnicy nakazują zebrany się rozebrać oraz zapamiętać numery przypisane do ich rzeczy.

Rozmowy stają się nieco żywsze, choć wybijają się ponad nie pojedyncze krzyki. Protestują kobiety, które nie chcą rozebrać się

w towarzystwie mężczyzn. To powtarza się za każdym razem, ale komendantura nie zwraca uwagi na moje propozycje wprowadzenia dodatkowego podziału ze względu na płeć. Najwyraźniej drobne zamieszanie na tym etapie selekcji jest dopuszczalne, więc również staram się nim nie przejmować. Żołnierze wydają kolejne polecenia i wreszcie sytuacja się uspokaja.

– Teraz wchodźcie dalej! Wszyscy do łaźni!

Unterscharführer podnosi głos. Widziałem go po raz pierwszy i jego zdenerwowanie jest zrozumiałe. Tym bardziej że to młody, nieco ponaddwudziestoletni chłopak. Musiał otrzymać odpowiednie wytyczne, jak postępować, i teraz z pewnością stara się niczemu nie uchybić.

– Zamknąć drzwi – wydaje rozkaz dwóm kapo. – Przygotowania do dezynfekcji zakończone.

Słyszę, jak wielkie drewniane wrota się zatrząskują. Dokładnie w tym samym momencie rozlega się chrzęst kół. Pod budynek podjeżdża niewielka furgonetka z malowaniami Czerwonego Krzyża. Macham do znajomego kapitana, który wysiada ze środka. Oficer odpowiada mi uśmiechem i wraz z towarzyszącym mu sanitariuszem wyciąga z pojazdu metalowe puszkę.

– Do roboty! – rzuca, dziarsko ruszając w moją stronę.

51.

Pomagam przesunąć betonowe płyty, które poruszają się po specjalnych prowadnicach. Ze zgrzytem wskakują we właściwe miejsca, zasłaniając otwory wentylacyjne. Kapitan i sanitariusz jednocześnie sięgają do zawieszonych przy pasach masek gazowych. Zakładają je, po czym robią otwory w wieczkach puszek wyciągniętych przed chwilą z furgonetki. Działają jak maszyny. Ich

ruchy są doskonale zsynchronizowane i automatyczne. Wykonywali te czynności tak wiele razy, że dosłownie weszły im w krew.

– Gotowy – oznajmia kapitan.

– Ja również – odpowiada sanitariusz. Ich głosy rezonują za maskami.

Odsuwam się, kiwając głową, że i ja jestem gotów. Z odległości kilku metrów nic mi nie grozi. Tym bardziej że obaj mężczyźni są na tyle doświadczeni, że nie pozwolą, aby gaz się ulotnił. Momentalnie wsypują do odsłoniętych otworów kulki cyjanowodoru. Słyszę, jak te objają się o blaszane rynienki i przemieszczają w dół, ku otworom w suficie pomieszczenia, w którym zgromadzili się więźniowie.

Kapitan i sanitariusz przesuwają betonowe bloki, po czym zdejmują maski. Uśmiechają się, zadowoleni z wykonanego zadania. Kapitan ociera zebrane na czole kropelki potu. Mimo że nie jest ciepło, maski, którymi dysponują, są starego typu i momentalnie robi się w nich gorąco. Wiem to, bo kilkakrotnie sam prosiłem o możliwość wsypania kulek z gazem do rynienek.

– Już – oznajmia sanitariusz.

– Tak... – Kapitan zerka na zegarek i bezgłośnie rozpoczyna odliczanie. – Trzydzieści minut i znów będzie po wszystkim.

W tym momencie kulki powinny wpadać do pomieszczenia, w którym tłoczy się ponad półtora tysiąca osób. Za chwilę gaz się uwolni i zacznie zbierać śmiertelne żniwo. Sprawdziłem wszystkie etapy tego procesu. W pierwszym momencie pojawiają się zawroty głowy oraz szum w uszach. Z sekundy na sekundę tętno więźniów przyspieszy i poczują duszności. Po kilku minutach najsłabsi zaczną tracić przytomność, a inni wymiotować. Wielu będzie się załatwiał pod siebie, nie kontrolując żadnych odruchów. Następnie zadziała instynkt przetrwania. Ci, którzy będą się trzymać na nogach, szybko pojmą, że im wyżej, tym stężenie gazu jest mniejsze. To niesamowite, że momentalnie odkrywają to nawet paralitycy oraz ułomni

umysłowo. Będą się wspinać po ciałach nieprzytomnych i umarłych. Będą trutować słabszych, nie zważając na ich wiek ani płeć. W obliczu śmierci w każdym odzywa się dzikie zwierzę. Nie ma dżentelmenów ani dam. Są tylko zwierzęta... Jednak nawet najsilniejszymi niebawem wstrząsną drgawki. Za kilka minut wszyscy będą martwi. Co do jednego. Z większości otworów ich ciał wypłyną krew oraz płyny ustrojowe.

Sprzątanie po gazowaniu nie jest łatwym zadaniem, ale ludzie z Sonderkommanda już są gotowi. Stoją kilkadziesiąt metrów dalej, czekając, aż dostaną znak.

Kapitan zerka na zegarek. Wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia, dokładnie w momencie, gdy zaczynają huczeć wentylatory. Wspólnie odsuwamy betonowe bloki i odchodzimy na bok.

– Szybko – nakazuję naczelnikowi Sonderkommanda. – Następni już czekają w kolejce. Mamy dziś mnóstwo pracy.

Mimo wszystko całkowicie zapomniałem o niedawnym zmęczeniu. Czuję gwałtowny przyływ energii.

52.

Rzadko to robię, ale czasem mam autentyczną ochotę wejść do podziemnego pomieszczenia chwilę po otwarciu drewnianych wrót. Ten moment wywołuje u mnie niezwykle pobudzenie. Sprawia, że czuję głęboką, niemal pierwotną ekscytację. Wielokrotnie zastanawiałem się nad jej źródłem, lecz nie potrafię jej do końca zrozumieć. Właściwie nie potrafię zrozumieć siebie. Być może to kwestia atawistycznego zafascynowania śmiercią, a może wrodzonej ciekawości wszystkim, co niezbadane. Tyle że to, co działo się w tym miejscu, jest mi doskonale znane. Znam naukowy aspekt każdej

sekundy konania tych ludzi. Oczywiście, wszelki przypadek należy rozważać oddzielnie, ale ogólny przebieg umierania jest taki sam.

Członkowie Sonderkommanda wchodzą do środka równym, miarowym krokiem. Maszerują, choć ich podbródki nie są dumnie wzniesione. Mają zwieszane głowy i markotne miny. Wykonują to, co muszą. Robią to tylko dlatego, że dzięki temu mogą przeżyć. Nie ma w tym żadnej idei. Nie ma w nich zaciekawienia ani fascynacji. Żyją, choć tak naprawdę już dawno umarli.

– Wracamy za pół godziny. – Kapitan macha mi na pożegnanie ręką i kieruje się do pojazdu Czerwonego Krzyża. Sanitariusz, niczym wierny pies, podąża za nim.

– Do zobaczenia – odpowiadam.

Odwracam się i schodzę po stopniach, którymi przed chwilą zeszli członkowie Sonderkommanda. Słyszę ich przyciszone głosy. Ktoś wymiotuje, ale nie robi nawet chwilowego przestoju w pracy. Wie, że jeśli chce przetrwać, musi być silny.

Czy to instynkt przetrwania, czy zezwierżenie? Ten problem etyczny poruszyłem kiedyś podczas debaty na uniwersytecie w Monachium. Nie doszliśmy do jednoznacznych wniosków. Moim zdaniem ludzie są zwierzętami, które same zamknęły się w klatkach. Mniejsza z tym.

Staję w wejściu do pomieszczenia, które wypełniają setki ciał. Mimo pracujących wentylatorów w powietrzu unosi się fetor śmierci – odchodów oraz wymiocin. Wyczuwalny jest również delikatny zapach migdałów, choć może to być jedynie złudzenie.

Cyganie z Sonderkommanda odkręcają specjalne kraniki i polewają zwłoki wodą z szlauchów. Po ich przepłukaniu oraz prowizorycznym zmyciu krwi i odchodów do kanałów odpływowych zabierają się do dalszej pracy. Podstawiają specjalne wózki, na które rzucają ciała. Inni przeciągają je po podłodze, jakby ciągnęli worki ziemniaków. Nie zważają na szorujące po podłożu nosy, czoła oraz podbródki. Operują

masami mięsa, które nie mają już nic wspólnego z ludźmi. Specjalnie wyznaczeni mężczyźni sprawdzają, czy zmarli nie mieli złotych zębów lub biżuterii. Wszystko odbywa się bardzo sprawnie. W ciągu kilku minut do wind towarowych trafia blisko setka zwłok, które transportowane są na górę.

O tak. Wybudowanie krematoriów bezpośrednio nad pomieszczeniami, w których odbywa się gazowanie, było doskonałym pomysłem. Pozwala zaoszczędzić mnóstwo czasu. A po raz kolejny nachodzi mnie ponura myśl, że mamy go zbyt mało... Musimy się śpieszyć.

53.

Równe dwadzieścia minut. Tyle trwa spalenie zwłok włożonych do pieca krematoryjnego. Nie da się tego procesu usprawnić ani przyspieszyć. Do komór upycha się jednocześnie trzy lub cztery ciała. Czasem dorzuca się jeszcze zwłoki małych dzieci. Zbytne obciążenie powoduje, że zawartość nie spopiela się właściwie. Wytapiające się tłuszcze zapychają przewody kominowe i powodują nadmierne zadymienie. Cóż... Pewnych rzeczy nie da się robić szybciej.

Z zegarkiem w ręku wyczekuję, aż umorusani, słaniający się na nogach członkowie komanda otworzą piec. Nie muszę tu być. Właściwie nie ma najmniejszej potrzeby. Mimo to lubię przyglądać się temu etapowi funkcjonowania obozu. Jest w nim pewna ostateczność. Teraz wszyscy mamy w płucach szczątki spopielonych ciał. Gryzący zapach roznosi się i zdaje się wnikać nawet w ubrania. Nie przeszkadza mi to.

– Panie doktorze...

Niski Żyd cicho odchrząkuje. Spuszcza wzrok, nie chcąc spojrzeć mi w oczy. Gestykułując, pokazuje, że prosi, abym się przesunął.

– Tak, oczywiście.

Nigdy nie jestem opryskliwy. Zawsze, nawet w obliczu tych bydląt, staram się trzymać fason. Dyscyplina to prawdziwa miara człowieczeństwa. Może nawet jedyna.

– Dziękuję.

– Róbcie, co do was należy.

Zważywszy na okoliczności, ta kurtuazyjna wymiana zdań może wydawać się absurdalna. Zapewne za taką uznałaby ją większość osób, z którymi koresponduję. Co z tego? Czy ich opinia w ogóle powinna mnie interesować? W końcu to ja mam instrumenty oraz materiał do tego, by opisać ludzkie odruchy w zetknięciu ze śmiercią. Z tysiącami, dziesiątkami tysięcy śmierci.

– Zaczekajcie.

Unoszę dłoń, dając znać, by członkowie komanda nie wyciągali specjalnej blachy z pieca. To na niej do środka wsuwane są zwłoki. W tym momencie pozostały z nich jedynie tłuste plamy, poskręcane, przypominające gumę kości oraz kilka zdrowych, zaskakująco białych zębów. To wszystko obróciłoby się w popiół, gdyby czas kremacji wydłużyć do trzydziestu minut. Jednak nie jest to warte tego czasu.

Kiwam głową, dając znać, by mężczyźni kontynuowali swoją pracę. Ich zadaniem będzie stłuczenie kości na proch i zebranie ich do specjalnych worków. Następnie prochy zostaną przewiezione nad Wisłę. Wprost z plandek trafią do rzeki. Tak jak trafiły do niej prochy kilkuset tysięcy ich poprzedników.

– Zwłoki wyjątkowo dziś cuchną – stwierdzam i kieruję się do wyjścia. – To chyba kwestia wilgotności powietrza.

Jestem zadowolony, że wszystko przebiega w należyтым porządku. Po powrocie do gabinetu postanawiam niezwłocznie napisać o tym raport.

54.

– Transport przewidziany na jutro nie dotrze – melduje Otto Klaus, jeden z wysłanników komendanta. – Polscy bandyci wysadzili fragment linii kolejowej, a skład ostrzelano. Przymusowy przestój potrwa co najmniej dwa dni.

Doskonale wiem, dlaczego zostaję o tym poinformowany. Ostatnio zdarza się to coraz częściej. Kolejne transporty nie docierają do obozu na czas, a zadania bieżące są wykonywane. Problem w tym, że piece krematoryjne nie mogą się wyziębic. Ich ponowne rozgrzanie do właściwej temperatury byłoby zbędnym wydatkiem. Poza tym zajęłoby mnóstwo czasu.

– Kiedy mam się tym zająć? – pytam oględnie.

Klaus oczywiście ma gotową odpowiedź.

– Jeszcze dziś wieczorem – rzuca natychmiast.

– Ilu?

– Dwustu.

Kiwam głową i wstaję od biurka. Sięgam po leżące na skraju blatu rękawiczki. Powoli je zakładam, po czym ponownie zerkam na Klause.

– Dobrze. Ale to chwilę potrwa.

– Wszystko jest przygotowane. Krematoria oddano do pańskiej dyspozycji.

No tak. Komendantura chce mieć spokojną noc, dlatego wszystko zostaje zrzucone na moje barki. Wiedzą, że wywiążę się z zadania bez zarzutu. W sumie cieszy mnie to. Nienawidzę nudy, a po spisaniu raportów nie miałem żadnych planów. Zamierzałem przejrzeć zapiski z eksperymentów przeprowadzonych na bliźniętach, lecz przecież znam je na pamięć.

– Dziękuję, możecie odejść – oznajmiam. – Wszystko zostanie wykonane niezwłocznie.

- Potrzebuje pan jakichś ludzi?
- Wezmę swoich.

Jakiś czas temu przeznaczono do mojej dyspozycji kilku strażników. Regularnie robię z nich użytek właśnie w takich sytuacjach. Jeśli intensywność ataków partyzantów się utrzyma, niedługo więcej osób będziemy eliminować spośród więźniów osadzonych w obozie niż nowo przybyłych. Ma to również dobre strony. Wciąż mamy istotne przeludnienie, które sprzyja rozwojowi rozmaitych chorób. Tylko dzięki żelaznej dyscyplinie i regularnej dezynfekcji powstrzymałem wybuch kolejnych epidemii. Jednak to właśnie depopulacja jest na nie najlepszym środkiem zaradczym.

Klaus zamyka za sobą drzwi, a ja jeszcze chwilę spoglądam w nie pustym wzrokiem. Każda śmierć to strata obiektu badań. Ale przecież na zwłokach również można przeprowadzać eksperymenty.

Ta ostatnia myśl wprawia mnie w lepszy humor. Zarzucam kurtkę mundurową, starannie zapinam guziki i natychmiast wychodzę. Radośnie nuce swoją ulubioną arię z Rigoletta Verdiego. To piękna muzyka.

55.

- Proszę wyznaczyć dziesięć osób z tego baraku.

Kapo spogląda na mnie zmęczonymi, zaczerwienionymi oczami. Ma około czterdziestu lat, zapadnięte policzki, cienkie usta i wystające kości policzkowe. Jest nienaturalnie przygarbiony, co może być oznaką stanu chorobowego. Mógłbym go zbadać, ale nie mam teraz na to czasu.

- Czy chodzi o jakieś konkretne osoby? – pyta, wbijając wzrok w ziemię.
- Nie. Wybierzcie, kogo uważacie.

– Tak jest.

Odwracam się i kieruję do wyjścia. Naciągam rękaw munduru, który nieopatrznie mi się zawinął. Gdy stoję w progu, słyszę za sobą głos kapo:

– Panie doktorze...

Zatrzymuję się, ale nie odwracam.

– Tak? – pytam łagodnie. – Słucham.

– Czy nie moglibyśmy z tego baraku wziąć kilku osób mniej? – skamle. – Wszyscy są zdrowi i młodzi. Przydadzą się do pracy, poza tym...

Ucinam jego wywód machnięciem ręki. Naszej rozmowie, prowadzonej normalnym tonem, przysłuchuje się w milczeniu kilkadziesiąt osób. Aby zapobiec zamieszaniu, przyprowadziłem ze sobą dwóch strażników. To oni sprawiają, że poza kapo nikt nie protestuje. Słyszę jednak szmer przyspieszonych oddechów oraz zdaje mi się, że echo wręcz niesie łomot serc.

– Dwanaście – oznajmiam.

– Co takiego?

– Z tego baraku proszę wyznaczyć dwanaście osób.

– Ale...

– Czternaście. – Odwracam się i spoglądam prosto w oczy kapo. Ten jeszcze mocniej spuszcza głowę. Jego łysina lśni w świetle wpadającym przez otwarte drzwi. Owiewa mnie przyjemny przeciąg, który nieco rozpędza panujący w środku zaduch. – Coś jeszcze?

– Nie. Wszystko rozumiem.

Uśmiecham się i wychodzę na zewnątrz. Głęboko wciągam świeże powietrze. Strażnicy podążają krok w krok za mną.

– Doskonale – rzucam, kierując się do kolejnego baraku. – Cała grupa ma stawić się na placu apelowym za kwadrans. Dopilnujcie, aby było to dokładnie czternaście osób.

– Tak jest.

Nie zatrzymuję się. Nie interesuje mnie, czy w barakach przebywają zdrowi, czy chorzy. Inspekcję przeprowadzam osobiście, aby upewnić się, że nie przegapiłem nikogo ciekawego. Więźniowie trafiający do obozu często starają się ukryć, że mają bliźniacze rodzeństwo. Szkoda byłoby stracić tak interesujący materiał do badań. Musimy działać starannie.

– Otwierać – rzucam, zbliżając się do kolejnych drzwi. – Potrzebujemy dziesięciorga chętnych.

Wchodzę do środka z szerokim uśmiechem.

56.

– Piece już podtrzymały temperaturę. Możemy wstrzymać egzekucje...

– Możemy czy powinniśmy?

– Powinniśmy. Osiągamy już szczyt wydolności jak na kilkanaście godzin pracy. Wentylatory w pomieszczeniu gazowym również się przegrzewają.

Spoglądam na członka Sonderkommanda i marszczę brwi. Dlaczego mówi mi o tym w taki sposób? Czy chce zachować przy życiu więcej osób, czy raczej pragnie uratować bliskich? Musi mieć w tym jakiś interes. Jak dla niego piece krematoryjne mogłyby przestać działać całkowicie. Mogłyby się rozpaść lub zniszczyć. Tak, z pewnością nie chodzi o dbałość o podtrzymanie paleniska.

– Dobrze – rzucam, zerkając na dymiące w oddali kominy. – Niech tak będzie.

– Czy mogę zwolnić Aschenkommando?[12]

– Tak.

Na szarej twarzy tego dwudziestokilkulatka widzę ulgę. A więc miałem rację. Oczywiście, wszystko jak zwykle sprowadza się do

własnych interesów.

– Co z więźniami oczekującymi w kolejce? – dopytuje mężczyzna. – Czy kazać im wrócić do baraków?

Przez kilka sekund milczę. Przeciagam ciszę, delektując się niepewnością więźnia. Widzę, że jego dłonie zaczynają drżeć, a na skroniach zbiera się pot. Wreszcie pierwsze kropelki ściekają po policzkach pokrytych ciemnymi punkcikami zarostu.

– Nie – oznajmiam nagle.

– To znaczy? – Jego głos drży. Przesłupuje z nogi na nogę. – Co mam z nimi zrobić?

– Skoro musimy oszczędzać wentylatory, rozstrzelamy ich.

– Panie doktorze...

Pochyliłam głowę i wkładam dłonie do kieszeni. Mężczyzna nie mówi nic więcej. Wyprostowuje się, stając na baczność. On nie zamierza ze mną polemizować. Odwracam się do towarzyszącego mi strażnika i gestem nakazuję, by podał mi listę. Zerkam w kartkę, po czym szybko przeliczam pozostałe osoby. Numery.

– Zostało trzydzieści sześć pozycji – stwierdzam. – Załatwcie to za jednym razem.

– Czy ciała mamy spopielić?

– Tak. Następnie zakręćcie piece. Mogą pozostać rozgrzane do jutra. Mam nadzieję, że kolejne transporty dotrą już bez opóźnień, a jeśli nie...

Nie mówię, co będzie w przeciwnym razie. Wszyscy o tym doskonale wiedzą. W pewnym stopniu przekroczyłem swoje uprawnienia, ale nikt z dowództwa obozu nie będzie miał mi tego za złe. Właściwie przysługuję się zwiększeniu wydajności. Mimo zaleceń Himmlera wynajdowanie więźniom bezsensownych prac jest absurdem. Nikt nie ma co do tego wątpliwości.

Działam w słusznej sprawie. Żałuję jedynie, że wciąż nie natrafiłem na interesujący materiał do badań. Muszę szukać go dalej. Wiem, że

stało się to moim nowym natręctwem.

57.

Wraz z profesorem Claubergiem obchodzę baraki, w których stłoczeni są Romowie oraz kilkuset Żydów. Ostatnie selekcje doprowadziły do zamieszania i błędnego zakwaterowania części przybyłych. Właściwie wydaje mi się, że komendantura przestaje dbać o porządek. Niewiele osób interesuje genetyczne rozróżnienie ras oraz usprawnienie badań dzięki ścisłemu podziałowi zakwalifikowanych do nich osób.

– Romowie mają wiele żydowskich cech, choć najprawdopodobniej przybyli ze wschodnich Indii – tłumaczę, a profesor wymownie wydyma usta. Przyjechał do Auschwitz tylko po to, by się ze mną spotkać. Mieliśmy wymienić się rezultatami ostatnich badań, ale rozmowa przybrała całkowicie kurtuazyjny ton. – To ciekawe, że na pewnym poziomie mają wiele wspólnego z Aryjczykami, choć jednocześnie prardzeń ich pochodzenia zahacza o ludy semickie.

– Zgodnie z doktryną partii mają ten sam status co Żydzi. Uważa pan, że niesłusznie?

– Należy działać pragmatycznie.

Moja oględna odpowiedź wynika z przeświadczenia, że Claubergowi nie mogę do końca ufać. To bardzo inteligentny naukowiec o mnóstwie pomysłów, jednak zbyt mocno zafiksowany na punkcie doktryny narodowosocjalistycznej. Zapomina, że doktryna powinna zostać oparta na badaniach, a nie na odwrót. To my – jako ludzie nauki – musimy tworzyć ramy systemu.

– Co ma pan na myśli, mówiąc o pragmatyce? – dopytuje. – Proszę uściślić.

– Chodzi mi jedynie o pewne ułatwienie interpretacji. Na przykład pańskie badania... Łatwiej je przeprowadzać, gdy Żydzi oraz

Romowie mają ten sam status. Wówczas dostęp do materiału ludzkiego jest znacznie szerszy. – Uśmiecham się i wzruszam ramionami. – To właśnie pragmatyka.

– Ma pan całkowitą rację, doktorze Mengele. Racjonalne wytłumaczenie w służbie ludzkości, prawda?

Mimo całej sympatii do Clauberga irytuje mnie jego nieco pompatyczny, zadufany ton. Czasem odzywa się w nim instynkt wykładowcy, który przepytuje studenta i ocenia każde jego słowo. Na to jestem zdecydowanie zbyt stary, a do tego osiągnąłem stanowczo za dużo. To Clauberg mógłby robić za mojego podopiecznego i asystenta. Ta myśl nagle wprawia mnie w gorszy nastrój. Mimo to nie daję tego po sobie poznać.

Zerkam w stronę przestrzeni między barakami, na której zebrało się kilkudziesięciu więźniów. To sami mężczyźni. Mają czas wolny i obróceniu na wschód słuchają przemowy pochylonego starca, który ukradkiem zarzucił na głowę skraj podartej koszuli. Widząc mój wzrok, natychmiast go ściąga i się odwraca. Stojący kilka metrów dalej wychudzony dryblas trzyma coś przypominającego wyciętego z kartonu koguta. Mrużę oczy, usiłując dojrzeć lepiej. Tak, to na pewno papier mający imitować koguta.

Robię kilka kroków w stronę zgromadzenia. Nie wiem, czy Clauberg podąża za mną, ale przestaję się nim interesować. Przywołuję machnięciem dłoni więźniarkę, która stara się za wszelką cenę zniknąć mi z oczu. Jest niska i ma bardzo ostre rysy. Dosłownie jakby wyciosano ją z niezbyt podatnego na obróbkę kamienia.

– Co oni robią? – pytam, wskazując ruchem podbródka w stronę zebranych.

Więźniarka splata ręce i zerka na mężczyzn. Przez chwilę się waha, lecz zaraz odzywa się przyciszonym, dźwięcznym głosem.

– Przygotowują się do Jom Kippur.

– Jom Kippur... – powtarzam po niej. – No tak. Kiedy dokładnie będziecie świętować?

– Jutro, panie doktorze.

– Jutro. Bardzo dobrze. Możecie odejść.

Odwracam się i dołączam do Clauberga, który czeka na głównej ścieżce.

– Jutro Jom Kippur – przekazuję mu wiadomość. – Mamy okazję do świętowania.

58.

– To dobra wysokość? – pytam Wirthsa. – Jak pan sądzi?

– Zależy, co zamierzamy osiągnąć.

– Wymierną próbkę. Niech pan to sobie interpretuje, jak tylko uważa. W końcu dziś święto Jom Kippur, wiedział pan o tym?

Oczy Wirthsa błyskają. Kiwa głową, a kąciki jego ust unoszą się w uśmiechu. Wiedzie wzrokiem po niewielkim boisku wyznaczonym do gry w piłkę nożną, po czym zatrzymuje spojrzenie na drewnianym słupku bramki. Nakreśliłem na nim nożem nacięcie. Dokładnie na wysokości stu czterdziestu centymetrów.

– W porządku – stwierdza entuzjastycznie. – Niech zostanie.

Obaj spoglądamy na stojącego w pobliżu Obersturmbannführera oraz jego adiutantów. Obozowa wierchuszka również chce świętować. Wokół zebrało się kilkudziesięciu najważniejszych dygnitarzy obozu. Przed wejściem na boisko stoi natomiast blisko stuosobowa grupa żydowskich i cygańskich chłopców.

– No dobrze, zaczynajmy!

Zacieram ręce i czując gwałtowny przypływ dziecięcej energii, owiązuję konopny sznurek wokół słupka. Następnie przeciągam go równoległe do ziemi, tak że stanowi on obniżoną poprzeczkę bramki.

– Doskonale – stwierdzam, oglądając rezultat swojej pracy. – Dokładnie o to chodziło.

– Teraz rozegramy mecz? – Wirths, śmiejąc się, zaciera dłonie.

– A czemu by nie? Choć my dołączymy do kibiców na trybunach.

Zachowujemy się jak małe dzieci, ale przecież czasem każdemu potrzeba rozrywki. Właściwie na tym polegają wszystkie święta. Kultury i cywilizacje wypracowały rytuały świąteczne tylko po to, by zachować właściwe zdrowie psychiczne. Często wiązały się z nim również fizyczność oraz higiena. Wystarczy pomyśleć o ablucjach i wstrzeźliwości seksualnej. Kontrola rozrodczości również mogła być funkcją, którą pełniły religie. Nie na odwrót.

– Ustawić się w szeregu – obwieszczam, wyciągając rewolwer. Niczym sędzia olimpijski unoszę go w górę, by dać sygnał do rozpoczęcia biegu. Ale przecież żadnego biegu nie będzie. – Macie maszerować pod sznurkiem.

– Dzielimy was na dwie drużyny – wyjaśnia Wirths.

– Ci, którzy dostaną głowę do sznurka, mają iść na prawo, a reszta na lewo.

Dzieciaki bez szemrania wykonują polecenie. Zwarta kolumna przemaszerowuje pod bramką niczym wojsko pod łukiem tryumfalnym. Niektórzy się uśmiechają, traktując to jako autentyczną zabawę. W dzieciach tkwią nieprzebrane pokłady optymizmu.

– Świetnie, świetnie – zachęcam ich podekscytowanym głosem. Chowam pistolet do kabury, co jeszcze poprawia ogólne humory. Kilku chłopców śmieje się na głos. – Szybciej, moi drodzy!

Po niespełna trzech minutach podział zostaje dokonany. Na prawo stoi około dwudziestu najmłodszych dzieci, a naprzeciw nich jest cała reszta.

– Z okazji Jom Kippur więźniowie sami dokonali selekcji! – obwieszczam w stronę zebranej wierchuszki. – Czas otwierać

szampany.

Mimo że do obozu nie dotarł kolejny transport, piece krematoryjne otrzymają dodatkową porcję opału. A z każdej czynności, nawet z automatyzmu selekcji, należy czerpać przyjemność. Przecież po to właśnie są święta.

59.

– Nasi cofają się na całym froncie – Clauberg zniża głos. Choć znajdujemy się w moim gabinecie, stara się zachować dyskrecję. A może tylko mnie próbuje?

– To zorganizowany odwrót – protestuję. – Muszą się przegrupować, aby ponownie przejąć inicjatywę.

– Być może.

Clauberg robi wymowną pauzę i popija łyk czerwonego wina. Obraca kieliszek w dłoni, po czym spogląda w niego pod światło. Ma poważną twarz, a jego oczy są zmęczone. Szare cienie rozlewają się pod nimi, sięgając linii ust. Profesor cicho pociąga nosem i odkasłuje. Zachowuje się jak człowiek, który coś wie. Jak ktoś, kto skrywa sekret tak ciężki, że nie potrafi go utrzymać.

Poufale pochylam się w jego stronę. Spoglądam mu prosto w oczy i przygryzam wargę. Przez chwilę mierzymy się spojrzeniami. W obozie niemal całkowicie od tego odwykłem. To niezwykle móc obserwować pracę czyichś źrenic, które nie są rozszerzone pod wpływem strachu. A może właśnie tak jest? Profesor odwraca spojrzenie w stronę podręcznej biblioteczki.

– Proszę mówić – zachęcam go. – Jeśli chce pan coś powiedzieć, profesorze, może mieć pan całkowitą pewność mojej dyskrecji.

– To nigdy nie budziło moich wątpliwości.

– Więc?

Clauberg cicho wzdycha. Podnosi się z fotela i odstawia kieliszek na brzozy stolik. Robi kilka kroków ku biblioteczce, po czym wyciąga jedną z książek. To fragmenty dziennika Alexandra von Humboldta. Swego czasu pilnie je studiowałem, ale z perspektywy lat uważam, że to przede wszystkim literatura beletrystyczna, a nie naukowa. Większość koncepcji Humboldta się nie sprawdziła. Nie przeszły próby czasu.

– Panie profesorze – zachęcam Clauberga. – Czy chciałby pan pożyczyć tę pozycję?

– Nie.

– A jednak pana zafascynowała? Nie czytał jej pan?

Clauberg zamyka książkę i odkłada ją na miejsce. Gwałtownie się do mnie odwraca. Ma ściągnięte brwi, a jego oczy rzucają gniewne spojrzenia. Wkłada dłonie do kieszeni i lekko się pochyla.

– To pierwsze złe wieści z frontu – oznajmia. – Do tej pory donoszono o samych sukcesach.

– Przegrupowanie się nie jest równoznaczne z odwrotem lub wycofaniem.

– Należy czytać między wierszami. – Profesor sięga dłonią ku głowie i teatralnie stuka się palcem w czoło. – Żołnierze niemieccy nie powinni się cofać. Nigdy. Już mamy nauczkę z osiemnastego roku, gdy zrobili ledwie kilka kroków w tył, wciąż trzymając w rękach kawał Europy, a... Zresztą, to bez znaczenia.

Wstaję i podchodzę do okna. Zerkam na podwórze skąpane w ostatnich promieniach słońca. Energicznie zaciągam story, po czym splatam ręce na piersi.

– Nie interesuje mnie sytuacja na froncie – stwierdzam. – Przynajmniej nie w takim sensie, jak pana. Jedyne, co...

Zawieszam głos, choć czuję, że wyrażę naszą wspólną obawę. Nagle zdaje mi się, że całkowicie rozumiem powód przygnębienia profesora.

Powaga argumentów momentalnie mnie przytłacza. Potrzebowałem zamienić z nim tych kilka zdań, aby pojąć sytuację.

– Musimy mieć dość czasu... – szepczę. – Nasi chłopcy muszą walczyć tak długo, abyśmy mieli wystarczająco dużo czasu, by zakończyć eksperymenty. Nie mogą przegrać, nim ich nie skończymy!

60.

Obawy Clauberga wydaje się potwierdzać panująca od kilku dni w obozie nerwowość. Dostrzega się ją nie tylko w komendanturze, ale również wśród więźniów. To siła plotek. Pojedyncze informacje mogły dostać się wraz z ostatnim transportem, a następnie z ust do ust wyolbrzymiono je i przekrecono. Właściwie staram się nie przejmować. Po likwidacji obozu cygańskiego liczba moich pacjentów istotnie spadła. Jedyne sens odnajduję w selekcjach.

Osiemset. Dokładnie tyle osób mam przefiltrować w ciągu najbliższych godzin. Na biurku przede mną piętrzą się stosy dokumentacji medycznych. Pisarka obozowa odkłada podawane przeze mnie koperty i ewentualnie wpisuje do specjalnej księgi numery wskazanych przeze mnie więźniów.

– Ile mamy pozycji? – pytam, ocierając wilgotną chusteczką spierzchnięte usta.

– Sto siedemdziesiąt dwie.

– Mhm.

Do głowy przychodzi mi temat z Cyrulika sewilskiego. Zaczynam go nucić, wymachując palcem w rytm muzyki. Siedząca obok mnie kobieta momentami go podłapuje. Uśmiecha się, strzyże oczami i również pomrukuje.

– Gdyby ktoś teraz wszedł! – śmieję się. – Taką pracę to ja rozumiem. Muzyka łagodzi obyczaje!

– Zgadzą się, panie doktorze.

Po jej tonie od razu rozumiem, że nasze chwilowe rozluźnienie zawdzięczam jedynie strachowi, który wzbudzam. Ta kobieta z pewnością nie czuje muzyki. Może nawet nigdy nie słyszała Rossiniego. Chciałbym ją o to zapytać, lecz czeka nas zbyt wiele pracy.

– Sto siedemdziesiąt dwie... – Wzdycham. – Wobec tego zostało jeszcze sześćset dwadzieścia osiem. Musimy się pośpieszyć.

Sięgam po kolejne teczki i rzucam okiem na pierwsze strony kart chorobowych. Niektórych z nich nawet nie czytam. Przeglądam je, przerzucam, a potem wybieram następne. Zerkam na nazwiska, czasem na imiona. Większość kart nie zawiera wzmianek o żadnych chorobach. Rzadko kiedy cokolwiek wzbudza moje zainteresowanie.

Dyktuję kolejne numery, całkowicie loteryjnie. Decyduję o wysłaniu do gazu dziesiątek i setek osób, choć kieruje tym tylko przypadek. Wpadam w trans. Przerzucam teczki, nucąc Rossiniego, Verdiego, a wreszcie Wagnera. Choć wciąż powtarzam, że nie przepadam za jego muzyką, zawsze ku niej zmierzam. Pojedyncze fragmenty przyciągają mnie niczym magnes.

– Mamy już osiemset – oznajmia pisarka. Na podłodze całego pomieszczenia piętrzą się stosy dokumentów. To widok napawający mnie satysfakcją.

– Odwaliliśmy kawał dobrej roboty – stwierdzam.

Podciągam rękaw i zerkam na zegarek. Longines подарowany mi lata temu przez ojca pokazuje, że ledwie minęła czwarta.

– Mamy jeszcze czas. Może dojdziemy do dziewięciuset – proponuję.
– Ma pani dość siły? To będzie zadatek na poczet kolejnego dnia.

Kobieta spogląda na mnie niepewnie, ale nie protestuje. Liczyłem na choćby odrobinę sprzeciwu. Cóż...

– Mam pomysł – oznajmiam z uśmiechem. – Kolejną setkę pani wybierze osobiście. Co pani na to? Nikt się o tym nie dowie.

Oczywiście mi nie odmawia, choć w jej oczach dostrzegam rezygnację i odrazę. Właśnie skazała na śmierć nie tylko kolejnych ludzi, ale również część swojej duszy. Gdybym wierzył w siłę poezji, uznałbym tę myśl za wyjątkowo zabawną. Z pewnością zabawna za to jest jej mina. Uśmiecham się.

Uśmiechamy się do siebie.

61.

Wychodzę naprzeciw Irene. Adiutant poinformował mnie, że moja żona jest już na terenie obozu. Rzeczywiście po chwili dostrzegam ją wśród kilku kobiet otoczonych przez oficerów. Zapewne przezorny duch kazał jej przyjechać z innymi partnerkami tutejszych funkcjonariuszy. Wspólna podróż to wygoda i bezpieczeństwo. Poza tym można zachować pozory. Pozory czego? Sam nie wiem, lecz czuję, że Irene wcale nie chciała tu się pojawić. Wzbraniała się przed tym przez wiele miesięcy.

– Kochanie. – Uśmiecham się do niej i podaję jej ramię. Mój adiutant natychmiast odbiera od niej torbę podróżną. – Jesteś bardzo zmęczona?

– Nie, właściwie wcale...

– Podróż przebiegała bez problemów?

Kiwa głową. Oto konwenanse i wzajemna gra. Po kilku miesiącach romantycznych znajomości, a już na pewno po małżeństwie, prowadzą ją wszyscy. Działamy w oparciu o lodowatą kalkulację konieczności rozmnażania i zachowania gatunku. Nie towarzyszy temu nic więcej. Niektórzy starają się to wytłumaczyć albo odgrywają teatr, ale to bezsensowne.

Nasza gra pozorów polega na czymś zupełnie innym. Irene nigdy tego nie powiedziała, ale wiem, że nie podoba się jej, że pracuję

w obozie. Być może docierają do niej jakieś pogłoski o tym, co dzieje się w miejscach takich jak to. Nie, nie. Nie myśl, że chodzi o los więźniów i te wszystkie kominy. Plotki dotyczą opilstwa oraz organizowanych masowo orgii. To się zdarza, lecz mnie nie interesuje.

– Jak długo zostaniesz? – pytam, wprowadzając żonę do pokoju. – Rozgość się, proszę.

– Dwa dni. Potem muszę wyjechać.

– Tak szybko?

Wzrusza ramionami. Na jej twarzy nie ma już maski ze sztucznym uśmiechem. Jest całkowicie poważna i niemal posągowo smutna.

– Wiesz, że bardzo potrzebują mnie w firmie.

Nie jestem o tym przekonany, ale nie zamierzam polemizować. Właściwie nie obchodzi mnie to. Ważne, by interesy ojca szły na tyle dobrze, bym nie musiał się nim martwić. Poza tym mogą robić, co chcą.

– Rozbieraj się – rzucam, wskazując ruchem głowy w stronę łóżka. – Ja również mam niewiele czasu.

Rozpinam guziki munduru, myśląc o czekających na mnie zadaniach. Człowiek pozostawia swoją spuściznę, nie tylko rozmnażając się. Dla mnie równie ważna jest pamięć o tym, czego dokonałem. Pamięć o mnie.

62.

W piśmie nadesłanym z Berlina przez ministerstwo w oględny sposób informowano mnie, że mogę działać całkowicie na własną rękę. Jego pełne odpisy miały trafić do komendantury oraz Wirthsa. Poczucie wolności sprawia, że mam wyjątkowo dobry humor. Dokonując selekcji najnowszego transportu, dyryguję w takt muzyki, która

rozbrzmiewa mi w głowie. To Puccini? Nie. Chyba nie. Może Bizet? Nie, nie... Nieważne.

Spoglądam na kolejne osoby i unosząc dłonie, obracam palce w lewo lub w prawo. Raz, dwa, raz, dwa, trzy. Na prawo, na lewo, na lewo, na prawo. To wyjątkowo kiepski sort więźniów. W większości starcy oraz kalecy. Cienie ludzi, które ledwie trzymają się na nogach. Przywieziono ich gdzieś ze wschodu, z rejonu zagrożonego operacją Armii Czerwonej. Auschwitz i Birkenau, w związku z ewakuacją tamtejszych obozów, stają się coraz bardziej przeludnione. Od kilku dni krematoria pracują niemal bez przerwy. Członkowie Aschenkommando mdleją ze zmęczenia i trzeba ich bez przerwy zamieniać. Dodatkowo naprawa jednego z palenisk przeciąga się, co prawdopodobnie wynika z umyślnego opóźniania prac przez więźniów. Wykonano egzekucje na siedmiu specjalistach mających niezwłocznie usunąć usterki. Potem powieszono siedmiu kolejnych...

– Na lewo, na prawo, na lewo, na lewo, na lewo!

Nagle coś przykuwa moją uwagę. Dostrzegam dwoje dzieci o identycznych twarzach i podartych, futrzanych płaszczykach. Kiedyś musiały być sporo warte. Teraz pełne są dziur oraz przetarć.

– Stać!

Chłopcy mają cztery, może pięć lat. Obok nich stoi wysoka kobieta o wydatnym czole i szpiczastym nosie. Jej synowie odziedziczyli po niej te cechy.

– Bliźniacy? – pytam, wskazując na nich palcem.

Kobieta nieśmiało kiwa głową.

– Martel i Szymon... – Kiedy wymawia ich imiona, jej głos drży. – To dzieci... Dobre dzieci.

– Z pewnością.

Chłopcy wbijają we mnie spojrzenia ciemnych, bystrych oczu. Nie wiedzą, że to stanowczo zabronione. Jednak nie zwracam im uwagi.

Staram się dostrzec jakiegokolwiek różnice, ale bliźniacy zdają się identyczni. Muszę ich przebadać.

Nagle jeden z chłopców zaczyna kasłać. Zakrywa usta dłonią zaciśniętą w pięść i spuszcza głowę.

– Chory? – pytam jego matkę.

– Od wczoraj kaszle – odpowiada kobieta. – Tylko kaszle...

Obawia się, że choroba przekreśli ich szanse na właściwą kwalifikację. Pewnie już wie o podstawowej metodyce decydującej o trafieniu, bądź nie, do krematorium. Jednak to jest teraz nieistotne. Wsłuchuję się w suchy kaszel oraz ciche rżenie. Podchodzę do chłopca i kucam.

– Jak się masz?

Malec nie rozumie niemieckiego. Spogląda na mnie ufnie i wyciąga rączki. Chce, żebym go przytulił. Robię to, przytykając głowę do jego piersi. Chłopiec znów pokasłuje, a ja wyraźnie słyszę szmery.

– Zapalenie płuc... – szepczę do siebie. – Być może...

Podnoszę się i spoglądam na matkę bliźniaków. Zapewne bez niej będą płakać. Nie potrzebuję zbędnego zamieszania.

Odwracam się do towarzyszącego mi strażnika oraz stojącego nieco dalej pisarza obozowego.

– Odeślijcie ich do szpitala – rzucam. – Całą trójkę. Chcę ich zbadać jeszcze dzisiaj.

Wcześniej muszę jedynie przefiltrować około dwóch tysięcy przybyłych. Choć ciekawość jest tak mocna, że mógłbym do tego wyznaczyć kogoś innego. Może jednego z więźniów? Zawsze intrygujące jest obserwowanie Żyda wysyłającego na śmierć swoich pobratymców. Niektórzy bywają w tym wręcz nadgorliwi... Nadgorliwość to cecha ich rasy.

– Proszę powiedzieć, żeby nie płakali. Nie znoszę płaczących dzieci.

Matka chłopców rzuca kilka krótkich zdań. Najpierw uspokaja się jeden z nich, potem drugi. Odruchowo odnotowuję tę drobną różnicę. Na pewnym poziomie, poza cechami fizycznymi, należy dostrzec rozróżnienie psychiczne bliźniąt. Jego zbadanie wydaje się co najmniej równie ciekawe. Jednak zawsze problematyczne jest ustalenie genezy.

– Przejdźmy do ankiet. – Sięgam po trzystronicowy formularz, który opracowywałem przez ostatnie miesiące. – To potrwa maksymalnie kwadrans.

Chłopcy są unieruchomieni na łózkach za pomocą skórzanych pasów, ale już nie płaczą. Matka przeniosła ich uwagę na łopatę kręcącego się pod sufitem wentylatora.

– Pani będzie tłumaczyła – odzywam się do niej. – Jeśli czegoś pani nie zrozumie, proszę dopytywać. Bardzo ważna jest precyzja.

– Oczywiście.

– Chłopcy mają odpowiadać jeden po drugim, na zmianę – ciągnę. – Jeśli dostrzeże pani jakieś rozbieżności z rzeczywistością lub będzie pani umiała odpowiedzieć za nich, proszę to zrobić.

– Tak jest.

– Wobec tego możemy zaczynać.

– Ale...

Matka spogląda na pasy i wymownie przenosi na mnie wzrok. Po chwili pokornie go spuszcza.

– Niestety. To konieczne zabezpieczenie na przyszłość. Być może będę chciał ich zbadać...

– Rozumiem.

– Świetnie. – Uśmiecham się pokrzepiająco. – Wobec tego nie traćmy już czasu. Ach, jeszcze jedno! Proszę nie próbować zmieniać odpowiedzi synów... Jeśli wyczuję kłamstwo...

– Tak jest, panie doktorze.

– Bardzo dobrze.

Odchrząkuję i przeglądam kartki. Czytam kolejne pytania, a kobieta powoli, pieczołowicie je tłumaczy. Następnie z równą dbałością stara się odtworzyć odpowiedzi bliźniaków. Nie mam wątpliwości, że robi to najlepiej, jak potrafi. Wystarczającą motywację stanowią pasy oraz obecność uzbrojonego strażnika przy drzwiach.

Powoli brniemy przez kolejne z dziewięćdziesięciu pięciu pytań. Dotyczą one przebytych chorób, najistotniejszych wydarzeń z dotychczasowego życia chłopców, ich rozwoju, momentu, w którym zaczęli mówić, utrzymywać kontakt wzrokowy i tak dalej... Ostatnio dodałem również kilka zagadnień związanych z psychiką badanych bliźniąt. W przyszłości zamierzam rozszerzyć badanie o matki. Dzięki temu wyniki zyskałyby kolejny wymiar. Znam kilku antropologów, którzy zgłębiają zagadnienie wychowywania potomstwa oraz jego wpływu na zdrowie. Sam nie mam niestety dość czasu, aby wdrożyć odpowiednie badania porównawcze. Choć może przyjdzie pora i na to...

Nagle jeden z chłopców zaczyna kaszleć. Nie potrafi się opanować, a pasy go zanadto krępują. Nie może przesłonić ust. Matka chce mu pomóc, lecz powstrzymuję ją wymownym spojrzeniem. Zamiera w pół ruchu, choć ma otwarte usta i zaczyna drżeć. Drugi chłopiec z troską zerka na brata, który niemal się dusi.

– Jestem lekarzem – rzucam mimochodem. – Proszę się nie bać.

Do nagiej piersi kaszłącego przykładam stetoskop. Powoli osłuchuję malca, a jego oddech się uspokaja. Napad kaszlu powoli ustępuje. Pozostała po nim jedynie gęsta ślina na ustach chłopca oraz zaczerwienione oczy. Malec wbija we mnie przestraszone spojrzenie. Kręci głową, dając do zrozumienia, że nie chce odpowiadać na dalsze pytania. Mówi coś do matki, a ta boi się odezwać. Milczy, nieśmiało ukradkiem na mnie zerkając.

– Czy jego brat nie zdradza żadnych symptomów choroby? – pytam rzeczowo. Odkładam ankiety oraz stetoskop. – Kiedy zaczął się kaszel?

Kobieta przez chwilę się zastanawia. Najwidoczniej chce odpowiadać jak najbardziej zgodnie z prawdą. Obawia się pomylić. Wyginając palce, odlicza kolejne dni, które spędzili w ciemnym, dusznym wagonie. Chłopiec kaszle od dwóch i pół doby, choć na początku było to bardzo sporadyczne. Natomiast jego brat nie wykazuje żadnych objawów choroby.

– To interesujące – mamroczę do siebie.

Bliźniacy byli wychowywani w identycznych warunkach, a przez ostatnie miesiące niemal się nie rozdzielali. Cała trójka spędziła je w dwóch obozach, w których otrzymywali takie same racje żywnościowe. Nie jest możliwe, aby jeden z braci podbierał je drugiemu. Spali w jednym łóżku i mieli identyczne ubrania. Wobec tego dlaczego tylko jeden zachorował? Temperatura ich ciał różni się o siedem dziesiątych stopnia, waga o siedemdziesiąt osiem gramów, a wzrost zaledwie o dwa milimetry. Po raz trzeci czy czwarty zerkam w wypełnione formularze. A jeżeli ten drugi również jest chory? Może dzięki nim jest szansa odnalezienia sposobu wykrywania zapalenia płuc, nim da ono jakiegokolwiek objawy?

Muszę to sprawdzić. Taka szansa może się już nigdy nie powtórzyć.

64.

Strażnik robi ruch w moją stronę, ale go uspokajam. Panuję nad sytuacją. Odpinam kaburę, dając do zrozumienia matce bliźniaków, że wystarczy jej jeden ruch, a ją zastrzelę. Nie powinna mieć co do tego żadnych wątpliwości.

Przez chwilę przechodzi mi przez głowę myśl, by użyć środka znieczulającego, ale szybko ją odrzucam. To zbędny środek chemiczny. Zaburzenie naturalnego funkcjonowania organizmu. Wszelkich porównań należy dokonywać w jak najbardziej naturalnych warunkach. Dlatego nie używam również zastrzyku z fenolu. To zbędne.

Wystarczy mi wykonany w specjalistycznym zakładzie nóż. Jego głownia ma dokładnie dwadzieścia osiem centymetrów długości, a ostrze jest ostre jak brzytwa. Dbam o nie wyjątkowo starannie.

Pojedyncze cięcie rozpruwa brzuch kaszlącego chłopca, rozcinając otrzewną. Ze środka dosłownie wylewają się jelita i wypływają strugi krwi. Matka bliźniaków przeraźliwie krzyczy. Chce się rzucić w moją stronę, ale zamiera w pół ruchu. Strażnik jest gotów, by w każdej chwili ją zastrzelić. Tymczasem z ust chłopca dobywa się jedynie charkot, po którym następuje ciche rżenie. Gdy na wardze osiadają kropelki krwi, pierś malca zamiera w bezruchu.

Momentalnie dopadam do jego brata. Wykonuję nacięcie, starając się poprowadzić je z identyczną siłą. To bardzo ważne. Chłopiec jednak porusza się i ostrze rozcina jego skórę pod lekkim kątem. Muszę ciąć jeszcze raz, aby odsłonić jamę brzuszną. Kilkunastocentymetrowy otwór natychmiast wypełnia się krwią oraz osoczem. W tym przypadku jednak nie widać jelit. Być może wbrew temu, co utrzymywała matka, bliźniacy jedli o różnych porach. A może zdrowy oddał choremu swoją porcję? To teraz bez znaczenia. Ich trzewia nie są dla mnie interesujące.

– Zabierzcie ją – rzucam do strażnika. – Już nie jest potrzebna.

Matka miała za zadanie uspokajać chłopców i wykonała tę rolę lepiej, niż sądziłem. Teraz po jej policzkach cieką łzy, lecz jednocześnie jej twarz przypomina nieruchomą, bladą maskę. Gdy strażnik chwyta ją pod ramię, kobieta niemal zastyga w pozycji

z podkulonymi nogami. Po chwili, gdy zostaje wywleczona za drzwi, wybucha głośnym, rozpaczliwym płaczem.

– Przywołajcie doktora Bluma – wołam. – Ma się tu zjawić natychmiast!

Doktor Blum jest żydowskim dentystą, który przybył w jednym z ostatnich transportów. Od razu oznajmiłem mu, że przeżyje, ale będzie miał do wykonania istotne zadania. Przysłuży się nauce oraz Rzeszy.

– Przeprowadźcie go tu natychmiast – powtarzam z naciskiem.

Rozglądam się po pomieszczeniu, upewniając, że znajdują się tu wszystkie sprzęty niezbędne do przeprowadzenia sekcji. Chcę jak najszybciej porównać płuca chłopców. Czy w pozornie zdrowym bliźniaku odnajdą się jakiegokolwiek ślady stanu chorobowego? Czy oglądając człowieka od środka, można przewidzieć rozwój zapalenia płuc? To zagadnienie warte zgłębienia i opisania. Przygotowuję zeszyt, by prowadzić notatki. Obie sekcje wykona doktor Blum. Przynajmniej do tego może się przydać.

65.

– Niestety, rezultaty autopsji nie są zadowalające. Właściwie jestem całkowicie rozczarowany.

Wirths spogląda na mnie z zaintrygowaniem. Zdaję mu relację w trakcie przechadzki po terenie niewielkiego przyobozowego lasu. Przyjemnie wciągnąć zapach świeżego powietrza oraz wilgotnej ziemi. Coraz mocniej czuć zbliżającą się zimę. Na drzewach jest niewiele liści, a podłoże wyściela wielokolorowa warstwa tych, które już opadły. Idziemy powoli, ostrożnie wybierając ścieżkę tak, by nie pobrudzić butów ani nogawek spodni.

– Proszę mówić dalej – nakłania mnie Wirths. – To naprawdę interesujące.

Zrezygowany wzruszam ramionami.

– Płuca chłopca, który nie kaszłał, były całkowicie zdrowe. Nie znalazłem w nich żadnych ognisk choroby. Jego brat natomiast niewiele się różnił od gruźlika...

– Zapalenie płuc?

– Bardzo rozległe.

– Właściwie trudno mówić o jego zaraźliwości...

– Zaraźliwą powinna być jego przyczyna, ale... – Macham ręką. To zbędne zbaczanie z tematu. – Jedynym ciekawym zagadnieniem są rozmiary organów obu chłopców.

Wirths przechodzi pod zwieszoną nisko gałęzią i ponownie na mnie spogląda. Przygryza usta w sposób, w jaki przygryzają je ludzie nawykli do palenia fajki.

– Rozmiary organów? Co ma pan na myśli?

– Ich serca – stwierdzam. – U zdrowego chłopca ważyło niemal sto gramów mniej niż u jego brata. To różnica istotna nie tylko procentowo.

– Myśli pan, że może mieć znaczenie dla odporności?

– Rozmiar nie był patologiczny. Właściwie wagę serc obu bliźniaków można uznać za mieszczącą się w normie, ale... – Głośno mlaszczę. – To jedyna istotna różnica, jaką znalazłem. Ich wątroby, śledziony, żołądki... Wszystkie miały niemal identyczne rozmiary. Waga mózgow różniła się zaledwie o dwa gramy, a kolor oczu, zgodnie z wprowadzoną tabelą barw, można zakwalifikować jako taki sam.

Wirths nagle się zatrzymuje. Zakłada dłonie za plecy i zerka w górę. Nad nami rozciąga się platanina nagich gałęzi na tle błękitnego nieba. Nadszedł wyz, wraz z którym nadciągnęło chłodne powietrze. W nocy był nawet lekki przymrozek, ale w ciągu dnia temperatura sięga niemal dziesięciu stopni. Nie lubię zimy. Wolałbym wyjechać

gdzieś na południe, lecz trzyma mnie tu ogrom pracy oraz służbowa odpowiedzialność. Wiem też, że w obozie prowadzę całkiem wygodne życie.

– A więc serce – stwierdza nagle Wirths. Jego spojrzenie jest zimne, ale nie puste. To jeden z inteligentniejszych ludzi, na jakich trafiłem w ostatnim czasie. – Może warto się na tym skupić? Może zbadanie kolejnych bliźniąt pokazałoby tożsamość wyników?

W zadumie kiwam głową. Również się nad tym zastanawiałem. Właściwie mam już wytypowanych kilka obiektów, lecz prawdziwym dreszczem napawa mnie myśl o porównaniu czworaczków, które ponoć trafiły do obozu w porannym transporcie. Żałuję, że nie było mnie w takiej chwili na rampie.

66.

Żadne z przeprowadzonych w ostatnich tygodniach badań porównawczych nie przyniosło przełomowych odkryć. To irytujące i deprymujące zarazem. Całe sterty notatek okazują się niewiele wartymi bazgrołami, z których nie można wyprowadzić żadnych satysfakcjonujących wniosków. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że sama metodyka przeprowadzania badań pozwoli mi zaistnieć w historii nauki. To ważne. Wiem też, że każdy, kto się ze mną spotka, będzie mógł mi w przyszłości wystawić świadectwo. To być może jest jeszcze ważniejsze.

Z poważną, zadumaną miną opuszczam krematorium. Czuję na sobie spojrzenia kilku członków Sonderkommanda, wiem również, że wzbudzam zainteresowanie strażników. „Anioł Śmierci”, „Lekarz Umarłych”. Tak nazywają mnie nie tylko więźniowie. Nie ukrywam swoich zainteresowań ani prowadzonych badań. Mam świadomość, że

dokumentacja nie zawsze służy jedynie nauce. To moja spuścizna i przekleństwo.

Tak. Wiem to.

Front regularnie przesuwa się w kierunku Bugu. Rosjanie nacierają siłą milionów istnień i robią to ze zwierzęcą napastliwością. Nie liczą się ze stratami ani nie zdają na wymyślne manewry. Ich walec po prostu młóci wszystko, co znajdzie się na jego drodze. Na miejsce tysiąca zabitych pojawia się dziesięć tysięcy kolejnych dzikusów sprowadzonych z najdalszych zakątków dawnego imperium. Dzięki takiej strategii Stalin robi ze swoimi oponentami to samo, co my robimy z nimi w obozach. Jednak śmierć Sowietów nie idzie całkowicie na marne. Aby zrównoważyć jej znaczenie dla rosyjskiej maszyny wojennej, powinienem pogłębiać badania. Powinienem jeszcze staranniej weryfikować więźniów przybywających w transportach i złożyć ich na ofiarnym stosie nauki w służbie Rzeszy. To mój obowiązek i mój odcinek frontu. To moje dziedzictwo.

Co więcej mógłbym zrobić? W jaki sposób mógłbym przysłużyć się zwycięstwu oraz sobie samemu? Cholera...

Spoglądam na kolejne postacie drepcące w stronę podziemnego pomieszczenia. W większości nie mają pojęcia, co ich czeka, choć zapewne szerzą się rozmaite plotki. Niektórzy szepczą, inni płaczą, ale ogrom porusza się w całkowitym, zrezygnowanym milczeniu. To największy sukces naszej maszyny państwowo-politycznej. Złamaliśmy ich do szczeru. Jest im niemal zupełnie obojętne, co się z nimi stanie za najbliższym zakrętem. Są posłuszni niczym stado krów wiezionych na rzeź. Nawet nie muczą ani nie drepcą kopytami.

– To jakaś znana malarka. – Mój adiutant skinieniem głowy wskazuje na smukłą, bardzo drobną kobietę. – Tworzyła te żydowskie dekadencjonalne bohomy...

Żydówka wyczuwa, że o niej mówimy, i ukradkiem zerka w naszą stronę. Momentalnie się kuli, po czym odwraca bokiem, jakby

obawiała się, że jakikolwiek kontakt wzrokowy mógłby jeszcze pogorszyć jej sytuację. Jest naiwna albo tli się w niej ostatnia iskra nadziei. W sumie wychodzi na to samo.

– Malarka... – powtarzam zadumany.

– Tak. Schweibel twierdzi, że przed wojną jej obrazy sprzedawały się nawet w Paryżu.

– A to ciekawe.

Przechodzę między kolumną więźniów, którzy momentalnie się rozstępują. Czuję bijący od nich smród.

– Ty tam! Stój!

Kobieta się zatrzymuje i jeszcze mocniej zwiesza głowę. Splata dłonie, w których trzyma małą torbę.

– Jesteś malarką?

Wciąż przygarbiona, cicho przytakuje.

– Tworzysz akwarelami? Umiesz dobrze mieszać kolory?

– Chyba tak, panie oficerze.

– Panie doktorze – poprawiam ją. – Wystąp. Teraz pójdziesz za mną.

Mam co do niej interesujące plany. Może się mi bardzo przydać. Pomysł, na który wpadłem przed paroma sekundami, wydaje mi się wyjątkowo ciekawy.

– Chodź, szybciej, szybciej!

Kobieta, nie wiedząc, co ją czeka, wybucha płaczem, ale nie ma odwagi się sprzeciwić. Pokornie wychodzi z szeregu, po czym podąża kilka kroków za mną. Słyszę, jak pociąga nosem.

67.

– Siedźcie nieruchomo! Ani drgnijcie.

Cofam się o dwa kroki i spoglądam na dwie nastoletnie bliźniaczki. Mają jajowate głowy i szerokie nosy. Charakterystycznego kształtu twarzy dopełniają pełne usta oraz wydatne podbródki. Dokonałem szeregu pomiarów oraz zostały dokładnie sfotografowane. Przypatruję się im niczym turysta, który w trakcie przemierzania sal nudnego muzeum trafił na interesujący eksponat.

– Czy taka pozycja jest właściwa?

Odwracam się do żydowskiej malarki, która stoi pochylona nad biurkiem. Na blacie przed nią jest rozłożonych kilka kartek oraz mnóstwo farb. Sprowadziłem je specjalnie dla niej. Możliwości uzyskania barw są szczególnie istotne, a w tym celu potrzebna była jak najbardziej rozbudowana paleta.

– Tak jest dobrze – odpowiada. – Bardzo dobrze.

– Czy potrzeba pani czegoś jeszcze?

– Nie, panie doktorze. Dziękuję.

Mój łagodny, miły ton najwyraźniej stanowi dla niej zaskoczenie, a jednocześnie ją ośmiela. Często pozwala sobie na łypnięcia w moją stronę. Mimo to wciąż jest zmieszana i nie do końca rozumie, czego od niej wymagam.

– Proszę pamiętać, aby jak najstaranniej oddać kolor ich oczu – mówię z naciskiem. – Niestety, mimo najdoskonalszych aparatów fotograficznych oraz specjalnej ciemni, nie jesteśmy w stanie odzwierciedlić drobnych różnic. Widzi pani?

Podchodzę do bliźniaczek i chwytam za podbródek tę po mojej prawej. Obracam ją do światła. Następnie palcem wywijam jej powiekę. Dziewczyna cicho popiskuje, lecz nie stawia żadnego oporu.

– Widzi pani? Te charakterystyczne kropeczki sprawiają, że jej oczy są ciemniejsze. Albo takie się tylko zdają ze względu na charakter białka.

– Rozumiem. Postaram się to uchwycić.

– Bardzo na panią liczę.

Nie chcę jej przeszkadzać. Interesuje mnie jedynie rezultat jej pracy, ale nie jej przebieg. Kobieta musi robić za wyjątkowy aparat fotograficzny. Nic więcej. Tabela porównawcza kolorów oczu okazuje się ostatnio niewystarczająca. Drażnią mnie detale, których nie można uchwycić. Być może to właśnie w nich tkwi owa główna różnica, która będzie stanowiła klucz do rozszyfrowania tajemnicy bliźniąt. Tyle że chyba sam już nie wiem, w czym tak naprawdę tkwi ta tajemnica. Czuję się zagubiony.

– Gdyby czegokolwiek pani potrzebowała, proszę śmiało mówić – rzucam, kierując się ku drzwiom. – Kiedy mogę spodziewać się rezultatów pracy?

Kobieta zagryza usta i przez chwilę się zastanawia.

– Muszę mieć je jeszcze dzisiaj – stwierdzam. – Proszę się pośpieszyć.

Wychodzę na korytarz i odruchowo zaczynam gwizdać. Problem z kolorem oczu polega na tym, że nie opracowałem dobrego sposobu określania ich w dokumentacji. Obrazy akwarelą mogą się okazać przełomowe. Być może wygodniej byłoby malować same gałki oczne, wylupione z oczodołów, ale to niemożliwe. Po śmierci ten organ natychmiast traci wodę, osusza się, a białka się rozpadają. Stąd mętnienie trupich oczu. Potrzebuję portretów... A w międzyczasie wierzę, że wpadnę na kolejny pomysł. Muszę na niego wpaść.

68.

– Jest pan lekarzem – stwierdzam, spoglądając na czterdziestokilkuletniego Żyda. – Doktor Koblenz-Levi, zgadza się?

Mężczyzna kiwa głową. Jego twarz można określić jako ruchliwą. Zdaje się, że przez cały czas drgają na niej rozmaite mięśnie. Choć na

mnie nie patrzy, wiem, że jego spojrzenie jest rozbiegane i niepewne. Jego wargi lekko drżą.

– Być może już pan słyszał, że regularnie dobieram sobie współpracowników spośród osób osadzonych w obozie.

– Tak.

Krótkie „tak” mówi mi wszystko.

– Chcę, aby pan również ze mną pracował.

– Domyśliłem się tego.

Jego mina nie pozostawia żadnych wątpliwości. Jest przerażony.

– Proszę za mną. Mam nadzieję, że rozpoczniemy już dzisiaj.

Szybkim krokiem przechodzę przez gabinet i prowadzę go do pomieszczenia obok. Wszystko przygotowałem. Chciałem wyrzucić na nim jak największe wrażenie. Zgodnie z tym, czego dowiedziałem się o Koblenz–Levim, zawsze cechował się nadzwyczajną wrażliwością. To dobrze. Tym łatwiej będzie mi go złamać. Złamani więźniowie działają niczym maszyny.

– Oto nasi pacjenci. – Wskazuję na dwie grupy dzieci w wieku od trzech do ośmiu lat. – Połowa cierpi na raka wodnego czy też, jeśli woli pan tę nazwę, nomę.

Czech jedynie cicho wzdycha.

– Druga grupa jest całkowicie zdrowa – kontynuuję. – Podzieliłem ją jednak ze względu na otrzymywane racje żywnościowe. Jedni są na głodówce, drudzy mają racje standardowe, a trzeci podwójne.

– To co tu pan robi...

Lekarz przerywa w pół zdania. Przesłupuje z nogi na nogę i spuszcza głowę między ramiona.

– Tak, chciał pan coś powiedzieć, doktorze?

– Nie, nic.

– Świetnie.

Przechodzę wzdłuż linii dzieci z dziurami w policzkach. Cuchnie od nich ropą oraz zgnilizną. Niektóre ledwie trzymają się na nogach.

Większość pojękuje z bólu.

– Pańskim zadaniem będzie naniesienie próbek tkanki chorych dzieci na tkanę tych zdrowych – oznajmiam. – Wykona pan mniejsze lub większe nacięcia, a następnie będzie sprawdzał podatność na zakażenie. Dotychczasowe badania zdają się dowodzić, że organizmy o właściwej suplementacji nie są w ogóle podatne na tę bakterię. Potrzeba jednak szerszej próby.

– Czy dobrze rozumiem, że badając rozwój choroby, mamy zarażać zdrowe dzieci?

Na tę uwagę gwałtownie odwracam się do lekarza. Obrzucam go wściekłym spojrzeniem.

– Nie zarażać – precyzuję. – Usiłować zarazić. A to różnica. Czy dobrze się rozumiemy?

– Mhm.

– Proszę odpowiedzieć. Tak czy nie?

– Tak.

– Tak, kto?

– Tak, panie doktorze.

– Doskonale.

69.

Efekty są całkowicie zgodne z przypuszczeniami. Żadne spośród dobrze odżywionych dzieci nie zakażyło się bakterią wywołującą nomę. Na ich twarzach nie widać jakichkolwiek chorobliwych zmian.

W drugiej grupie, dzieci odżywianych zgodnie z normą obozową, pojawiły się przypadki zakażenia. Policzki osiemnaściorga z nich noszą ślady początkowego stadium, natomiast u dwojga rany są już niemal przeżarte na wylot. Jeden chłopiec, zapewne chory jeszcze przed przystąpieniem do eksperymentu, ma dziurę wielkości małej

monety. A może w jego przypadku przebieg choroby był przyśpieszony przez jakiś nieustalony czynnik?

– Zabierzcie go do dalszych badań – nakazuję. – Będziemy musieli przeprowadzić dokładną ankietę. Opracuję pytania.

Przechodzę do trzeciej grupy dzieci ustawionych na placu apelowym. Niektóre z nich muszą się podtrzymywać. Mają puste spojrzenia, a na policzkach większości z nich szerzą się rany. Niektóre przypominają zwłoki w zaawansowanym stadium rozkładu. Zawiewający wiatr z daleka roznosi bijący od nich smród.

– Dobrze się spisaliście, doktorze – zwracam się do kroczącego przy mnie Koblenza-Lewiego. – Teraz eksperyment możemy uznać za zakończony konkretnymi wynikami.

– Zakończony? A więc to już koniec? Ot tak?

– A czego by pan oczekiwał?

Zatrzymuję się i spoglądam mu prosto w oczy. O dziwo wytrzymuje moje spojrzenie. Choć jest złamany, świadomość bezskuteczności jakiegokolwiek oporu dodaje mu siłę. Wie, że nie ma niczego do stracenia.

– Zwiększenia racji żywnościowych dla wszystkich uczestników – rzuca zuchwale. – To pomogłoby wyzdrowieć większości z nich. Nawet tym najciężej chorym.

– Może... – szepczę w zadumie.

– Może? To niemal pewne.

Coś mi przychodzi do głowy. Kładę dłoń na jego drobnym ramieniu i nieco się pochylam. Czech wreszcie spuszcza wzrok. Głośno pociąga nosem, a z jego oczu cieką łzy. Rzeczywiście jest nadzwyczaj delikatny. Nie mam pojęcia, jak mógł pracować jako lekarz. Nie ma w nim najdrobniejszego naukowego zacięcia.

– To nie jest szpital dla więźniów – stwierdzam obojętnym tonem. – Ale rzeczywiście, nie musimy na tym kończyć eksperymentu.

– Co pan proponuje, doktorze Mengele?

W jego głosie wyczuwam nadzieję. Nie mam co do tego wątpliwości. Koblenz-Levi liczy, że kontynuując eksperyment, ulegnę jego prośbie o dodatkowe porcje jedzenia dla dzieci.

– Uczestników eksperymentu należy uśmiercić – stwierdzam bez ogródek. – Chcę dokładnie przebadać stadia rozwoju choroby. Nie potrzebuję jednak do tego całych ciał, których konserwowanie będzie utrudnione.

Czech otwiera z niedowierzaniem usta. Jego oczy zastygają w tępym bezruchu. Przez moment chyba stara się myśleć, że żartuję, lecz gdy uświadamia sobie, że mówię całkowicie poważnie, wstrząsa nim spazm.

– Pana zadaniem będzie oddzielenie głów od ich ciał – ciągnę. – Następnie włoży je pan do słoików z formaliną. Nakażę sporządzenie portretów oraz przekazanie preparatów do właściwych laboratoriów.

70.

– Niech sam to pan zobaczy. Pan to lepiej rozumie, doktorze.

Dwóch strażników prowadzi mnie pomiędzy barakami. Niemal biegną. Nie powiedzieli mi, o co chodzi, a ja nie dopytywałem. Choć mam pewne przypuszczenia.

Staram się stawiać kroki tak, by nie wdepnąć w kałuże. Żałuję, że założyłem nowe, doskonale wypolerowane buty. Nawet nie miałem pojęcia, że w nocy padało. Do bladego świtu pracowałem przy zasłoniętych zasłonach oraz zamkniętych oknach. Byłem całkowicie pochłonięty notatkami.

– To tu... – oznajmia jeden ze strażników.

Od razu widzę, że z jednego z baraków wyprowadzono wszystkich więźniów. Ustawiono ich w trzech szeregach, a kapo pilnuje, by nie powodowali zbędnego zamieszania. I tak, jak to zazwyczaj

w podobnych sytuacjach bywa, więźniowie w zasięgu wzroku skupiają na nich uwagę. Prowadzone przez dwóch SS-manów psy nerwowo ujadają. Gdzieś w oddali ktoś beszta podwładnych. Deszcz rytmicznie skapuje z dachu do wielkiej kałuży. Przynajmniej już nie pada.

– O co chodzi? – pytam, lecz nie uzyskuję odpowiedzi.

Strażnicy rozstępują się, robiąc miejsce, abym przeszedł. Spoglądam na ich twarze, ale nie potrafię z nich niczego wyczytać. To krzepcy, solidni mężczyźni, sztapowi Bawarczycy o szerokich ramionach, bladej skórze oraz wypiekach na policzkach. W ich błękitnych oczach nie ma żadnych emocji.

Jeszcze raz zerkam na zebranych przed barakiem więźniów, po czym odruchowo spoglądam w niebo. Nie wiem, dlaczego to robię. Momentalnie przypominają mi się słowa dawno nieodmawianych modlitw. Może to jakiś odruch bezwarunkowy, a może jedynie przypadek. Wyprostowuję się i zakładam ręce za plecy. Powoli wchodzę do środka.

Uderza mnie gęsty smród, a moje oczy przez chwilę przyzwyczajają się do panującego wewnątrz półmroku. Przysłaniam nos wierzchem dłoni. Po samym zapachu jestem w stanie ocenić stan zdrowia większości przebywających w danym baraku osób.

– Znaleźli go dziś rano – odzywa się ktoś za moimi plecami.

Odkasłuję i podnoszę głowę. Spoglądam prosto na obrzmiałą twarz doktora Koblenza-Lewiego. Jego oczy są wytrzeszczone, a lekko rozchylone wargi fioletowe. Na podbródku zebrała się już ciemna plama opadowa. Wokół szyi owiązaną ma żyłkę, zapewne przemyconą z lazaretu. Wzdłuż niej widoczne są krwawe wybroczyny.

Śmierć nastąpiła w wyniku powieszenia. Jestem pewien, że wbrew obawie części obozowych na lekarzu nie dokonano samosądu. Nie zamordowano go, a następnie nie upozorowano samobójstwa. Poza tym wiem, że Koblenz-Levi wzbudzał powszechny szacunek i nie miano do niego zarzutów ze względu na współpracę ze mną. Jedyne

zarzuty ten czeski lekarz miał wobec siebie samego. Cóż. Po raz kolejny dziwię się, że mógł być medykiem. Był tak słaby... Tak diabelnie słaby. A jednak będzie mi go w jakiś sposób brakowało.

Odwracam się i spoglądam na najbliższego strażnika. Mierzę w niego palcem.

– Zabierzcie go – nakazuję. – I spalcie z następnym transportem.

71.

– To niedopuszczalne! Marnujecie mój materiał badawczy. Po raz kolejny zaburzona zostaje reprezentatywna próbka...

Uspokajam się, nie chcąc wdawać się w awanturę z Obersturmbannführerem. Höß patrzy na mnie niechętnie, zmęczony i jakby zrezygnowany. W dłoni trzyma pióro, którym nakreślił kilka słów pod jakimś raportem. Teatralnie wzdycha, po czym sięga po szklanekę koniaku. Mnie nim nie poczęstował. Zresztą dobrze wie, że nie piję mocnych alkoholi.

– Nie rozumie pan złożoności sytuacji, doktorze – zwraca się do mnie tonem mędrca. – To nie jest moje widzimisię, ale odpowiedź na konkretne dyspozycje z Berlina.

– Czy Berlin wie, że godzą w rezultaty mojej pracy?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Höß odkłada szklanekę i wymownie się do mnie uśmiecha. Nie sądzę, by kłamał. Moje badania interesowały go tak samo mocno jak mnie.

– Mamy trzysta dwanaście bliźniąt – stwierdzam. – Pozbycie się dwóch bloków z siedemdziesięcioma sześcioma stanowi prawie dwadzieścia pięć procent!

– Zgadza się.

– I nic pan z tym nie zrobi?

– Powtarzam, że nie jestem w stanie zmienić tej decyzji. Chyba że...

Spogląda na mnie chytrze, lekko pochylając przy tym głowę. Głośno przelyka ślinę.

– Chyba że? – dopytuję.

– Może się pan pośpieszyć ze swoimi badaniami. Wydaje mi się, że będę w stanie zyskać dla pana kilka dni.

– Kilka dni – fukam nerwowo, ale nie pozwalam sobie na kolejne podniesienie głosu. Nie znoszę tego. – Rozumiem. Dziękuję i za to, panie Obersturmbannführer.

Wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia, po czym podnoszę się z krzesła. Tak, wszystko jest ustalone. Choć zdecydowanie wolałbym mieć właściwe podkładki. Brak dokumentów może mi przysporzyć mnóstwa problemów, a te będą stratą czasu. Nie mogę na to nic poradzić. Wiem, że Höß za wszelką cenę unika wydawania pisemnych dyspozycji. Musi mi wystarczyć jego słowo. O ile będę tego potrzebował, powinien się za mną wstawić przed każdym urzędnikiem. Nie zapominam również, że mam znacznie bardziej konkretne gwarancje od berlińskiego waźniaka.

– Dobrze. – Rezolutnie kiwam głową. – Wobec tego nie mogę tracić czasu.

Unoszę dłoń w hitlerowskim salucie, ale w pół gestu rezygnuję. Kiwam jedynie głową i opuszczam gabinet komendanta. W głowie mi huczy. Nie możemy zmarnować siedemdziesięciu sześciu bliźniąt! Z punktu widzenia nauki to niedopuszczalne marnotrawstwo. Dlaczego nikt nie zwraca na to uwagi? Domyślam się, że w Berlinie mają inne problemy na głowie, ale sprawnie funkcjonujące państwo powinno koordynować wszelkie działania.

Zirytowany wychodzę na dwór. Wciągam ostre, mroźne powietrze. Natychmiast pojawia się przy mnie mój adiutant.

– Przeprowadźcie do mnie Mikłósa Nyiszlego – nakazuję. – Wydaje mi się, że jest w bloku B, ale... Zresztą sami to ustalcie.

– Tak jest.

Adiutant zamierza czym prędzej odejść, lecz przywołuję go energicznym machnięciem ręki.

– Jeśli będzie chciał wziąć ze sobą jakichś współpracowników, niech to zrobi. – Odchrząkuję. – Dajcie mu do zrozumienia, że to nie będzie wyprawa do sauny. Może zapracować na kilka dodatkowych dni życia.

72.

Miklós Nyiszli jest węgierskim lekarzem. Ma poprzetykane siwizną włosy oraz ponure spojrzenie. Jego wydatny nos zdradza pochodzenie, choć rysy nie są typowo semickie. Do obozu trafił przed kilkoma miesiącami i od razu nakazałem umieścić go na liście znajdujących się w nim medyków.

– Panie doktorze... – zwraca się do mnie, w poddańczym geście pochylając głowę.

Wyciągam ku niemu dłoń i poufale klepię go po ramieniu. Przyszedł sam, ale wiem, że jeśli zrozumie, że nic mu nie grozi, znajdzie współpracowników.

– Przeprowadzał pan sekcje zwłok, prawda? – Bez ogródek przechodzę do sedna.

Nyiszli nie ma pojęcia, w czym rzecz, i z konsternacją spleta dłonie. Przygryza wargę, po czym przestępuje z nogi na nogę. Chciałby się zapaść w sobie. Chciałby teraz zniknąć. Zapewne spodziewa się najgorszego.

– Proszę odpowiedzieć – ponaglam go. – Niech się pan niczego nie boi. A może się mylę?

Wiem, że właśnie dokonuje kalkulacji, czy opłaca mu się powiedzieć prawdę. Zastanawia się, czy jego życie zależy od tego, czy wykonywał sekcje, czy może od tego, że nie ma o nich pojęcia. Jestem przekonany, że na świecie nie znajdzie się obecnie lekarzy, którzy nie mieliby za

sobą praktyk z zakresu autopsji. Ludzkiego ciała nie da się poznać w inny sposób. Poza tym... Poza tym to jedyny sposób, by zaspokoić ciekawość, która pojawia się u każdego studenta medycyny.

– Tak – odpowiada krótko.

– Świetnie. Wobec tego będzie mi pan potrzebny.

Nyiszli spogląda na mnie spode łba. Marszczy czoło i ponownie spuszcza wzrok. Boi się o cokolwiek zapytać, ale wydaje mi się, że jego mięśnie się rozprężyły. Odetchnął. Skoro może być do czegoś potrzebny, zakłada, że będzie żył. Nie myli się.

– Jak wiele sekcji wykona pan w ciągu doby?

– Samodzielnie?

Od razu zapaliła się w nim żydowska iskierka przedsiębiorczości.

– Otrzyma pan do współpracy zespół. Dwóch pomocników? Tyłu wystarczy?

– Tak, choć...

– Dość. Niech pan o nic nie prosi. – Uśmiecham się pobłaźliwie. Musi zrozumieć, że ze mną nie ma żartów. To nie jest licytacja, w której może ugrać cokolwiek więcej, niż mu pozwolę. – Wróćmy do liczby sekcji. Siedem w ciągu nocy?

Pochyliła się i ukradkiem lewą dłonią przytrzymuje prawą. Zaczyna drżeć. Po jego skroni ścieka strużka potu. Nie chce przelicytować, ale też boi się stracić szansę zyskania kolejnych tygodni lub miesięcy spokoju. W końcu przeżycie w obozie równa się spokojowi.

– Cztery – odpowiada stanowczo. Musiało go to wiele kosztować, gdyż drży jeszcze mocniej. – Jeśli chcemy zrobić wszystko tak, jak należy, nie da rady więcej. Trzy godziny na jeden przypadek.

Choć liczyłem na osiem lub nawet dziesięć, taka odpowiedź mnie satysfakcjonuje. Sam działałem w podobnym tempie. Poza tym staranność jest najważniejsza, a Nyiszli zdaje się być odpowiedzialnym człowiekiem. Podoba mi się.

– Dobrze. – Z aprobatą kiwam głową. – Proszę przekazać mi dane dwóch współpracowników. Zaczniecie od jutra. Czeka nas sporo roboty do wykonania.

73.

Ostatnie tygodnie sprawiły, że jestem wykończony. Z permanentnego wysiłku mam obolałe ręce i oczy. Mimo to udało mi się przebadać niemal wszystkich bliźniaków, którzy musieli trafić do krematorium. Nie straciłem żadnego istotnego materiału badawczego. Dzięki wytężonej pracy oraz pomocy doktora Nyiszlego do Berlina przekazałem ponad sto próbek anatomicznych. Po ich zweryfikowaniu w konkretnych instytutach będzie można kontynuować badania. Ze szczególną dbałością pobrałem gałki oczne osób o dwóch kolorach tęczówek. Opisałem również różnice zachodzące w przypadku bliźniąt, koncentrując się tym razem na rozbieżnościach kolorów, a nie zaledwie odcieni. W planach miałem rozszerzenie próbki badawczej o rodziców bliźniąt, ale nie było na to dość czasu. Poza tym nie wdrożono jeszcze właściwego sposobu prowadzenia dokumentacji.

Odkładam na bok ołówek i przeciągam dłońmi po twarzy. Na biurku przede mną wznosi się stos dokumentów oraz notatek. Może wzięłem na siebie zbyt wiele? Ta myśl pojawia się zawsze, kiedy zaczyna brakować mi sił, a rezultaty nie są dość zadowalające. Należy jednak być cierpliwym. Nie powinienem się śpieszyć. Z takiej liczby próbek z pewnością uda się wyciągnąć właściwe wnioski. Odkrycia? Sam nie wiem. Przełomy? Bardzo bym ich pragnął.

Przeczesuję palcami włosy i zakładam dłonie za głowę. Odchylam się w fotelu. Nie mam nawet siły gwizdać. Cicho wzdycham i ponownie sięgam po notatnik. Mam do wykonania jeszcze kilka eksperymentów. Spośród wielu pomysłów w tych upatruję

największej szansy sukcesu. Jeśli chcę przejść do historii, muszę się pośpieszyć. Rosjanie są coraz bliżej i mogą nie zdążyć. Naprawdę bardzo się tego boję. To pierwsza myśl, z jaką muszę się mierzyć każdego ranka.

Nie zdążę.

A może już przeszedłem do historii? Gdyby tylko tak było...

74.

– Niech pani leży spokojnie.

Kobieta nie widzi mojej twarzy. Jest ułożona na długim metalowym łóżku, ale na wysokości jej szyi ku sufitowi rozciąga się prześcieradło. Nie chcę, aby obserwowała, co robię, a jednocześnie istotne jest, by nie została uśpiona. Wszelkie środki usypiające sprawiają, że zmieniają się parametry pracy serca. Uważam to za niedopuszczalne.

– Czy dobrze się pani czuje?

– Tak. Tylko moja ręka...

– Co z nią?

Kobieta odkasłuje. Porusza się, choć skórzane pasy w znacznym stopniu ją unieruchamiają.

– Drętwieje. Strasznie mnie mrowi.

– To nic takiego. – Poprawiam dren i sprawdzam, czy nie dostał się do niego tlen. – Proszę poruszyć palcami. Wtedy powinno zrobić się pani lepiej.

Kobieta kilkakrotnie zaciska i rozluźnia pięść, a krew zaczyna płynąć zwawiej. Mimo to jest już wyraźnie osłabiona. Skonstruowany specjalnie dla mnie wyjątkowo elastyczny dren prowadzi prosto do serca mężczyzny leżącego na drugim łóżku. On jest całkowicie uśpiony, lecz również otaczają go kurtyny z prześcieradła.

– To nie potrwa długo – oznajmiam. – Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości.

– Dobrze.

Spoglądam na zegarek. Zabieg trwa już prawie trzy kwadranse, ale udało mi się przetoczyć niemal litr krwi. To zakładany limit, choć ze względu na krwiaka rozlanego na ręce kobiety obawiam się, że nie przetoczyła się pełna ilość. Jeżeli przekroczymy założoną dawkę, eksperyment nie powinien zostać wypaczony. Bezpieczeństwo więźniarki nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

– Dość – szepczę do stojącego obok mnie Nyiszlego. Skoro sprawdził się przy autopsjach, może być równie użyteczny przy innych zabiegach. Przed rozpoczęciem eksperymentu starannie go poinformowałem o swojej koncepcji. Nie zakwestionował ani słowa. – Jest pan gotów, doktorze?

Kiwa głową. Nie odzywa się, ale nie potrzebuję jego oświadczeń, wykładów ani deliberacji. Ma się mnie słuchać. Ma wykonywać moje rozkazy. Kropka.

– Teraz – nakazuję.

Z kamienną twarzą Węgier sięga po dawny medyczny tasak, który sprowadzono dla mnie z francuskiej muzealnej kolekcji. Jedno uderzenie wystarcza, aby rozplatać klatkę piersiową uspionego pacjenta. Żebra dosłownie odpadają od mostka i potrzeba jedynie kilka ruchów, aby dostać się do serca. Gdy chwytam je dłonią, wciąż bije. Krew spływa po fartuchu, który narzuciłem na biały strój.

– Co się dzieje? – szepcze kobieta, z której przetaczamy krew do wyrwanego serca. – Co się stało?

– Nic, nic – odpowiadam uspokajającym tonem. Uśmiecham się do Nyiszlego i komediancko wzruszam ramionami. Jednocześnie wyciągam ku niemu dłoń. – Proszę się nie martwić.

Węgier podaje mi strzykawkę z fenolem. Błyskawicznie zbliżam się do leżącej kobiety, biorę zamach i wbijam igłę prosto w jej serce.

Kobieta nawet nie reaguje. Naciskam tłok, wtłaczając do jej krwiobiegu śmiertelną truciznę. Ta działa niemal natychmiast.

Po raz kolejny zerkam na zegarek. Wyciągnięte z klatki piersiowej mężczyzny serce już nie wykazuje żadnych oznak funkcjonowania. Natomiast kobieta jeszcze żyje. Jej dłonie zaciskają się w agonii. Odliczam sekundy.

– Pięć, sześć... Koniec. Umarła. Proszę bardzo starannie odnotować porę jej zgonu. Z dokładnością co do sekundy...

Nyiszli jak zwykle milczy. W sumie właśnie to bardzo mi się w nim podoba.

75.

Od trzymania rozmaitych narzędzi chirurgicznych w cienkich rękawiczkach zrobiły mi się drobne odciski. Oglądam je pod światło, zafascynowany osoczem zebrany pod cienką, zaognioną skórą. Posmarowałem je kremem glicerynowym oraz specjalną mieszanką preparatu ziołowego. Wydaje mi się, że to powinno przyspieszyć gojenie, co skrzętnie odnotowuję w zeszycie. Wszystko należy zbadać. Dwa odciski posmarowane i jeden nie. Pierwsze porównanie nie zdradza szczególnych różnic. Być może na tym nieposmarowanym zaczerwienienie jest nieco większe. A może to jedynie moja wyobraźnia? Przydałaby się teraz ta malarka albo dobry aparat fotograficzny. Wciąż wnioskuję o jak najnowocześniejszy sprzęt na rzecz badań, lecz otrzymuję nieustanne odmowy. Wirths twierdzi, że Rosjanie są już zbyt blisko, aby Berlin przeznaczał na nas jakiegokolwiek środki. Jego zdaniem obozy są stracone. Mam nadzieję, że się myli.

Choć w oddali rzeczywiście niesie się pogłos kanonady artyleryjskiej, linia Wisły powinna rozstrzygnąć przebieg działań

wojennych na naszą korzyść. Żołnierze będą mieli się o co oprzeć, a następnie posiadą dogodny punkt wyjścia do kontrataku. Poza tym nasza cudowna broń ma trafić na front już lada dzień. Wszyscy o tym mówią. Dzięki niej pogonimy aliantów na wszystkich kierunkach.

Mam jeszcze parę eksperymentów do dokończenia. Wciąż czekam na wyniki badań z kilku uniwersytetów oraz laboratoriów. Bez nich jestem unieruchomiony. Jednak nawet w najgorszym razie potrzeba mi tylko kilku tygodni, by wszystko bardzo starannie opisać. Miesiąc lub półtora. Front nie może przesuwać się tak szybko.

Spoglądam na pełgający płomień świecy. Od jakiegoś czasu używam jej ze względu na oszczędności energii. Ponoć jeden z obozowych generatorów został poważnie uszkodzony. Sporządzanie notatek przy świecy w niczym mi nie przeszkadza. Tego nie można nawet nazwać poświęceniem.

Wyciągam dłoń bliżej płomienia i nagle ogień przeskakuje na mój palec. Warstwa mikstury kryjącej odcisk gwałtownie się zapala. Choć ból jest niesamowity, z zaintrygowaniem zauważam, że płomień ma niebieskawy kolor. Temperatura spalania jest bardzo wysoka.

– Szlag...

Gwałtownie owijam palec w rękaw koszuli. Ogień gaśnie, ale nadpalona skóra przywiera do materiału. Odciągam go powoli, odsłaniając strzęp mięsa.

– To nic... – syczę. – To nic.

Uspokaja mnie myśl, że właśnie dokonałem bardzo istotnego odkrycia. Jak najszybciej chcę podzielić się nim z komendanturą. Nie zważając na ból ani późną porę, wstaję z krzesła i kieruję się do szafy. Pośpiesznie zakładam mundur.

– Naukę tworzą przypadki – szepczę. – Przypadki oraz odrobina szczęścia.

76.

Uzyskanie zgody nie było problemem. W ostatnich tygodniach Obersturmbannführer Höß popadł niemal w całkowitą inercję. Stany bliskie katatonii przerywają napady złości oraz rozdrażnienia. Szczęśliwie, ilekroć o czymkolwiek mu melduję, natychmiast przyjmuje to do wiadomości. Odprawia mnie, jakby nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. A jednocześnie aprobeuje moje kolejne pomysły.

– Co pan sądzi?

Wirths wydyma wargi i zakłada ręce za plecy. Coś kalkuluje, ale najwyraźniej nie jest zadowolony z rezultatów własnych przemyśleń.

– Pod względem chemicznym to wątpliwe, choć dopuszczam możliwość powodzenia...

Cały on. Wstrzemięźliwość, ostrożność, wręcz pesymizm. Szanuję jego osiągnięcia, ale do nauki mam całkowicie przeciwne nastawienie. Należy z zainteresowaniem spoglądać w przyszłość. Trzeba eksperymentować i stawiać sobie wyzwania. Nie można się zniechęcać.

– Sprawdźmy to – stwierdzam z entuzjazmem. – Nie ma innej możliwości.

– Proszę bardzo, doktorze.

Wirths kurtuazyjnie bierze ode mnie niewielką puszkę i podchodzi do rozebranych do naga więźniarek. Trafiły tu loteryjnie, wskazane przez swoich blokowych. Dwie z nich to smagłe Cyganki, a trzecia ma bladą, niemal białą skórę z widoczną siatką żył.

– No, drogie panie...

Wirths cicho się śmieje i wkłada palce do puszek. Rozsmarowuje pobrany z niej krem po ciałach kobiet. Te znoszą jego zabiegi bez jakiegokolwiek sprzeciwu. Wydają się nawet zaintrygowane.

– To na porost włosów – drwi Wirths.

– Na gładką cerę – precyzuję, cicho się śmiejąc. – Cudowne działanie.

Kobiety milczą. Karnie podnoszą ręce, pozwalając rozprowadzać maź w każdym zakątku swoich ciał. Rozstawiają nogi, a nawet, przywykłe do rozmaitych zabiegów ginekologicznych, odruchowo się odwracają. Wymieniamy z Wirthsem porozumiewawcze spojrzenia, ale zaraz poważniejmy. Mamy niewiele czasu. Transport do łaźni powinien wyruszyć lada moment, a nikt nie będzie specjalnie czekał na moje więźniarki. Obiecałem dostarczyć je terminowo, nie robiąc przy tym większego zamieszania.

– Teraz musicie się umyć – rzucam oschle. – Powinniśmy dokonać dezynfekcji, a następnie będziemy kontynuować badania.

– Ubierajcie się. – Wirths skinieniem głowy pokazuje na odwieszona na wieszaku ubrania. – Szybciej! Szybciej!

Kobiety natychmiast wykonują jego polecenie, a ja staję w progu, otwierając przed nimi drzwi. Są zaskoczone takim traktowaniem. Speszona wychodzą na korytarz i kierują się do wyjścia.

– Szybciej, szybciej! – ponagla je Wirths.

– Przecież idą – uspokajam go łagodnie. – Zdążyliśmy. Za chwilę wszystko się wyjaśni. Drogie panie, proszę się o nic nie martwić.

77.

– Proszę zobaczyć.

Członek Aschenkommanda przesuwa się, robiąc mi miejsce. Podchodzę do wyciągniętej szuflady krematorium i spoglądam na jej zawartość. Znajduje się w niej sterta popiołu oraz fragment pękniętej, osmalonej kości. Nic więcej. Do tego wydaje się, że popiołu jest mniej niż w drugim piecu.

– Zadowolony? – Wirths splata ręce na piersi i uważnie przypatruje się zawartości szuflad. – Panie doktorze Mengele?

– Tak... Chyba tak. Rezultaty są zauważalne.

– Owszem.

Nie ma wątpliwości, że ciała kobiet posmarowanych moją recepturą spaliły się dokładniej niż inne. Może nie jest to różnica przełomowa, ale z pewnością istotna. Jak na pierwszą próbę wyszło całkiem dobrze. Jestem usatysfakcjonowany.

– Będzie trzeba popracować nad proporcjami, lecz jestem dobrej myśli. – Z ekscytacji zacieram dłonie. – Komendant powinien być zadowolony.

– Bez wątpienia.

– W kolejnym etapie trzeba wytypować większą próbkę do badań.

Chwytam Wirthsa pod ramię i kieruję się do wyjścia. Po chwili znajdujemy się na dworze. Spadł pierwszy śnieg, na którym natychmiast osadziły się ciemne wyziewy kominów. Radosną zimową biel przetykają smugi powstałe ze spopielonych ludzkich ciał.

– Mam pomysł – ciągnę entuzjastycznie, podbudowany odkryciem. – Przede wszystkim, muszę dopracować proporcje mikstury, ale efekty mogą mieć dwójaki skutek.

– Tak? – Wirths spogląda na mnie z ukosa. Marznie i stawia kołnierz munduru. – Do czego pan zmierza?

– Po pierwsze, lepsze spopielenie zwłok. Najwyraźniej można dążyć do niemal całkowitego spopielenia szczątków. Ale po drugie... – Unoszę dłoń i rozprostowuję kciuk oraz palec wskazujący. – Po drugie, muszę sprawdzić, czy dzięki temu smarowidłu do kremacji nie potrzeba niższej temperatury. Być może uda się je przyspieszyć, ale też sprawić, że będą tańsze. Poza tym piece coraz częściej wymagają przeglądów...

– O tak, to dobra myśl.

Wirths nie wydaje się przekonany. Od jakiegoś czasu trudno mi odkryć jego prawdziwe myśli. Mam wrażenie, że oddzielił się od rzeczywistości jakimiś złudnymi wyobrażeniami. Popadł w otępienie, choć to otępienie całkowicie inne od tego trawiącego komendanta. Eksperymenty powinny sprawiać, że w naukowca wstępują nowe siły, tymczasem on zdaje się wręcz rozdrażniony moim odkryciem. Nerwowo przygląda rękawy munduru i obtupuje buty.

– Będę panu meldował o dalszych odkryciach – rzucam, uważnie wypatrując jego reakcji. – Sądzę, że to kwestia najbliższych dni.

Wirths kiwa głową. Uśmiecha się niewyraźnie, po czym rusza przed siebie. Śnieg skrzypi pod podeszwami jego ciężkich oficerek. Idzie lekko przygarbiony, choć niemal nie ma wiatru. A może to pierwsze objawy jakiejś choroby? Przez moment spoglądam za nim, jakbym obserwował potencjalny obiekt badawczy. Ucinam tę myśl i energicznie wsuwam rękawiczki.

– Do zobaczenia, doktorze! – krzyczę, po czym kieruję się do swojego gabinetu. – Do jutra...

Szybko zapominam o Wirthsie. Pochłania mnie kwestia uzyskania właściwych proporcji mazi. Tak drobna rzecz może znacząco wpłynąć na wydolność krematoriów. W tych trudnych czasach będzie to istotna pomoc dla wysiłku wojennego Rzeszy. Mój drobny wkład w ostateczne zwycięstwo.

78.

Opracowałem jedenaście metod sporządzania łatwopalnej mazi. Do badań pozyskałem trzydzieści trzy osoby, dokładnie po trzy na każdą próbkę. To ważne, gdyż jak pewnie pamiętasz, co do zasady właśnie trzy ciała mieszczą się naraz w jednej komorze pieca krematoryjnego. Z wyjątkową starannością zająłem się odpowiednim dobraniem

więźniów. Wyniki eksperymentu mogłyby być zaburzone przez rozbieżności w wielkości tkanki tłuszczowej, płęć albo budowę kostną poszczególnych osób. Zakwalifikowałem je do odpowiednich grup, a następnie przypisałem do konkretnych próbek mazi. Ze względów proceduralnych na spopielenie wszystkich ciał będę musiał czekać cztery dni. Obawiam się, że na rezultat badania będą miały wpływ różnice temperatury panującej na zewnątrz krematorium, ciśnienie oraz wilgotność powietrza. Na szczęście nadszedł wyż, który ma utrzymywać podobne warunki przez kilka najbliższych dób.

– Przeprowadziłem ich. – Mój adiutant przeżył się w progu gabinetu. Otworzył drzwi i kątem oka zerka w głąb korytarza. – Zgodnie z rozkazem.

– Niech wejdą.

Do środka, jeden za drugim, wchodzi kilkupokoleniowa rodzina karłów. Gdy tylko ich dostrzegłem przy rozdzielaniu jednego z ostatnich transportów, natychmiast zabroniłem kierować ich do krematorium. Muszę ich przebadać. To niesamowite, szczególnie biorąc pod uwagę, że różnice wzrostu pomiędzy dorosłymi osobnikami sięgają aż kilkunastu centymetrów.

Po niemiecku mówi jedynie dwóch mężczyzn, ale szybko dowiaduję się, że rodzina składa się z dwóch odnóg mających wspólnego przodka. Geny jednej części pozwoliły na uzyskanie nieco wyższego wzrostu wśród jej przedstawicieli. Wśród przodków drugiej gałęzi było małżeństwo karłów. To dobitnie pokazuje, że aberracje fizyczne mogą mieć cechę dominującą i być przekazywane mimo zdrowych genów dziadków.

– Rozrysujcie mi wasze drzewo genealogiczne. – Przed jednym z mężczyzn kładę kartkę i ołówek. – Chcę mieć pewność, że wszystko prawidłowo rozumiem.

– Oczywiście, panie doktorze.

– I zanotujcie choćby przybliżony wzrost tych osób. Jesteście w stanie go oszacować?

Karzeł odwraca się do krewnych i rzuca kilka zdań w szorstkim, niezrozumiałym języku. Zapomniałem sprawdzić, skąd przywieziono tych liliputów. Po chwili odwraca się i spokojnie, z namaszczeniem, kiwa nieproporcjonalnie dużą głową.

– Tak. Powinniśmy podać wzrost wszystkich członków naszej rodziny do trzech pokoleń wstecz.

– Czyli do tego, w którym wszyscy byli zdrowi? – upewniam się.

– Zdrowi – potwierdza karzeł.

– Doskonale. W takim razie zajmijcie się tym, a ja wrócę za kwadrans. Tylko postarajcie się zrobić to bardzo dokładnie.

Kieruję się do wyjścia, ale przed drzwiami jeszcze się zatrzymuję.

– Sprowadźcie tu aparaturę pomiarową – rzucam do adiutanta. – Niech pojawi się któryś z węgierskich lekarzy i zaczeka na mój powrót. Musimy ich bardzo dokładnie przebadać.

– Tak jest.

79.

– Dwadzieścia osiem i pół, pięć, siedem centymetrów i trzy milimetry...

Odczytuję kolejne pomiary. Karła rodzina cierpliwe stoi w szeregu, a ich ciała są poznaczone czerwoną farbą. Interesują mnie proporcje odcinków pomiędzy poszczególnymi fragmentami tych ciał. Długość kości udowych oraz ramiennych zdaje się zawsze utrzymywać ten sam stosunek. Zaburzenia występują natomiast między dystansami od linii żeber do krocza. Oczywiście w odpowiednich tabelach umieszczam pomiary ze względu na wiek, płeć oraz gałąź rodziny.

– Czasem proporcje mogą być niewidoczne na pierwszy rzut oka... – szepczę do siebie. – Obwód nadgarstka może być zależny od długości kości promieniowej. Nie mam prawa tego wykluczyć...

Na biurku piętrzy się cały plik kartek. Staram się przejrzeć poszczególne zapisy i dostrzec jakiś klucz. Czy ograniczając wzrost jednych części ciała, można ograniczyć wzrost innych? Przypuszczalnie jesteśmy w stanie wyhamować rozwój dłoni, więc czy wpłynęłoby to na wielkość stóp? Frapuje mnie kwestia nie tylko wstrzymywania rozwoju, lecz również jego pobudzania. Pobudzenie jest może nawet ważniejsze. Gdyby się odpowiednio postarać, można by wyhodować żołnierza idealnego. Te karły są przecież jego przeciwieństwem.

– Bardzo dobrze się spisaliście – mówię, nie podnosząc wzroku znad papierów. – Zdaje się, że mam już wszystkie istotne wymiary.

– Czy będziemy mogli odejść? – Bez pozwolenia pyta jeden z dwóch karłów mówiących po niemiecku.

– Jeszcze nie – rzucam oschle.

Przeoglądam kolejne kolumny, prowadząc palec od liczby do liczby. Zaciskam usta i pomrukuję. W głowie rozbrzmiewa mi jakaś melodia, ale jak to często bywa, nie potrafię sobie przypomnieć, gdzie ją słyszałem.

Mamy wszystko. Żałuję jedynie, że wśród tej rodziny nie ma noworodków. Po urodzeniu pewne cechy są doprowadzone do przesady, jednak właśnie to mogłoby stać się obiektem badania. Czy głowy karlich noworodków są proporcjonalnie jeszcze większe względem ich korpusów niż u zdrowych dzieci?

W tym momencie to jest nieistotne. Muszę wszystko spokojnie przemyśleć. Jeśli tylko zechcę, zdobędę karlego noworodka. Nawet powstałego z relacji kazirodczej.

Bez słowa patrzę po jednej z kobiet, a następnie przenoszę wzrok na dwudziestoletniego mężczyznę. Zaskakujące, że natura, broniąc się

przed przekazywaniem chorych genów, nie eliminuje zdolności reprodukcji u tych ludzi. Zresztą czy można z pełną odpowiedzialnością nazywać ich ludźmi? Nawet biorąc pod uwagę dywagacje czysto biologiczne, bez otoczki moralnej lub etycznej. Profesor von Verschuer kiedyś roztrząsał to zagadnienie w jednym z wysłanych do mnie listów.

– Na razie wasze racje żywnościowe zostaną zwiększone – oznajmiam, wiodąc wzrokiem po kolejnych twarzach. – Zadbam o was.

Kilkoro liliputów powstrzymuje uśmiechy, ale w rysach paru innych dostrzegam uzasadniony niepokój. Co ciekawe, wydaje mi się, że po części są ponadprzeciętnie inteligentni. Jednak aby to sprawdzić, będę musiał przeprowadzić jeszcze dodatkowe testy. Ich tłumaczenie potrwa kilka dni.

– Ale nie miejcie wątpliwości – dodaję ostro. – Gdy przestaniecie mi być potrzebni, wasze wypreparowane szczątki trafią do muzeum biologii. Przejdziecie do historii jako wyjątkowe eksponaty. Niemieckie rodziny będą mogły was podziwiać.

80.

Rodzina liliputów przejdzie do historii dzięki mojej pracy habilitacyjnej. Przynajmniej oni mi się przysłużą z wzajemnością. Powstająca od ponad dwóch lat rozprawa zyskuje ostateczny kształt, choć wciąż poszerzające się zainteresowania oraz możliwości zgłębiania nowych materii powodują jej nieustanny rozrost. Liczba początkowo zaplanowanych rozdziałów niemal się podwoiła. Chęć uchwycenia jak najszerszej wiedzy zdaje się moją największą wadą. Mam jej pełną świadomość. Jednak z drugiej strony wada ta stanowi

również naturalną wypadkową mojej ambicji. Jedno nie istnieje bez drugiego.

Poszerzanie wiedzy wiąże się z eksperymentami. Moja praca nie ogranicza się do czysto teoretycznych rozważań, właściwie każdą myśl, każde podejrzenie, staram się zweryfikować w praktyce. W przeciwieństwie do wielu innych badaczy mam niemal nieograniczone pole do działania. To wielki dar od losu. Jednak jestem przede wszystkim przekonany, że los sprzyja lepszym. A ci lepsi? No cóż, to właśnie pośród nich należy wyszukiwać zwycięzców oraz tych, którzy przechodzą do historii.

Muszę się śpieszyć. Wirths daje mi do zrozumienia, że zgodnie z posiadanymi przez niego informacjami Rosjanie każdego dnia prą do przodu. Zarządzeniem Obersturmbannführera z Auschwitz odesłano część dokumentacji oraz personelu. Zmniejszono również liczbę więźniów, choć większość likwidowanych rozstrzelano. Krąży plotka, że piece krematoryjne mają zostać rozebrane. Moim zdaniem to działanie wystraszonych zwierząt. Nie powinniśmy się niczego bać, tylko pracować jak dawniej. Gdyby każdy zajmował się swoim, nasi żołnierze byłiby w Moskwie. Za dużo się mówi, a za mało robi. Polityka zbyt mocno przeniknęła pozostałe dziedziny życia. Zbyt wiele planuje się odgórnie, a zbyt mało pozostawia inicjatywie specjalistów.

Być może wylewa się ze mnie złość, ale nie potrafię sobie wyobrazić innego życia. Nie chcę go sobie wyobrazać. Znalazłem się we właściwym miejscu, w czasie gdy świat zdawał się zmierzać we właściwym kierunku. Chciałem to wykorzystać, lecz ta szansa może mi zostać odebrana.

Nie. Wirths musi się mylić. Dzisiaj kanonada zdawała się cichsza i jakby bardziej odległa. To nie są marzenia. Słuch nie mógł mnie mylić.

Nie myli mnie jednak również wzrok. Personel obozu jest coraz bardziej zdenerwowany, a więźniowie szepczą. Ich nerwowe szepty

dosłownie niosą się echem między barakami oraz przenikają atmosferę niczym promieniowanie słoneczne. Słyszę je nawet teraz.

Odkładam pióro i podnoszę wzrok, zerkając na bliźniaczki. Długo zastanawiałem się nad wybraniem konkretnej pary, ale te dziewczynki wydają się doskonałe. Mają szesnaście lat, a w ich rodzinach mnogie ciąży zdarzały się już w poprzednich pokoleniach. Poza tym są zdrowe i z mojego polecenia, odkąd trafiły do obozu, otrzymywały podwójną porcję jedzenia.

– Wiecie, dlaczego was wezwałem? – pytam, przekładając papiery.

Dziewczynki pochodzą z Polski, ale rozumieją po niemiecku. Przynajmniej nie potrzebuję tłumacza. Być może komendant miał rację, chcąc pewne kwestie zachować tylko dla siebie. Choć z drugiej strony...

Jeżeli zachowujemy coś tylko dla siebie, nie mamy szans trafić do podręczników. A ja naprawdę zrobię wszystko, by świat o mnie usłyszał.

I długo nie zapomniał.

81.

– Muszę wyselekcjonować dla was odpowiednich partnerów – mówię, spoglądając w twarze dziewcząt. Zaskakujące, że nawet w takich momentach bliźniaczki reagują podobnie. Mieszanką strachu, zaskoczenia i zakłopotania. Podnoszą i opuszczają spojrzenia, kąciki ich ust drgają w nerwowych tikach, a wargi lekko się rozchylają. Zdaje się, że temperatura ich ciał się podniosła, a policzki zaczerwieniły.

– Mam już kilku kandydatów, ale żaden nie są tak perfekcyjni jak wy. Albo ich rodziny nie mają wielodzietnej przeszłości, albo są zbyt

młodzi, albo niewłaściwie odżywieni... To moja wina. Przegapiłem dwa transporty, w których były bliźnięta.

Wzdycham i podchodzę do bliźniaczek.

– Rozbierzcie się – nakazuję. – Całkowicie.

Ich konsternacja jest tylko chwilowa. Doświadczenie obozowe wyzbyło je pruderii oraz wstydu. Nagość nie jest niczym nowym ani złym. Zaraz po przyjeździe zostały podane dezynfekcji i całkowicie ogolone. Ich ciała pozbawiono jakiegokolwiek owłosienia. Nagie tłoczyły się wtedy w kilkusetosobowych grupach, które często nie były nawet segregowane ze względu na płeć.

Spoglądam na ich piersi. Są kształtne i pełne. Wydaje się, że natura przystosowała je do wykarmienia więcej niż jednego dziecka. Być może to cecha, przez pryzmat której powinno się zgłębiać zagadnienie przewidywania mnogich ciąż. Wielkość piersi, stosunek ich proporcji do talii lub szerokości bioder. Może to szkielet człowieka zdradza zdolności do wzmożonej reprodukcji? To kolejne zagadnienie, które pojawia się niemal znikąd i powoduje chaos moich myśli. Chciałbym je szczegółowo zbadać, lecz nie ma przy mnie ani obozowej pisarki, ani nikogo, komu zaufałbym przy robieniu pomiarów. Sam nie mam dziś na to czasu.

– Tak. – Zdecydowany kiwam głową. – Nadajecie się. Muszę jedynie znaleźć odpowiednią parę mężczyzn.

Mój eksperyment ma na celu sprawdzenie, czy związki między bliźniętami spowodują wzrost prawdopodobieństwa zajścia w mnogie ciążę. Grupa badawcza na początek jest dość mała, ale mam nadzieję, że jeśli sytuacja pozwoli, poszerzę ją. Mniej więcej wiem też, jak poprowadzę te rozdziały pracy habilitacyjnej. Bez względu na rezultat eksperyment będzie odkrywczy. Nikt nigdy nie przeprowadził podobnych badań. Będę pierwszy. A to już coś. Prawda?

82.

Wrogów należy bezwzględnie wytępić. Jeżeli rzeczywiście alianci na Zachodzie posuwają się równie szybko jak Sowieci, wszystko jest stracone. Nie ma potrzeby się oszukiwać. Moje dzieło może umrzeć wraz ze mną. A jeśli nie... Jak zostanę oceniony?

Oceniać mnie będą kolejne pokolenia. Należy je jak najbardziej przetrzebić. Od kilku dni ta myśl niemal mnie prześladowa. Nie potrafię się od niej uwolnić.

– Wujek zaprowadzi was do baraku. Już nie będziecie potrzebni.

Dwóch bliźniaków uśmiecha się do mnie. W trakcie badania byli grzeczni, a za to obiecałem im nagrodę. Pobrałem ich krew, która została wysłana do zewnętrznego instytutu. Poza tym na razie do niczego mi się nie przydadzą. Mam wystarczającą liczbę bliźniąt do prowadzenia badań całymi miesiącami. Tyle że co wydarzy się za tydzień lub dwa?

– Jesteście uroczy – rzucam, uśmiechając się szeroko. – Świetni!

Choć chłopcy mnie nie rozumieją, również się uśmiechają. Maszerują dziarsko, tuż przy mnie. Jeden z nich wyciąga rączkę, jakby chciał, żebym go prowadził. Chwytam jego delikatne paluszki.

– Nie martwcie się. Ten cały świat musi się narodzić na nowo – mówię rozluźnionym, wesołym tonem, jakbym opowiadał im zabawną bajkę. – Ale co do tego, że się narodzi, nie mam żadnych wątpliwości.

Bliźniacy wymieniają między sobą jakąś uwagę, ale po chwili wbijają we mnie zaciekawione spojrzenia. Są całkowicie ufni i spokojni.

– Musimy zlikwidować wszystkich wrogów – ciągnę. – Co do jednego. Wtedy nie będzie trzeba z nikim walczyć. Jednak do tego czasu...

Wzdycham i puszczam rączkę chłopca. Zachęcająco klaszczę, po czym wskazuję, by pobiegli przede mną. Ich barak jest już tylko

kilkadziesiąt metrów przed nami.

– No dalej, biegnijcie. Szybko!

Chłopcy, głośno się śmiejąc, truchtem rzucają się do przodu. Jeden z nich chichocze, jakby bieg był najlepszą zabawą.

– Jednak, aby nie musieć z nikim walczyć – podejmuję przerwana przed chwilą myśl – wszystkich wrogów musimy wytępić. Wiecie? To bezwzględnie konieczne. Rzymianie mówili o warunku sine qua non...

Jeden z bliźniaków zerka przez ramię, najwyraźniej ciekaw mojej reakcji.

– Biegnij, biegnij. I tak nic nie rozumiesz...

Gdy chłopiec ponownie się odwraca, rozpinam kaburę pistoletu. Wyjmuję go, po czym niemal bez celowania oddaję dwa strzały. Oba trafiają w cel. Bliźniacy padają martwi tuż przed wejściem do baraku. Na ich twarzach być może nadal są uśmiechy.

83.

Doktorzy Clauberg i Schumann od miesiący prowadzą badania mające na celu jak najszybsze sterylizowanie całych grup kobiet. Ich praca ma przynieść wymierne rezultaty. Pozbawienie możliwości reprodukcyjnych narodów semickich pozwoliłoby na ich humanitarną eksterminację. Mimo wszelkich starań niemożliwe jest zagazowanie lub fizyczne pozbycie się dziesiątek milionów ludzi. Przynajmniej nie w krótkim czasie. Sterylizacja sprawiłaby, że ich geny stałyby się zanikowe lub recesywne. To najkorzystniejsze rozwiązanie.

Ukrócenie możliwości rozmnażania jest dokładnym przeciwieństwem eksperymentów, które prowadzę nad bliźniętami. To druga strona medalu. Po pierwsze, gwałtowny przyrost naturalny wśród Niemców i zagospodarowanie przez nas przestrzeni życiowej na

Wschodzie. Po drugie, eliminacja społeczeństw, które w perspektywie pokoleń nie nadadzą się nawet na siłę roboczą. W końcu należy dążyć do równowagi, przynajmniej do momentu, gdy Niemcy staną się całkowicie samowystarczalni.

– Naświetlenia nie przyniosły zadowalających efektów. – Doktor Schumann prezentuje mi dwie nagie kobiety. Ich podbrzusza są poparzone i obrzęknięte. – Część poddanych im pacjentek nadal była zdolna do zajścia w ciążę. Choć prawdopodobnie ich dzieci byłyby ułomne.

– Poza tym koszty... – wtrąca Clauberg. – Mechaniczna sterylizacja jest po prostu tańsza. Zresztą zdaje się, że sam pan asystował przy operacjach usunięcia macic i jajowodów?

– Tak. Jednak są one nader czasochłonne.

– Można je usprawnić – stwierdza Schumann. – Dopracowuję specjalny skalpel pozwalający na wprowadzenie go bardzo głęboko do dróg rodnych...

– Wówczas skuteczność sięgnęłaby stu procent.

– I właśnie o to nam chodzi, doktorze Mengele.

Clauberg pozwala się ubrać obu kobietom i ponownie odwraca się do mnie.

– Teraz, w obliczu zmian na froncie, musimy działać szczególnie sprawnie – oznajmia. – Nie mamy innej możliwości.

Ciężko sapię. Znajdujemy się w jednym z obozowych lazaretów, a nasze zebranie ma na celu skonfrontowanie pomysłów. Koncepcja wyszła od Schumanna, ale wcześniej otrzymał aprobatę samej komendantury.

– W przypadku mężczyzn będzie łatwiej i szybciej – stwierdzam. – Kastracja jest stosunkowo prosta. Interesowała mnie również statystyka skuteczności przy usunięciu tylko jednego jądra.

– Będzie bliska stu procent – mówi bez zastanowienia Clauberg. – Ale usunięcie obu nie zabiera więcej czasu.

– Chodzi o statystykę.

– Słyszeliśmy o pańskim upodobaniu do cyfr...

Wzruszam ramionami. To, o czym słyszeli, niewiele mnie obchodzi. Choć jednocześnie czuję pewną satysfakcję, że dzięki czemuś jestem rozpoznawalny. Statystyka to w końcu jedna z najważniejszych gałęzi każdej nauki.

– Mimo wszystko chciałbym uczestniczyć w takim zabiegu – stwierdzam. – Mógłbym je przeprowadzać w swoim szpitalu. A w przypadku kobiet...

Żałuję, że nie mam przy sobie pistoletu. Zastrzeliłbym obie pacjentki, które wbijają cielece spojrzenia w podłogę u naszych stóp.

– Są szybsze metody – zauważam. – Byle przygotowano dość dołów na szczątki.

84.

Z dnia na dzień kanonada ponownie staje się coraz głośniejsza. Dudnienie zamieniło się w grzmoty i zdaje się, że Sowieci używają innej amunicji. Ale kto to wie? Od rana obserwuję samolot co rusz nawracający nad obóz. Niedawno w pościg za nim ruszył jeden z naszych myśliwców, ale po godzinie rosyjska maszyna wróciła z powrotem. Po naszej nie było już śladu. Obrona przeciwlotnicza uderza z daleka i bardzo niecelnie. Pojedyncze chmurki wybuchów unoszą się w powietrzu.

– Komendantura nakazała mi zdwojenie wysiłków – stwierdza Wirths. – Rozmawialiśmy również o panu.

Spoglądam na niego z zaciekawieniem. Nie wiem, do czego zmierza, ale pozwoliłem mu wziąć udział w moim najnowszym projekcie. Spoglądamy na kilkunastu więźniów przechadzających się w rewirze

niedaleko łaźni. Zgodziłem się, by tu byli, a co więcej, nie nakazałem ustawienia się w szeregu. Mogą to potraktować jako spacer.

– Instytuty w Berlinie również pracują na zwiększonych obrotach – ciągnie Wirths. – Ponoć konsultował się pan w sprawie badań bakteriologicznych.

– Owszem. Nad rakiem wodnym.

– Tylko?

A więc dobrze myślałem. Wirths otrzymał również informacje o zapytaniu przesłanym do mnie z Instytutu Cesarza Wilhelma. Na ich prośbę mam przesłać dość obfity materiał badawczy. Właśnie w tym celu wydzieliłem więźniów, którzy są przed nami.

– Nie – przyznaję z uśmiechem. – Moje ostatnie eksperymenty usatysfakcjonowały tamtejszych badaczy. Potrzebują jednak próbek, aby zweryfikować swoje teorie.

– Próbek?

Wzdycham i spoglądam prosto w oczy Wirthsa. Po raz kolejny mam wrażenie, że chce mnie zrazić do jakiegoś projektu, a jednocześnie boi się zdradzić swoje myśli. Choć formalnie nadal jest moim przełożonym, wiem, że zyskałem pozycję, dzięki której mogę kwestionować jego wszelkie rozkazy oraz sugestie. Właściwie pracuję poza strukturą obozu. Od pewnego czasu chciałem mu to dobitnie pokazać.

Ukradkiem daję znać strażnikom, którzy nam asystują. Przed wyruszeniem na spotkanie z Wirthsem wszystko z nimi uzgodniłem. Na mój znak momentalnie unoszą karabiny. Ja również sięgam po pistolet.

Trajkocze seria strzałów. Kolejni więźniowie padają na ziemię i wstrząsa nimi agonia. Kilku obraca się w naszą stronę, po czym w wyrazie bezgranicznego zdziwienia wybałusza oczy. Nie spodziewali się, że umrą właśnie teraz.

Nagle, jakby niespodziewanie, nastaje cisza. Kilkanaście metrów przed nami leży dziewiętnaście powyginanych ciał. Nie słychać żadnych jęków ani próśb.

– Tak, próbek – rozwiewam wątpliwości Wirthsa.

Wyciągam z za pasa nóż i ruszam w stronę zwłok. Klękam przy pierwszych z nich. Rozcinam nogawkę spodni zastrzelonego mężczyzny, po czym lewą ręką chwytam jego udo. Prawą prowadzę nacięcie, wycinając kawał mięsa. Krew ścieka mi pomiędzy palcami i po dłoni.

– Poproszono mnie o materiał, na którym będzie można wyhodować bakterie – mówię, nie odwracając się do Wirthsa. Wiem jednak, że stoi tuż za mną. – Proszę mi pomóc, doktorze. Aby te próbki były wiarygodne, musimy je jak najszybciej zabezpieczyć i przekazać do transportu. Czy ma pan nóż?

Wirths bez słowa odchodzi. Słyszę jego szybkie, nerwowe kroki. Właśnie w takich chwilach można poznać prawdziwych tchórzy. Wszystko jest jedynie kwestią właściwych warunków do przeprowadzenia badania.

85.

Próbki mięsa dla Berlina, kolekcja gałek ocznych przesłana laboratorium w Monachium, usunięte jądra, macice oraz jajniki... Przez ostatnie dni zrobiłem więcej niż przez całe miesiące. Śpieszę się, choć wiem, że w nauce pośpiech nie jest wskazany. Robię, co mogę, aby przysłużyć się Rzeszy i sobie. Nie wiem już, jaka jest właściwa kolejność. Czasem zdaje mi się, że zasłużyłem, by przejść do historii. Po chwili wpadam w przygnębienie pełne myśli o beznadziejności i bezsensowności tego, co osiągnąłem. To żałosne.

Czy jestem żałosny?

Skoro na froncie są przypadki nomy, wystarczy wdrożyć moje zalecenia, aby je ukrócić. Niestety badania nad możliwością przetaczania krwi bez względu na jej grupę nie przyniosły zadowalających rezultatów. Przeszczepy gałek ocznych oraz serca się nie przyjęły. Za późno zaczęliśmy nad nimi pracować. Badania powinny zostać usystematyzowane, a dokumentacja rozbudowana. Tymczasem dochodzą mnie słuchy o tym, że obozowe archiwum ma zostać spalone.

Niech to szlag. Kilka tysięcy dokumentów poświadczających owoce mojej pracy. Moja prawdziwa biografia.

Inżynierowie opracowują cudowną broń, która ma odwrócić losy wojny, a ja robię, co potrafię najlepiej we własnej dziedzinie. Choć być może przypomina to bieganie oszalałego naukowca, daję z siebie wszystko. Operuję, nadzoruję i wybieram. Dokonuję analiz oraz badam próbki. Słaniam się na nogach.

Czuję, że przez ostatnie tygodnie mój organizm istotnie się postarzał. Ręce mi drżą, a serce nieustannie kołacze. Pobudzam się opracowanymi własnoręcznie miksturami, ale wiem, że to nie potrwa długo. Będę musiał zdecydować, jaki ma być mój los. Zrobię to osobiście i z rozwagą godną badacza.

Tymczasem muszę jeszcze raz spróbować przysłużyć się zwycięstwu. Spoglądam na leżącego na stole nastolatka. Został bardzo starannie skrępowany, lecz nie podano mu środków znieczulających. Te należy bezwzględnie oszczędzać. Ostatnie zamówienie w ogóle nie dotarło, a poprzednie były wybrakowane. W obozowym szpitalu brakuje zresztą niemal wszystkiego.

Podłużnym, hakowatym skalpelem nacinam skórę więźnia, po czym przy pomocy asystentów odsłaniam kość. Działamy w milczeniu, doskonale wiedząc, co robić. To już trzeci zabieg tego typu. Medycznym dłutkiem kruszę kość, by w kilku miejscach dostać się do szpiku nastolatka. Chłopiec, mimo knebla, wrzeszczy wniebogłosy.

Nie zwracam na to żadnej uwagi. Wprowadzam do kości elastyczną rurkę i zakręcam metalowe mocowanie.

– Udało się – szepczę do siebie.

Nagle zdaję sobie sprawę, że wokół mnie panuje cisza. Wściekły, że ten gówniarz mógł umrzeć, spoglądam na jego klatkę piersiową. Nie. Jedynie zemdłał. Żebra poruszają się w rytmie spłyconego, nierównego oddechu.

– Szpik należy wyciągać za pomocą tłoka – rzucam do jednego z towarzyszących mi medyków. Już sam nie wiem, czy to więzień, czy członek SS. Wszystkie twarze zlewają mi się w jedno, a nazwiska płaczą. – Proszę pobrać go dwukrotnie, a następnie zabandażować ranę. Skoro ten chłopak nadal żyje, musimy go wykorzystać do ostatka.

Rzucam na stół rękawice i wychodzę. Tę robotę wykonałem najlepiej, jak mogłem.

86.

To niewiarygodne. Trudno mi uwierzyć w to, co widzę, a jednak nie mam żadnych wątpliwości, że to nie omam. Właściwie powinienem być na to przygotowany. Wszystko dzieje się w zrozumiałej kolejności i stanowi naturalne następstwa poprzednich wydarzeń.

Coraz głośniejsze kanonady, odległe dymy, wreszcie coraz częstszy widok sowieckich samolotów nad naszym niebem, wreszcie kilka kolumn jeńców przybyłych z frontu na piechotę. Choć te sceny nie zostawiały pola do złudzeń, człowiek w naturalny sposób poszukuje pozytywów. Tłumaczyłem to w jedyny, wyrachowany sposób. Zorganizowany odwrót niemieckiej armii miał być przyczynkiem do ogromnej kontrofensywy. Niczym więcej i niczym mniej.

Tyle że odwrót dotarł do miejsca, w którym musiałem do niego dołączyć osobiście. Nigdy wcześniej o tym tak nie myślałem. Przesadne czekanie sprawi, że rosyjscy grabieżcy pochwycą mnie w swoje ręce.

Nie. Jeszcze tydzień lub dwa. Może działania wojenne będą miały przerwę. Choć przecież ani naród niemiecki, ani komuniści oficjalnie nie uznają Bożego Narodzenia. Ja zresztą też nie.

Tymczasem spoglądam na grupę obozowych wolontariuszy rozbierającą jeden z krematoryjnych kominów. Cegła po cegle, z nadzieją, że materiał znów zostanie wykorzystany. Ponoć właśnie dlatego zabroniono go wysadzać. Mnie jednak się zdaje, że nie mamy dość materiałów wybuchowych, by pozbyć się tych budynków w tak szybki i zdecydowany sposób. Nie mamy amunicji, strażników ani pomysłu na przyszłość. Nie mamy nawet dość dobrego materiału genetycznego pośród więźniów.

A więc to koniec?

Tak właśnie zakończy się wielki rozdział historii Niemiec oraz świata? A przy okazji również mojej. To trochę smutne, ale nie mogę mieć tego nikomu za złe. Każdy zrobił, co mógł, i wycierpiał, ile było mu dane. Czyje to słowa? Seneki? Nie ma to najmniejszego znaczenia. Ich autor poszedł do piachu tak, jak poszły do niego wszystkie kolejne pokolenia. I jak pójdę również ja. I ty.

Słyszając szelest szufli i przesypywanej ziemi, obracam się przez ramię. Kilkadziesiąt metrów ode mnie pracuje spora grupa więźniów. Część z nich wykopuje z dołu dość świeże, nierozłożone zwłoki. Widzę fragmenty rozpadających się ciał oraz błotnistą maź rozlewającą się, gdy usiłują je przenosić. Zewsząd dobiega charkot wymiotów oraz splunięć. Smród zgnilizny obsiada również mój przelyk, jakbym wypił szklanekę zjełczałej oliwy.

Jeden ze strażników trzyma szeroko rozłożoną mapę. Przechadza się i wskazuje więźniom na konkretne miejsca. Być może są tam

jakieś zaznaczenia, a może robi to instynktownie. Na jego rozkaz wydobywane są zwłoki, które mają zostać rozdrobnione lub spalone. Tymczasem starsze doły, które już się zapadły, mają zostać nadsypane tak, by nie było po nich śladu.

W ten sposób pracuje maszyna zapomnienia. W historii ma nie być miejsca na to, co działo się na terenie obozu. A co gorsza, być może nie ma w niej miejsca również dla mnie. Boję się.

87.

17 stycznia 1945 r.

– Rosjanie szykują się do ostatecznego szturmu. Jeśli front się załamie, dotrą tu w ciągu kilku godzin. Rozumie pan, doktorze?

Jeden z lekarzy obozowych chwyta mnie pod ramię. Najwyraźniej dostał jasne wytyczne z komendantury. Nikt nie wie, gdzie jest Obersturmbannführer Höß. Ponoć Hans Frank przed paroma godzinami opuścił Kraków.

– Wszystko stracone. To koniec!

– Czy pańskie wiadomości są pewne? W ostatnich dniach pojawiło się tyle plotek...

Za najlepszą odpowiedź może robić zataczający się SS-man, który na mój widok z rezygnacją salutuje, po czym niemal się przewraca. To nigdy wcześniej się nie zdarzyło. Jawne pijaństwo było niewyobrażalne.

– Co teraz? – pytam retorycznie.

Obserwuję pijanego żołnierza, po czym zerkam w stronę obozowej kancelarii. Z okien unoszą się smużki dymu. Najwyraźniej wykonano to, czym grożono od dawna. Dokumentacja archiwalna została podpalona.

– Panie doktorze Mengele... – Lekarz chce mi coś powiedzieć, ale zbywam go machnięciem ręki.

– Przepraszam.

Rzucam się biegiem w stronę dawnego szpitala obozu cygańskiego. Tam znajduje się moje prywatne archiwum. Nie mogę go stracić.

– Heinrich! – Z daleka krzyczę do mojego adiutanta. – Szykuj samochód. Podprowadź go pod moją kancelarię, a potem...

A potem się zobaczy. Nikt już nad niczym nie panuje. Wczoraj otrzymałem rozkaz, by w razie potrzeby ewakuacji kierować się na zachód, ku punktom zbiorczym. Ostatnia kolumna więźniów opuściła obóz przed dwoma dniami. Pozostali mają zostać zlikwidowani, ale chyba nikt o tym już nie myśli. Nawet ja.

Dopadam do głównych drzwi i pokonuję niemal puste korytarze. Z niektórych sal dobywają się jęki chorych. Nie ma tu już żadnego personelu. Jakiś członek Sonderkommanda kieruje się ku mnie, zapewne chcąc otrzymać rozkazy. Odprawiam go gniewnym spojrzeniem.

Dopadam do pomieszczenia, w którym przez ostatnie miesiące zgromadziłem mnóstwo notatek. To zapiski niemal wszystkich moich badań. Opisy eksperymentów, ankiety wypełniane przez chorych, kwestionariusze segregacji więźniów, nawet portrety wykonane przez tamtą malarzkę... Nie pamiętam ani jej nazwiska, ani numeru.

Chwytam jutowy worek z pieczęcią Wehrmachtu i wyrzucam z niego odpady medyczne. Stare strzykawki, bandaże, opatrunki, gazy... Pośpiesznie wchodzę do magazynku, po czym spoglądam po szeregach półek. Jest ich kilkanaście, a wszystkie dokumenty wypełniłyby co najmniej pięć takich worów.

– Cholera! – klnę wściekle.

Na szczęście większość zapisków jest odpowiednio uporządkowana. Najważniejsze są moje odręczne notatki oraz dzienniki. Spycham je

ręką do nadstawionego worka, po czym dorzucam kolejne teczki. Tyle, ile się da. To moja najcenniejsza spuścizna. Moje dziedzictwo...

Chwytam worek, ale ten jest tak ciężki, że muszę go ciągnąć. Przygarbiony brnę do wyjścia. Kiedy wreszcie wypadam na dwór, dostrzegam, że moje auto stoi pośrodku niewielkiego placu. Adiutant pędzi w moją stronę, aby mi pomóc.

– Szybciej, szybciej – pokrzykuję do niego tym samym tonem, jakim przed paroma godzinami ponaglałem więźniów.

Nie pozostało mi nic więcej.

88.

Doktor Otton Kahler ściska moją dłoń i energicznie nią potrząsa. Jest zmęczony. Ma zaczerwienione oczy i szarą cerę. Mimo to spogląda na mnie z wyraźną troską. Lustruje mnie od stóp do głowy, po czym klepie w przedramię.

– Ma pan wieści o Rosjanach? – pyta.

– Tak jak przekazałem pańskim zwierzchnikom, jeszcze nie weszli do Auschwitz. Mogą tam jednak być lada godzina.

– Rozumiem, rozumiem...

Kahler jest lekarzem w wojskowym lazarecie przy obozie Gross-Rosen. Dowiedziałem się o nim całkowicie przypadkiem i od razu postanowiłem wykorzystać dawną znajomość. Nie tylko razem studiowaliśmy i odbywaliśmy praktykę, ale również przez pewien czas wymienialiśmy ciekawą korespondencję. Przerwała ją dopiero zawierucha ostatnich miesięcy.

– Czy moi przełożeni...

– Znają całą sytuację – zapewniam go. – Niczego nie ukrywałem. Przed panem również nie zamierzam niczego ukrywać.

– Jak długo zajęła panu droga?

– Niecałe osiem godzin. Nasza druga linia wydaje się tu bardzo dobrze umocniona.

Kahler kiwa głową.

– Bo tak jest. Rosjanie nie mają szans zająć Dolnego Śląska. Gdyby się porwali na atak, straciliby tu setki tysięcy ludzi. Jakiegokolwiek uderzenie będzie czystym szaleństwem.

– Ponoć Breslau jest szykowany na twierdzę – rzucam, dzieląc się wiadomością, którą zdobyłem w trakcie drogi. – Jak zresztą kilka pobliskich miast.

– A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

Kahler przeczesuje palcami włosy i z rezygnacją wzdycha. Obraca między palcami ołówek, po czym wyciąga z szuflady biurka plik kartek.

– Czy moi przełożeni powiedzieli, jakie żywią wobec pana plany?

– Nie, ale...

Uśmiecham się niepewnie i w kilku zdaniach kreślę mu moją sytuację. Pokazuję również odpowiednie pisma z Berlina.

– Poza tym... – wtrącam niby mimochodem, co też zrobiłem w trakcie rozmowy z dowództwem obozu – dysponuję kilkuset dokumentami rozmaitych procedurów oraz eksperymentów przeprowadzonych w Auschwitz i Birkenau.

Kahler przygryza wargę i odrywa strzęp kartki. Kreśli na niej kilka słów.

– Będzie pan pracował jako obozowy lekarz – oznajmia. – Ale wcześniej będzie pan musiał przybrać fałszywe dane oraz założyć mundur Wehrmachtu.

– Nie rozumiem. – Spoglądam na niego z ukosa. – Dlaczego?

– Nie rozumie pan?

Kahler teatralnie kręci głową.

– Alianci polują na takich jak pan. A sądzę, że niebawem może się pan znaleźć wysoko na ich liście.

Te słowa, zamiast strachem, napawają mnie dumą.

89.

– Znowu uciekać? Dokąd? Po co?

Uśmiecham się ironicznie i kręcę głową. Przysadzisty major Wehrmachtu pozostaje całkowicie poważny. Ma interesujący kolor oczu – coś na pograniczu zieleni oraz niebieskiego. Akwamaryn? Tak go się określa? Żałuję, że nie mogę zaproponować mu wykonania portretu. Tylko kto i w jakim celu miałby go namalować? Te myśli to całkowite szaleństwo.

– W każdej chwili możemy zostać okrążeni. Ponoć trwają rozmowy o kapitulacji.

– Nie wierzę...

– A widzi pan inne wyjście?

– Owszem.

Wyprostowuję się i znacząco klepię po kaburze pistoletu. To moje wyjście. Nie dopuszczam innego. Chyba że miałbym iskierkę nadziei, że istnieje dla nas jakakolwiek sensowna przyszłość. Tymczasem Niemcy są na skraju upadku. Przegrały starcie cywilizacji. Może wcale nie jesteśmy genetycznie uprzywilejowaną rasą panów? Może właśnie taka przyszłość została zapisana w naszych genotypach?

– Kapitanie Memling...

Przywołanie wymyślonego przeze mnie nazwiska wyrywa mnie z zamyślenia. Nagle wszystko wydaje mi się banalne i śmieszne. Cała ta wojna, eksperymenty, badania, nawet życie... Czy istnieje jakikolwiek sens? Kiedyś, gdy z dziecięcą łatwowiernością dopuszczałem istnienie Boga (dopuszczałem, ale wcale nie byłem jego pewien), rzeczywiście można było mówić o sensie przetrwania. Może religie są właśnie po to? Mają dawać sens.

– Dokąd mielibyśmy się wycofać? – pytam, umyślnie nie używając słowa „ucieczka”.

– Zamierzamy kierować się ku Bawarii.

– A potem?

– Tam Rosjanie na pewno nie dotrą.

Śmieję się nerwowo. Wkładam dłonie do kieszeni i kopię jakiś obły kamień. A jednak wciąż tkwi we mnie dziecko.

– A Amerykanie? A Brytyjczycy? Armia Pattona ponoć dopiero nabiera impetu.

– Przecież nie zajmą całej Rzeszy!

Major jest optymistą, lecz nie zamierzam z nim polemizować. Rozmowy o przyszłości bez względu na rozeznanie ich uczestników opierają się na założeniach czysto teoretycznych. Żadna racja nie jest stuprocentowa. Największy absurd może się ziścić.

– Miejmy taką nadzieję... – stwierdzam. – Oby...

– To jak?

Zerkam na ciężarówkę, na którą wskazuje major. Jest w niej już kilku oficerów. Szykują się do wyjazdu. Niektórzy się śmieją, inni są śmiertelnie poważni, jeszcze inni gadają sami do siebie. Coraz częściej spotyka się pijanych żołnierzy. Już nikt nad niczym nie panuje i nikt nie myśli o walce. Najważniejsze jest ratowanie własnej skóry.

Ucieczka. Wycofanie. Odjazd. By przyszłość nie była tworem jedynie teoretycznym.

– Dobrze – zgadzam się, ruszając w stronę pojazdu. – Skoro znajdzie się dla mnie miejsce, muszę skorzystać.

90.

– Stać, stać!

Zataczający się żołnierze zatrzymują nas na drodze. Z daleka wymachiwali do nas karabinami. Siedzący obok mnie oficerowie ukradkiem wyciągają pistolety. To może być zasadzka. Wszystko jest teraz możliwe, a jednak wydaje mi się, że chodzi o coś całkowicie innego.

– Przepuście nas! – krzyczy siedzący za kierownicą porucznik. – Jedziemy z pomocą do szpitala. Mamy tu medyków.

– Stać, stać!

Żołnierze podchodzą do ciężarówki i opierają się o nią rękoma. Ich twarze są czerwone, a spojrzenia rozbiegane. Z ich min nie potrafię niczego wyczytać. Niczego poza tym, że są podpici. Znajdujemy się w centralnej Bawarii, kilkanaście kilometrów od docelowego punktu podróży. Liczyłem, że dziś lub jutro spotkam się z rodziną.

– Wysiadajcie i chodźcie do nas!

Kierujący porucznik nie zamierza z nimi rozmawiać. Gwałtownie wyciąga pistolet i mierzy w jednego z żołnierzy.

– Przepuście nas albo zaczniemy strzelać. Natychmiast zróbcie miejsce!

Żołnierze niemal nie zwracają na niego uwagi. Spoglądają po sobie i wymieniają jakieś uwagi.

– To wy nic nie wiecie? – pyta jeden z nich. – Nie macie o niczym pojęcia, prawda?

– O czym niby mielibyśmy mieć pojęcie?

Żołnierze po raz kolejny wymieniają spojrzenia.

– Hitler nie żyje – rzuca jeden z nich. – W radiu podano, że zginął w Berlinie. To koniec.

Tracę dech. Zdaje mi się, że ściany ciężarówki zacieśniają się, a z wnętrza ulatuje tlen. Robi mi się potwornie duszno i nie mogę złapać powietrza. Nie ja jeden. Wszyscy z niedowierzaniem spoglądamy po sobie.

– Kłamiesz... – cedzi porucznik. Jednak w jego tonie nie ma ani krzty przekonania. – Kłamiesz...

Głos mu się załamuje, a dłoń opada na kierownicę. Siedzący obok mnie mężczyzna w mundurze podpułkownika wyciąga pistolet. Nie mam wątpliwości, że podobnie jak ja służył w SS. Nim ktokolwiek reaguje, przykładą wylot lufy do skroni i naciska spust. Fragmenty kości oraz mózgu rozbryzgują się wokół. Czuję jego krew na swoim policzku. Mimo to, całkowicie zdrętwiały, nie mogę zmienić pozycji. Myślę, że gdybym miał teraz dość siły, również strzeliłbym sobie w łeb.

Jeszcze nie teraz. Przyjdzie na to czas.

91.

Nie mogę spotkać się z bliskimi. Choć z grupą kilkudziesięciu żołnierzy tkwimy w lesie zaledwie dwadzieścia kilometrów od mojego domu rodzinnego, udało mi się jedynie przesłać krótką wiadomość. W zamian otrzymałem nieco mięsa oraz konserw. To i tak wiele. Niektórzy głodują, więc całą porcję skrzętnie dzielimy.

Wiemy o kapitulacji. Wiemy, że Amerykanie przeczesują okolicę w poszukiwaniu niedobitków naszej armii, ale wspólną decyzją na razie nie zamierzamy się poddać. Jednak nie mamy żadnego planu. Ukrywanie się wcale nie jest lepsze od niewoli. Jak nisko musi upaść człowiek, aby stać się zwierzęciem włączającym się po leśnej głuszy?

– To niegodne – szepczę. – To nie ma sensu...

Gdzieś w głębi lasu pada strzał. Pojedynczy.

Przez chwilę wszyscy nasłuchujemy, wreszcie wracamy do pustego rozmyślania. Pojedynczy strzał oznacza, że któryś z nas odszedł od obozowiska i skończył ze sobą. To dzieje się niemal bez przerwy.

Jeszcze przed paroma dniami oddział liczył niemal dwustu ludzi. Wielu się zastrzeliło, wielu oddało do niewoli.

– A my? – pyta Berstauer.

Znam tylko jego fikcyjne nazwisko. Domyślam się, że służył na froncie wschodnim i ma wiele na sumieniu. Przynajmniej zdaniem Amerykanów, gdyż jak dla mnie, wszelkie metody stosowane przez nasze wojska były niewystarczające. Należało po sobie pozostawić zgliszcza i trupy. Nic więcej.

– Masz tatuaż? – pytam, nie podnosząc wzroku.

– Tak...

No właśnie. To jego problem.

– A ty?

Kręcę głową. W związku z przenosinami między formacjami udało mi się uniknąć obowiązku wytatuowania grupy krwi, czyli naznaczenia znakiem SS, po którym Amerykanie wyłapują kolejnych z nas. Mnie nie rozpoznają. Nie mają możliwości.

A jeśli? Co mnie czeka?

Jak długo będę stawiał sobie te pytania? Tydzień? Miesiąc? Rok? To szaleństwo. Powiniennem albo ze sobą skończyć, albo spróbować rozpocząć nowe życie. Nie ma innego wyjścia, a wszystkie kroki pośrednie są jedynie błędzeniem. Odraczaniem nieuchronnego i zezwierżeniem.

– To niegodne – powtarzam.

Wstaję i przyglądam rękawy munduru. Przez ostatnie tygodnie z trudem udało mi się utrzymać jego stan oraz czystość. Brak higieny oraz warunki, w których przebywamy, są dla mnie niedopuszczalne. Już tak dłużej nie dam rady.

– Poddam się Amerykanom – oznajmiam siedzącym w pobliżu. Nikt nie zwraca na to uwagi. Każdy ma swoje problemy i roztrząsa te same dylematy co ja. – Żegnajcie. Będzie, co będzie.

Berstauer ściska moją dłoń. Nie wiemy o sobie niemal niczego, a jednak czujemy do siebie sympatię. Wymieniamy długie, porozumiewawcze spojrzenia.

– Powodzenia – mówi. – Może się jeszcze spotkamy.

– Oby nie – odpowiadam z bladym uśmiechem.

Oby nie.

92.

Dwóch żołnierzy amerykańskich odbiera ode mnie broń i popycha w stronę niewielkiego namiotu. Przed jego wejściem zostaję jeszcze raz przeszukany, a strażnik zerka w moje dokumenty. Przez chwilę się im przygląda, wreszcie podaje komuś kolejnemu. Działam jak automat. Nie analizuję ani nie sprzeciwiam się jakimkolwiek procedurom.

– Josef Memling... – mamrocze oficer, który siedzi za prowizorycznym biurkiem zrobionym z metalowych tanków na benzynę przykrytych pstrokatą ceratą. Obok niego ustawiono szafkę z przegródkami oraz gramofon.

Odczytuje mój przydział służbowy, jeszcze raz zerka w dokumenty, po czym sięga do jednej z przegródek. Wyciąga z niej grupy plik kartek, które powoli przerzuca. Zatrzymuje się na jednej ze stron.

– Gdzie służyliście?

Wymieniam nazwę jednostki oraz medyczny przydział służbowy. Nie czuję strachu. Właściwie jest mi wszystko jedno, co się wydarzy. Choć... Choć wcale nie. Nie chcę skończyć na szubienicy.

– Dobrze. – Amerykanin podnosi wzrok i pobieżnie na mnie zerka. Jest zmęczony. Panujący upał zwiększa nieuwagę oraz pośpiesza. Między innymi właśnie dlatego wybrałem na poddanie się dzisiejszy dzień. Temperatura przekracza trzydzieści stopni, a wilgotność jest

tak duża, że twarze nas wszystkich pokrywa pot. Nie można wyczytać w nich zdenerwowania ani strachu. To zmęczenie. I rezygnacja.

– Poczekacie na zweryfikowanie i zostaniecie zapewne zwolnieni – oznajmia znudzonym głosem oficer. – W obozie nie ma już prawie miejsca, by trzymać was wszystkich. Do licha...

Ociera chusteczką pot z czoła i daje znak ręką strażnikowi. Ten lekko chwyta mnie za łokieć.

– A dokumenty? – pytam.

– Ach, tak. Dokumenty.

Oficer oddaje mi wszystkie papiery, po czym zostaję wyprowadzony z namiotu. Mam nadzieję, że nie spotkam tu żadnego ze strażników obozów, w których bywałem. Nikogo, kto będzie w stanie mnie rozpoznać.

– Tamtędy. – Żołnierz wskazuje mi, że mam się kierować między drewnianymi słupkami robiącymi za bramę w ogrodzeniu z drutu kolczastego. W oddali widzę rozległe pole oraz rzędy równo rozbitych namiotów. Pomiedzy nimi krążą pozbawieni insygniów niemieccy żołnierze. Teraz jestem anonimową tkanką w tym zdegradowanym, chorym organizmie.

Będę musiał się przyzwyczaić.

93.

– Jesteście wolni.

Słowa amerykańskiego podoficera przyjmuję z mieszanymi uczuciami. Pochylam głowę i mierzę go baczным spojrzeniem.

– Wolny? Ot tak? I co teraz?

– Weźcie los w swoje ręce, tak jak już raz to zrobiliście.

Nie wiem, co dokładnie ma na myśli ten chłystek, ale nie obchodzi mnie to. Zbywam go kpiarskim uśmiechem i wkładam dłonie do

kieszeni.

– A moja broń? – pytam chętnie. – Jestem żołnierzem.

– Byliście.

Parskam i nie wyjmując dłoni z kieszeni, ruszam do wyjścia. Staram trzymać się prosto, choć nie wiem, co teraz robić. W obozie przebywałem pod fałszywym nazwiskiem. Nikt mnie nie rozpoznał, lecz wiem, że Josef Mengele jest poszukiwany przez Amerykanów, Polaków i Sowieców. Dlatego nie mogę wrócić do domu. Nie mogę się ujawnić i prowadzić normalnego życia. Nie mam też możliwości zatrudnienia się na żadnej uczelni.

Czuję przytłaczającą pustkę. Nie jestem osadzony w żadnej przestrzeni ani w żadnym czasie. Jestem nikim. Dopiero teraz dociera to do mnie z całą powagą. Nie mam dokąd pójść ani gdzie wrócić. Nie mam nawet nazwiska.

– Co teraz? – pytam szeptem sam siebie.

Idę powoli, krok po kroku między posterunkami. W obozie pozostało już niewiele jeńców. Zdecydowana większość została przez Amerykanów zwolniona. Oni również nie wiedzą, co z nami począć. Zdaje się, że żałują, iż pozwolili na bezwarunkową kapitulację Rzeszy. Wynikły z tego same problemy, a niektórzy twierdzą, że wojna z Moskwą wisi w powietrzu. To szansa dla nas wszystkich. Wtedy być może znów stalibyśmy się potrzebni. A jeśli nie...

Jeśli nie, wierzę, że potrzebne mogą okazać się wyniki moich badań. Dokumentacja wciąż leży zakopana w lesie. Mógłbym za nią zdobyć obietnicę nietykalności. Tylko czy mogę komukolwiek ufać?

Nie. Amerykanie są zbyt infantylni i zbyt wrażliwi, aby pojmować naukę w sposób, w jaki ja to robiłem. Dlatego zrzucili tylko dwie bomby atomowe i dlatego nie bombardują teraz Moskwy. Świat mnie nieustannie rozczarowuje.

94.

Czekam na Irene u wejścia do lasu. W przemyconym liście dokładnie jej opisałem to miejsce i prosiłem o punktualność. Zerkam na zegarek. Spóźnia się już o kwadrans.

Cholera. Cholera.

Zerkam w dal, na krętą drogę prowadzącą wśród pól i nieużytków. Za linią niskich, poskręcanych drzew dostrzegam samotną postać. To chyba ona. Tak, na pewno.

– Irene...

Robię kilka kroków i staję na skraju lasu. Unoszę dłoń, po czym do niej macham. Odpowiada mi tym samym. Nagle zaczyna biec, pędzić w moją stronę jak dzikie zwierzę wybiegające na spotkanie stada. Uśmiecham się. Również ruszam w jej stronę i po chwili wpadamy sobie w ramiona. Niczym zakochane dzieci. Nawet czuję z tego powodu nagły wstyd i wywijam się z jej objęcia.

– Dobrze cię widzieć – szepczę. – Wyglądasz pięknie. Naprawdę!

Nic nie mówi. Ciągnę ją za rękę między drzewa, tak by nikt nie mógł nas dostrzec. Gdy stajemy na uboczu, przeczesuję dłonią jej piękne włosy. Ileż włosów badałem w ostatnich latach?

– Co z ojcem?

– Jako pracownik sektora zbrojeniowego Rzeszy trafił do obozu – odpowiada natychmiast. – Pisał, że wszystko u niego w porządku i niebawem wróci do domu.

Z ulgą wypuszczam powietrze.

– A Aloise?

– Nie ma wstępu do fabryki. Amerykanie ustanowili nadzorcę tymczasowego. Jednak mamy nadzieję, że wszystko się niebawem wyjaśni.

– Musi...

Zawieszam głos i spoglądam jej w oczy. Irene stara się uśmiechnąć, lecz wie, że przy mnie nie musi udawać. Jest jej ciężko. Nie tylko jej.

– Jak się ma nasz syn? – pytam, choć doskonale wiem, jaka przyszłość nas czeka.

– Dobrze.

– Chciałbym go zobaczyć...

– Josef...

Irene wybucha płaczem, a ja z trudem opanowuję emocje. Przelykam ślinę i wbijam wzrok w ziemię. Gdzieś w głębi lasu żalobnie kracze kruk. Co za romantyzm okoliczności. Psia mać.

Podchodzę do żony i ją przytulam. Całuję ją w czoło i we włosy. Zachłannie dotykam jej karku, ramion, dłoni...

– Tak bardzo chciałbym go zobaczyć – powtarzam. – A... Nie wiem, co będzie. Mam możliwość pracy w gospodarstwie kilkadziesiąt kilometrów stąd.

– Jak długo?

Tak, Irene doskonale mnie rozumie. Nie mnie. Rozumie sytuację.

– Nie wiem – odpowiadam szczerze. – Może na zawsze.

– Boże...

Przytulam ją jeszcze mocniej i zaciskam zęby. Mam ochotę krzyknąć. Mam ochotę skończyć z tym wszystkim i pograć się w nicości.

– Kochanie... Josef... – Irene bierze moją twarz w dłonie i mruży oczy. Mruga, starając się powstrzymać płacz. – Czy...

Wymownie zawiesza głos, a jej wargi pozostają lekko rozchylone.

– Czy co? – pytam, choć wiem, o co chce spytać.

– Czy to wszystko, co o tobie mówią, to prawda?

Domyślam się, co mówią. Nie przeszkadza mi to i nie zamierzam się wypierać. Nagle czuję przyływ dumy oraz napływające poczucie sensu. Skoro o mnie mówią, to oznacza, że przetrwałem. Że osiągnąłem to, czego chciałem.

– Wszystko może nie – stwierdzam oględnie. – Znasz mnie. Ale zapewne znaczna część jest prawdą. W ciągu ostatnich dwóch lat odwaliłem dla nauki kawał świetnej roboty. Nie zapominaj o tym. I nigdy się mnie nie wypieraj.

Całuję ją jeszcze raz w czoło i się odwracam. Ignoruję jej wyciągniętą rękę i cichy szloch. Powolnym krokiem odchodzę w głąb lasu. Kończę stare życie i będę musiał po prostu trwać. Jako bezimienny robotnik w gospodarstwie bawarskiego bauera. Różnimy się tylko tym, że jego przeszłość ma czystą kartę, a moja zapisała się w historii.

95.

Gospodarz przyjmuje mnie niemal bez słowa. Zamiast rozmawiać o pracy, każe usiąść i zjeść kolację. W tym czasie odmawia modlitwę, jakby prosił o odpuszczenie moich win. Jego żona, około sześćdziesięcioletnia wiejska dama, uważnie mi się przypatruje. To poczciwi, prości ludzie, którzy mają spory majątek. Po uwolnieniu pracowników przywiezionych ze Wschodu brakuje im rąk do pracy. To powszechny problem, ale ponoć wielu gospodarzy pilnie weryfikuje przybyłych robotników. Szukają zemsty za swoje niepowodzenia. Ten tutaj został uprzedzony, że będzie miał do czynienia z byłym żołnierzem. Polecili mnie przyjaciele, którzy obiecali również rozpostrzec nade mną parasol ochronny. Odpowiednie zgody podpisał nawet zarządca powiatu. Wszystkie papiery są całkowicie czyste. Jedyne moje prawdziwe nazwisko pozostaje nieznane.

– Czym mam się zajmować? – pytam, odsuwając niemal pusty talerz. Po raz pierwszy od dawna żałuję, że do posiłku nie poczęstowano mnie winem. Czuję nieodpartą chęć upicia się. Albo przynajmniej mocnego wstawienia.

– Rozpoczniesz od prostych prac. – Gospodarz zwraca się do mnie wprost. – Posprzątania stajni oraz chlewu, potem przejdziemy do młockarni.

– Rozumiem.

– Mam nadzieję, że masz dość siły i nie brzydzisz się takiej roboty.

– Nie – odpowiadam stanowczo.

To kwestia przetrwania. Nie ma innego wyboru, więc zrobię, co tylko ten człowiek mi każe. Nie boję się żadnej pracy. Jakaś część mnie każe mi wierzyć, że za miesiąc, rok lub dwa lata sytuacja może ponownie całkowicie się zmienić. Znowu nastanie dla mnie dobry czas.

Szkoda mi tylko, że nie mogę spotkać się z bliskimi. Będę samotny. Będę całkowicie zapomniany, ale i to musi się kiedyś zmienić.

A jeśli się nie zmieni? Jak długo można żyć nadzieją i marzeniami? Irene, zgodnie z moją dyspozycją, ogłosiła wszem wobec, że nie otrzymała ode mnie żadnych wieści od wielu miesięcy. Uznano mnie za martwego. Zamówiła nawet w naszej parafii mszę żałobną za moją duszę. Ksiądz ponoć nie robił żadnych problemów.

Może dla niej naprawdę jestem martwy? A mój syn? Nie widywałem ich często, ale dla przyszłości każdego mężczyzny liczy się potomstwo. Nawet jeżeli ma się pewność, że trafiło się na karty historii, naturalny instynkt każe przekazać geny. Bez tego wszystko, co osiągnęliśmy, jest tylko mgnieniem oka.

Z zamyślenia wrywa mnie szorstki głos gospodarza.

– Powinien się pan wyspać.

Mężczyzna nagle przechodzi na oficjalną formę. Podnosi się ciężko od stołu i zasuwa krzesło. Zerka na zawieszony nad stołem zegar. Jest dopiero siódma, ale najwyraźniej w tym domu dzień zaczyna się bardzo wcześnie. To mi nie przeszkadza.

– Będzie pan spał w naszym jedynym pokoju gościnnym. Ale gdy ktoś przyjedzie nas odwiedzić, będzie musiał się pan przenieść do stajni.

- To nie będzie problemem.
 - Świetnie. Zatem jutro do roboty.
- Jeszcze niedawno to ja wydawałem to polecenie.

96.

Zmęczony pracą, tylko w niedziele mam dość siły, by dowlec się do pobliskiego miasteczka. Robię to regularnie, dla samego zdrowia psychicznego. Mam tam kilku znajomych z widzenia, którzy dzielą się ze mną wiadomościami. Otrzymuję gazety zebrane z całego tygodnia oraz garść plotek. Tak jest i tym razem.

– Nie porozmawia pan z nami? – pyta staruszek z laską, z którym czasem przesiaduję, gawędząc i patrząc w niebo.

– Nie, dziś mam za dużo na głowie.

To kłamstwo. Nie mam nic konkretnego do zrobienia, lecz nie chce mi się z nimi rozmawiać. To bezproduktywne. Poza tym nie mogę się doczekać przeczytania najnowszych relacji z przebiegu procesów norymberskich. Czym prędzej odchodzę.

Siadam na ławce na uboczu i pośpiesznie otwieram gazety. We wszystkich natrafiam przynajmniej na jedną wzmiankę. Niewiele się zmieniło. Oskarżeni są przypierani do muru, zmuszani do wzajemnego oskarżania się i lawirowania. To osaczona zwierzyna, która nie żywi już szans na ucieczkę. Ja nadal ją mam...

Tracę jednak wiarę, że sytuacja Niemiec zmieni się w najbliższych miesiącach. Nie widzę możliwości, by władze okupacyjne zrezygnowały ze swoich planów kompletnego upodlenia naszego narodu i rozkradzenia państwa. Gospodarka już upadła, ludzie głodują, majątki są dzielone, a klasa polityczna właściwie nie istnieje.

Tymczasem oskarżeni prowadzą swoją grę z oskarżycielami. Wszystko zmierza do rozliczenia całej przeszłości. Kto jest sędzią?

Oczywiście zwycięzcy. Tak właśnie toczy się historia. Nic nie zmieniło się od czasów Aleksandra Wielkiego i Juliusza Cezara. Będziemy oczerniani i opluwani tak, jak tylko zechcą nas oczernić i opluć Sowieci i Amerykanie. Nic nie zdołamy na to poradzić.

Mnę gazety i wyrzucam je do kosza. Poza procesami niewiele mnie interesuje. To wszystko kłamstwa i ponura propaganda aliantów. Nie ma niezależnych gazet ani relacji. Nie wierzę nikomu. Sam jestem w stanie ocenić rzeczywistość, w której mój gospodarz, mimo niemal katorżniczej pracy, ledwie wiąże koniec z końcem. A ja razem z nim.

– Panie doktorze...

Te słowa zwracają moją uwagę. Rozglądam się, zaciekawiony, kogo w tym małym miasteczku nazywa się doktorem.

Ze zdziwieniem zdaję sobie sprawę, że niski, umorusany chłopiec bez butów zwraca się wprost do mnie.

– Panie doktorze... – Trzyma się na dystans kilku metrów, jakby obawiał się, że zechcę go złapać.

– Nie jestem doktorem – odpowiadam. – To znaczy...

Nie kończę. Chłopiec nie zamierza mnie słuchać. Domyślam się, że ma do przekazania jakąś wiadomość i nie interesuje go, co powiem ani kim jestem. Być może nawet stąd nie pochodzi.

– Pańska matka zmarła w szpitalu – oznajmia. – Ojciec jest nadal w obozie, ale żona i brat mają się nieźle.

Po tych słowach malec odwraca się na pięcie i rzuca przed siebie. Nie chcę go ścigać. Czuję ucisk w żołądku i posmak żółci w ustach. Matka nie żyje... Zmarła w chwili, gdy ludzie opowiadają o mnie te wszystkie straszne rzeczy. Ale ona im z pewnością nie wierzyła. Przecież wie, jaki jestem.

Wiedziała – poprawiam się, przetykając płacz.

– Irene.

Spotykamy się ponownie na moją wyraźną prośbę. Wiem, jak wiele ryzykuję, ale nie mogłem tego zostawić. Nie mogłem odciąć się od normalnego życia. Praca na gospodarstwie mnie wykańcza. Zabija mnie każda przerzucona łopata gnojówki i każde przelane wiadro ścieków. Może to niegodne mężczyzny, ale mam dość.

Znajdujemy się na niewielkiej polanie w lesie. Po wiosennych roztopach podłoże jest bagniste, a w powietrzu unosi się zapach zgniłej wilgoci.

– Tak mi źle, że nie mogłem być nawet na jej pogrzebie... Powiedz, przyszło wielu ludzi?

Irene nie odpowiada. Spogląda na mnie zaciętym wzrokiem i zagryza wargę. Jej oczy błyszczą.

– Co się stało? – pytam, stając o krok przed nią.

– Znowu o tobie pisali – stwierdza oschle. – Ludzie mówią...

Cholera. Już ja wiem, co mówią. Tylko dlaczego Irene w ogóle ich słucha? Zdenerwowany kręcę głową i gniewnie parskam. To żalosne.

– Naprawdę cię to obchodzi? Wierzysz im?

– A czy to nie jest prawda?

– Już ci mówiłem. Już to przerabialiśmy!

Odwracam się i otwartą dłonią uderzam chropawy pień drzewa. Kawałki kory wbijają mi się w skórę. Mam jednak tyle odcisków oraz zgrubień, że nie pojawia się nawet kropla krwi.

– Chcę poruszyć dwie sprawy. – Irene ciągnie sztucznym tonem, przez który nie mam wątpliwości, że przygotowywała się do tej rozmowy niczym aktor do roli teatralnej. – Słuchasz mnie, Josef?

Odwracam się do niej i kiwam głową. Muszę zachować się godnie. Staję wyprostowany, choć ubranie na mnie wisi i jest całe w strzępach. Mniejsza o to.

– Mów – nakazuję.

Uśmiecha się delikatnie, jakby bawił ją mój rozkazujący ton. Cicho wzdycha.

– Po pierwsze: coś ci przyniosłam. Powiedziano mi, że to zawsze jakaś możliwość...

– Chyba nie rozumiem?

W odpowiedzi podaje mi niewielką fiolkę ze szkła o cylindrycznym kształcie. Ostrożnie ją biorę i obracam między palcami. Nie mam wątpliwości, co jest w środku.

Cyjanek. Stworzono dziesiątki tysięcy podobnych dawek pomocnych w rozwiązywaniu problemów. Swoją otrzymałem od Obersturmbannführera jeszcze w Auschwitz, jednak w dniu ewakuacji zostawiłem ją w biurku. Wtedy nie dopuszczałem myśli, że może się przydać. Potem wielokrotnie żałowałem, że nie mam jej przy sobie.

– Dziękuję. – Zaciskam dłoń i chowam fiolkę do kieszeni. Trucizna sprawia, że odzyskuję spokój. To dziwne uczucie, ale wynika z przeświadczenia o tym, że znów mam los w swoich rękach. Nawet nie nosząc u boku kabury z pistoletem. – A druga sprawa? Były dwie, prawda?

Irene odruchowo zaczesuje włosy za uszy i poprawia kapelusz. Rozgląda się, jakby dopiero teraz obawiała się, że ktoś nas podsłuchuje. Zniża głos, ale nie przybliżyła się w moją stronę ani o krok.

– Chcę się rozwieść – oznajmia pustym głosem. – A jeśli to niemożliwe, chcę żyć własnym życiem. Bez ciebie.

To kolejny cios zadany mi prosto w serce w ciągu ostatnich dni. Zastanawiam się tylko, czy oświadczenie Irene wiąże się z prezentem, który mi przed chwilą wręczyła. Może to dwie strony tego samego medalu. Może. Chyba tak.

98.

– Twój ojciec został wypuszczony z obozu, a najmłodszy brat wraca z Jugosławii. Firma się rozwija.

Po tych słowach przybyły do gospodarstwa mężczyzna zerka na mnie wymownie. Myślałem, że jest wysłannikiem Irene, ale on przyszedł z wieściami prosto od rodziny. Stanowi posłanca interesów, a nie uczuć. Ma pociągłą twarz i rzadkie włosy siwiejącego blondyna. Zaczesa je do tyłu, przez co uwydatnia wysokie czoło. Kiedy mówi, widać jego drobne, białe zęby. To ciekawy rasowo typ niemal wzorowego Aryjczyka.

– Czy chciano przekazać mi coś więcej? – dopytuję, domyślając się drugiego dna tej wizyty.

Mężczyzna nie odpowiada. Nie zdradza żadnej myśli ani żadnych emocji. Zakłada dłonie za plecy i zerka w głąb podwórza. Gospodarze wyjechali dziś do miasteczka. Zostałem tu sam, choć mam niewiele do roboty. W ostatnich miesiącach inflacja jest tak wysoka, że mamy problem ze zdobyciem podstawowych towarów, a sprzedaż produktów rolnych odbywa się jakimiś pokątnymi drogami. Okupanci chcą ostatecznie wykończyć Niemcy. Wdrażają swój plan zajęcia niemieckiej przestrzeni życiowej, choć chcą to zrobić w białych rękawiczkach.

– Przekazano mi to...

Mężczyzna wyciąga coś z kieszeni, a ja przymykam oczy. Trucizna? Pieniądze? Nawet nie chcę się domyślać. Choć otrzymywałem regularne wsparcie od bliskich, ich nastawienie w ostatnich tygodniach zaczęło się zmieniać. Mniej wiadomości, mniej spotkań, mniej obietnic. Jakby chcieli się ode mnie odciąć. Tym bardziej że sytuacja polityczna nie nastraja optymistycznie.

Rodzinną firmę powinna się rozwijać, a ja mogę być dla niej obciążeniem. Zdaję sobie z tego sprawę. Nie mam też żadnych złudzeń

co do swojej przyszłości. W procesie nazistowskich lekarzy połowę oskarżonych skazano na karę śmierci. To jest mi pisane, jeśli tu zostanę.

– Proszę.

Otwieram oczy i zerkam na plik kartek trzymany przez mężczyznę. W drugiej dłoni wymachuje paszportem.

– W uzgodnieniu z pańską żoną rodzina proponuje pomoc w wyjeździe do Ameryki Południowej – wyjaśnia nieznajomy. – Nawiązano już właściwe kontakty, a to... To pańskie dokumenty, które pozwolą przejechać przez dowolne granice.

– A w drugiej ręce?

– Cena ich uzyskania.

Nie bardzo rozumiem, ale sięgam po kolejny plik kartek. Przerzucam je i z niedowierzaniem kręcę głową. To prostsze, niż mogłoby się wydawać. Zrzeczenie się spadku po ojcu oraz jakichkolwiek roszczeń do rodzinnej firmy... Kto to zaplanował? Alois? Nie sądzę. Ojciec? Z pewnością nie. A może to wynik zimnej kalkulacji i jedyny sposób na ich przetrwanie? Oni mogą spoglądać w przyszłość, a ja jestem przeszłością. W ten sposób starają mi się to uświadomić.

– Ma pan pióro?

Mężczyzna wyciąga długopis i bez słowa mi go podaje. Kreślę podpisy we wskazanych przez niego miejscach. Oddaję mu kartki, a on wręcza mi paszport. Cicho szepcze nazwę miejscowości oraz lokalu, w którym mam się stawić.

– Powodzenia – mówi, odchodząc. Nie sądzę, by było to szczere życzenie.

Opuścili mnie wszyscy, na których mogłem polegać. Rodzina, przyjaciele, żona. W zamian opiekę roztoczyła nade mną organizacja wojennych kamratów. Domyślam się, że tworzą ją byli członkowie SS, którzy pozostają w ukryciu. Słyszałem o dziesiątkach oficerów oraz towarzyszy partyjnych, którzy wyemigrowali do Ameryki Południowej. Teraz mam podążać ich śladem.

Przygotowania do mojej ucieczki zajęły kilka miesięcy. Przez ten czas dostałem sporo gotówki oraz nawiązałem kilka kontaktów. Gospodarz, u którego mieszkam, z pewnością czegoś się domyśla, ale o nic nie pyta. Jakby chciał mnie wyręczyć w podjęciu ostatecznej decyzji, oznajmił jedynie, że nie będzie mi mógł zapłacić za kolejny sezon. Gospodarstwo upada.

Moi współnicy zapewniają, że wszystko powinno się udać. Zwyczajowa trasa ewakuacji prowadzi przez Tyrol do Genui. Przyszłość po raz pierwszy od dawna rozbudza moją ciekawość. Nie martwię się. Zgadzam się na to, co przyniesie mi los. Nie ma potrzeby oczekiwać zbyt wiele, tym bardziej, gdy dotychczasowe lata życia przeżyło się z pełną intensywnością.

Spoglądam na zawartość walizki. Upchnąłem w niej rzeczy osobiste oraz kilka książek. Opowiadania grozy Hoffmanna, dzieła Emily Brontë oraz kilka prac starożytnych autorów. Swoje notatki ukryłem pod podszewką, choć nie wiem, czy to dobry pomysł. Tylko one mogą zdradzić, kim jestem w rzeczywistości. Poza tym... Poza tym zgodnie z planem mam sprawiać wrażenie zamożnego turysty, który nieopatrznie przekroczył w górach granicę. To się zdarza. Dlatego sprowadzono dla mnie szyty na miarę garnitur oraz elegancką laseczkę ze srebrną główką służącą do wędrówek. Gotówka ma rozwiązać wszelkie nieprzewidziane problemy. Będę miał przy sobie kilka tysięcy marek.

Zamykam walizkę i ściągam klamry. Jeszcze raz rozglądam się po pokoju, który był moim domem przez ostatnie cztery lata.

Postanowiłem, że tej ucieczki... to jest ewakuacji, spróbuję tylko raz. Nie będzie innych prób. Jeśli zostanę zatrzymany, definitywnie skończę tę mordęgę. Już wszystko przemyślałem.

Upewniam się, że szklana fiolka z cyjankiem tkwi bezpiecznie w mankiecie marynarki. Wystarczy, abym palcem rozpruł poluzowany szew, i natychmiast ją wydobędę. Trucizna działa w ciągu kilku sekund. Nikt nie będzie mógł mnie odratować i postawić przed sądem. Nie boję się kary śmierci, lecz upokorzenia procesem. Poza tym chcę żyć i spisać swoje wspomnienia. Nie mogę tego zrobić w Europie.

– Czas w drogę... – szepczę, zachęcając się do działania. Mój głos brzmi dziwnie szorstko i niepewnie. – Szybciej, szybciej – dorzucam dawnym, rezolutnym tonem.

Unoszę ręce i dyryguję jak niegdyś przy selekcjonowaniu więźniów obozu. Sam sobie daję znak do wyjścia. Zerkam na zegarek i wiem, że nie mogę już dłużej czekać. Gospodarz nie powinien mnie zdradzić. Zostawiłem mu krótki list, w którym przedstawiłem zmyślane powody swojego wyjazdu wraz z prośbą, by o nim na razie nie rozpowiadał. Potrzebuję tylko nieco czasu. Za trzy lub cztery dni będę niemal wolny.

Albo martwy – dodaję w myślach.

100.

Przedarcie się przez Alpy do Genui zawdzięczam tylko szczęściu. Gdyby nie ono, nie miałbym żadnych szans dotrzeć na teren Włoch. Zastanawiam się nad tym i nad istotą przypadku w ogóle. Czy statystycznie nasze życia zależą właśnie od niego? Od losu? Od uśmiechu przeznaczenia?

Bzdury. Sami mamy w rękach nasz los. To, że we mgle nie dostrzegłem posterunku pograniczników, to tylko moja wina. Moja, ewentualnie mojego przewodnika. To, że puszczono nas dalej jako zwykłych turystów, którzy zboczyli ze szlaku, to również zasługa tego, że uwierzyli w nasze historie. Gdybyśmy nie byli przekonujący albo mieli gorzej podrobione dokumenty, bez wahania by nas zatrzymali. To nie przypadek. To logiczne konsekwencje konkretnych działań oraz naszych zachowań.

W konsulacie argentyńskim załatwiłem wszelkie pozwolenia. Nie obyło się bez problemów, ale pieniądze rozwiązują większość z nich. A jednocześnie uciszają, co jest dla mnie szczególnie ważne.

Już prawie się udało. Nie wyobrażam sobie, by coś mogło nie pójść po mojej myśli. Właściwie od początku byłem przekonany, że nic mi się nie może przydarzyć. Josef Mengele wychodził z gorszych opresji i zdawał w życiu trudniejsze egzaminy.

Potrzebuję ostatniego dokumentu. Włoskiej wizy wyjazdowej z pieczęcią prefektury portowej. Włosi zazwyczaj nie robią problemów. Każdy, kto zdawał się mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do oryginalności moich dokumentów, przymykał oko. Ewentualnie porozumiewawczo się uśmiechał lub kiwał głową. Oni nie mają z przeszłością takiego problemu, jaki mają niektórzy Austriacy i Niemcy. Są spokojniejsi, a przede wszystkim pogodzeni ze swoim losem. Może uważają się za zwycięzców?

– Proszę – podsuwam urzędnikowi wszystkie wymagane papiery. Właściwie powinno go interesować tylko zaświadczenie od Argentyńczyków. Wraz z człowiekiem pozbywają się przecież problemu. – Potrzebuję jedynie pańskiej pieczętki.

Włoch cicho mlaszcze i znudzony sięga po dokumenty. Jest otyły, o nalanej twarzy oraz wytrzeszczonych oczach. Ma flegmatyczne ruchy kogoś, komu nic się nie chce.

– Do Argentyny? – pyta zamyślony.

– Tak. Właśnie tam.

– Mhm.

Jego „mhm” jest jakieś dwuznaczne. Jednocześnie zerka na mnie i bacznie mi się przygląda. Przebiega mnie nieprzyjemny dreszcz. Mimo że jego wzrok jest spokojny i nie ma w nim za grosz przenikliwości, sprawia, że moje serce zaczyna bić mocniej. Przeszuję z nogi na nogę. Tymczasem urzędnik ponownie zerka w papiery i pośpiesznie je przekłada. Nagle rzuca je na blat biurka, po czym uderza w metalowy dzwonek.

– To fałszywe dokumenty – cedzi, pochylając głowę.

Nim dociera do mnie sedno tych słów, drzwi obok mnie się otwierają i do pomieszczenia wpada dwóch żandarmów. Natychmiast stają po moich dwóch stronach.

– Aresztujcie go – nakazuje Włoch. – Musimy dokładnie go zweryfikować. Chyba ktoś tu próbuje uciec... Kim pan jest?

101.

Wypowiedziane z uśmiechem zapewnienie, że w mojej sprawie zostanie przeprowadzone śledztwo, przyprawia mnie o mdłości. Raz po raz przed oczami staje mi twarz tamtego urzędnika. Dlaczego to zrobił? Dlaczego zlekceważył tkwiące w dokumentach pieniądze? Słyszałem o mściwych przeciwnikach faszyzmu, ale obiecywano mi, że we Włoszech nie ma ludzi nieprzekupnych. Drobne kwoty miały rozwiązać wszystkie problemy. Tymczasem...

– Dowiedzą się, kim pan jest – szepcze osadzony ze mną w areszcie Austriak. Nie przedstawiliśmy się sobie, ale nie mam wątpliwości, że to nie jest zwykły kryminalista. – Wystarczy, że zwrócą się do Amerykanów.

– Zna mnie pan? – pytam zaskoczony.

– Powiedzmy, że wiem o panu co nieco.

Przetykam ślinę. Spuszczam głowę i odwracam się do tego mężczyzny bokiem.

– Zapewne ma mnie pan za kogoś innego – szepczę. – Nie sądzę, byśmy się kiedykolwiek widzieli.

– Widzieli? Nie, nie... To ja widziałem pana, panie doktorze.

Serce dudni mi z całą mocą, a oddech przyśpiesza. Odruchowo zaciskam zęby.

– Wątpię... Nie jestem żadnym doktorem, tylko...

– Proszę się nie pogrążyć. Kim pan jest? Saksońskim chłopem, który mimowolnie nuci arie operowe i posługuje się pięknym niemieckim? A może rybakiem z Hanoweru?

Mężczyzna uśmiecha się pogardliwie i spogląda mi prosto w oczy. Chwyta mnie za rękę. Ma żółtą, pociągłą twarz oraz szczeciniasty, nierówno ogolony zarost. Jego pomarszczona szyja przypomina szyję zółwia. Ma około sześćdziesięciu, może siedemdziesięciu lat. Błękitne, duże oczy są bystre, a brwi cienkie i rzadkie.

– Czytywałem te propagandowe śmieci – mówi ironicznym tonem. – Mam dobrą pamięć do twarzy i nie sądzę, żebym się pomylił. Czy wyznaczono za pana nagrodę? Chodziły słuchy, że za pomoc w odnalezieniu zbrodniarzy będą wręczane nagrody...

Cierpnę. Teraz zaczynam rozumieć ten sarkazm. Nie wiem, kim jest ten człowiek, ale po prostu chce zarobić. Nic go nie powstrzyma przed doniesieniem urzędnikom, kim jestem. Już jest pewny, że zdobył jakąś fikcyjną nagrodę. Jego twarz wykrzywia się w chytrym grymasie. Zastanawiam się, czy próbować go zaatakować, czy raczej podjąć pertraktacje. Jest dość drobny i sądzę, że mógłbym sobie z nim poradzić. Wystarczyłoby kilka ciosów w głowę lub w sploty nerwowe. Może lepiej go udusić?

Ale co potem?

Powiem, że mnie zaatakował. Przekonam ich...

Pot spływa mi po plecach, ale decyzja jest podjęta. Zaciskam pięści i szykuję się do ataku. Krew wręcz dudni mi w uszach.

– Dość... – cedzę.

Wyrywam się z jego uścisku i przybieram pozę do ataku. Choć mężczyzna odskakuje, nie powinienem mieć żadnego problemu, aby go powalić. Uduszę go. To będzie najlepsze wyjście.

Biorę zamach pięścią, ale w tym samym momencie szczęka zasuwa w drzwiach. Po chwili staje w nich strażnik. Opuszczam dłoń i zwieszam głowę.

Już po wszystkim.

To koniec.

102.

Spoglądam na urzędnika prefektury i zaskoczony dostrzegam na jego twarzy wyraz zmieszania. Na pызatych policzkach widnieje rumieniec.

– Jest pan wolny – oznajmia Włoch. – Przepraszam za zamieszanie.

Odbieram od niego dokumenty i wciąż nieufnie rozglądam się wokół. Czy to nie pułapka? Czy w jakiś sposób nie chcą mnie zrobić? Może ktoś wyciągnie zaraz pistolet i zastrzeli mnie, by potem przekonywać, że próbowałem uciec?

Nie, po co mieliby to robić właśnie tutaj? Znacznie więcej szans mieli w areszcie, gdzie wszystko byłoby też bardziej wiarygodne.

– Jeszcze raz przepraszam – powtarza Włoch. Wstaje od biurka i podaje mi rękę. Wymieniamy uścisk, a on tylko przelotnie zerka mi w oczy. – Powodzenia – szepcze, a ja nic z tego nie rozumiem.

Bez słowa odwracam się i wychodzę na korytarz. Gdy zamykam za sobą drzwi, natychmiast spostrzegam wysokiego, nieco

przygarbionego mężczyznę w jasnym garniturze. Uśmiecha się do mnie znacząco i przywołuje mnie gestem, bym podszedł w jego stronę.

– Panie doktorze... – wita mnie skinieniem głowy.

– Czy...

– Nie, nie znamy się. Oględnie mówiąc, jestem znajomym znajomego.

Mówi po niemiecku, ale z lekkim zagranicznym akcentem. Może to Włoch? A może Argentyńczyk? Ma smagłą cerę i małe, ciemne oczy. Okrągłe okulary oraz ciasno zawiązany krawat nadają mu wygląd intelektualisty.

– Proszę za mną. Mamy niewiele czasu.

Odwraca się i pośpiesznie rusza w stronę wyjścia. Nie zwracając na nikogo uwagi, mijają pałętających się po korytarzu urzędników oraz wojskowych. Podążam za nim. Wreszcie, gdy znajdujemy się na zewnątrz, zrównuje się z nim ramię w ramię.

– Znajomy znajomego? – pytam cicho. – Dokąd idziemy?

Nie odpowiada. Wskazuje głową w stronę wybrzeża. W porcie jest gwaro, a nad nami lata stado mew. Włoskie dzieci rzucają im zeschnięte pieczywo, którego ponoć same nie mają w nadmiarze. Nagle, gdzieś z bocznego zaułka, pojawia się niski chłopiec o zmierzwionych włosach i szerokim czole. Krzyczy do nas, po czym na coś wskazuje.

– Ach, tak. – Mój towarzysz daje znać, bym ruszył w tamtą stronę. – To chyba pańskie?

Zaskoczony zdaję sobie sprawę, że chłopiec przyprowadzi moją walizkę oraz torbę podróżną. Odebrano mi je w prefekturze i uznałem, że już ich nie odzyskam. Najbardziej obawiałem się, że ktoś odnajdzie ukryte pod podszewką dokumenty.

– Proszę ich pilnować – rzuca mężczyzna. – W trakcie rejsu ponoć dzieją się różne rzeczy. Na pokładach statków grasują złodzieje.

– Rejsu?

– Tak. Oto pański statek.

Nieznajomy kiwa głową w stronę otwartej perspektywy między zabudowaniami portowymi. Kilkadziesiąt metrów przed nami, przy redzie, jest zacumowany ogromny okręt. Na wybrzeżu uwijają się setki pasażerów śpieszących do środka.

– To na niego musieliśmy zdążyć – stwierdza mężczyzna. – Podniesienie cum zaplanowano na samo południe. Mamy więc dwa kwadranse.

Nie mogę w to uwierzyć. Otaczający mnie świat zdaje się nierealny, a jednak wiem, że to rzeczywistość. Udało mi się. Sądzę, że towarzyszący mi mężczyzna został wynajęty przez moich dawnych kompanów z SS. Docierały do mnie słuchy o ich wpływach, lecz jako sceptyk miałem co do nich oczywiste wątpliwości.

– Proszę na siebie uważać.

Mężczyzna wsuwa mi coś do kieszeni i nie mówiąc nic więcej, odchodzi. Nie zamierzam się z nim żegnać ani za nim krzyżeć. Każdy ma swoje zadanie do wykonania.

Owszem, będę na siebie uważał. Chwytam walizkę i torbę, po czym ruszam w stronę statku. W kieszeni mam bilet na rejs do Argentyny. Nie muszę tego sprawdzać.

103.

Czterooosobowa kabina na dolnym pokładzie nie ma nawet bulaja. Znajduje się w środku statku, przez co jeszcze mocniej odczuwa się w niej bujanie, a wypełniający ją smród nie ma dokąd uciec. Wydaje się, że tę ograniczoną przestrzeń wręcz wypełnia okropny zaduch wymiocin i moczu. Zamiast szumu fal słychać w niej łoskot silników oraz zgrzyty stalowej konstrukcji.

Dwóch towarzyszących mi mężczyzn cierpi na chorobę morską. Bez przerwy wymiotują, ich twarze są zielone, a oczy przekrwione. Przyglądam się im z zaciekawieniem. Nigdy nie badałem pacjentów pod kątem właśnie tej choroby. Znane są mi pewne sposoby leczenia, lecz nie mam przy sobie żadnych środków. Poza tym intrygujące jest analizowanie kolejnych stadiów odwodnienia. Ci mężczyźni nie zważają na moje rady i niemal niczego nie piją. Zdaje się im, zresztą poniekąd słusznie, że każdy płyn jeszcze pogarsza ich samopoczucie.

Chowam notes do torby i zamykam zatrask. Wolałbym, aby nikt nie zajrzał do tych zapisków, choć nie ma w nich nic kompromitującego. Nie wiem, dlaczego wciąż prowadzę tę relację. Nie potrafię przestać systematyzować swoich myśli w formie spisywanych uwag. To silniejsze ode mnie, choć zdaje mi się, że przede wszystkim opiera się na przeświadczeniu, że moje notatki przetrwają dłużej niż ja.

Wstaję z koi i zaczynam się przechadzać w tę i we w tę. Na kilku metrach kwadratowych to trudne, lecz staram się rozprostować mięśnie. Nie chcę wychodzić na korytarz, a na górny pokład jako pasażer trzeciej klasy nie mam wstępu. To nie problem. Jesteśmy wystawiani na rozmaite próby, aby stać się doskonalszymi. Choć przyjmując taką prawdę, należałoby pogodzić się również z istnieniem przeznaczenia. Tymczasem uparcie wierzę, że mam los w swoich rękach.

Mój współpasażer odkasłuje i drży. Ociera usta mankietem, a jego oczy zdradzają strach. Spoglądam na zółć w misce, do której przed chwilą wymiotował. Są w niej ślady krwi, ale znacznie mniej, niż można by się spodziewać po ponad tygodniu wymiotowania. Efekt zwykłego podrażnienia przewodu pokarmowego nieustannymi torsjami. Nic więcej.

Znudzony przenoszę wzrok na drugiego mężczyznę. W tym momencie śpi, choć jego oddech jest przyśpieszony, a usta

spierzchnięte. Trzeci pasażer z mojej kabiny znosi podróż najlepiej z nas wszystkich. Zdaje się niczym nie przejmować, choć przypuszczam, że może mieć na to wpływ jego niski intelekt. Wąsko rozstawione oczy, niskie czoło, krótki nos oraz nieco odstające uszy antropometrycznie przemawiają za tym, że jest niedorozwinięty. Trudno mi to jednoznacznie stwierdzić, gdyż nie potrafię się z nim porozumieć. Zdaje się, że jest uchodźcą z Bałkanów.

Z zamyślenia wyrywa mnie ryk syreny statku. Powtarza się trzykrotnie w kilkunastosekundowych odstępach. Śpiący dotąd mężczyzna momentalnie podrywa się i siada na łóżku. Oczy mojego drugiego chorego towarzysza niemal wychodzą z orbit. Tymczasem Bałkańczyk jedynie zerka na znoszony, niegdyś pozłacany zegarek i wymownie kiwa głową.

– Będziemy punktualnie – stwierdza łamanym niemieckim. – Argentyna.

104.

Dalsze losy Josefa Mengelego można odtworzyć między innymi na podstawie zeznań świadków, dokumentów z jego procesów oraz prowadzonego przez niego z przerwami dziennika. Mimo wszystko trudno o jednoznaczne fakty. Dlatego, w myśl przyjętej zasady, aby odtwarzać to, co niepodważalne, odejdę w tym miejscu od dotychczasowego sposobu prowadzenia narracji.

Początkowo, po przybyciu do Argentyny, Anioł Śmierci został zatrudniony w firmie tkackiej jako podrzędny robotnik. Ten okres jego życia bez wątpienia można określić jako rozczarowanie oraz zniechęcenie. Miewał myśli samobójcze. Jednak szybko nadeszła pomoc rodziny. Wkrótce został niemalże oficjalnym przedstawicielem rodzinnego biznesu w Ameryce Południowej. Choć działał pod

przybranym nazwiskiem, jako Helmut Gregor, nawet przesadnie się nie ukrywał. Czuł się bardzo pewny siebie.

W kolejnych latach kilkakrotnie podróżował do Niemiec. Spotykał się z rodziną oraz przyjaciółmi z rozmaitych środowisk naukowych. Uzyskał formalny (sic!) rozwód z Irene, po czym zaczął spotykać się ze szwagierką (po zmarłym bracie) Marthą. Zakochali się w sobie, początkowo wymieniali listy, wreszcie kobieta przyjechała do niego do Argentyny. Zamieszkali w willi na luksusowym osiedlu w Buenos Aires. 25 lipca 1958 r. wzięli ślub. Firma rozwijała się tak dobrze, że małżonkowie przynależeli do najwyższej socjety Argentyny.

Pod koniec lat pięćdziesiątych rozpoczęły się nasilone poszukiwania Mengelego. Jego tropem ruszyli nie tylko izraelscy śledczy, ale również dziennikarze i łowcy sensacji. Uprzedzony przez życzliwych przyjaciół Anioł Śmierci ponownie się ukrył. Zamieszkał na odludnej farmie, sprzedał udziały w firmie oraz willę. Owca

17 listopada 1959 r. zmarł ojciec Mengelego. Mimo początkowych zamiarów Josef nie wybrał się na jego pogrzeb. Uznał to za zbyt ryzykowne. W tym samym czasie osiedlił się w Paragwaju, przy pomocy dawnych popleczników zdobył tamtejsze obywatelstwo i starał się nie rzucać w oczy. Mimo to przesłał na grób ojca wieniec z sentencją „Wyrazy szacunku z daleka”. Paragwaj zdawał się bezpiecznym miejscem, przede wszystkim ze względu na brak umowy ekstradycyjnej z Niemcami. Mengele żył w miarę spokojnie.

W 1960 r. w Argentynie został schwytany przez Mosad Adolf Eichmann. Pojawiły się wieści, że kolejnym celem izraelskiego wywiadu może być właśnie lekarz z Auschwitz. To utwierdziło Mengelego w przekonaniu, że należy ukryć się jeszcze staranniej i prowadzić bezpieczny żywot uciekiniera. Jednocześnie żona oraz przybrany syn Josefa, w uzgodnieniu z nim, wybrali się do Szwajcarii. Stamtąd prowadzili z nim bogatą korespondencję.

Mniej więcej w tym czasie Mengele zdecydował się na ucieczkę z Paragwaju. Przeprowadził się do Brazylii, gdzie po pewnych perturbacjach zakupił plantację kawy w Serra Negra. Nieustannie oczekiwał listów od Irene oraz syna Rolfa (przed którym zdecydował się ujawnić tożsamość, gdyż dotąd występował jako „wujek”). Była żona nie pisała do niego wcale, natomiast syn, mimo jego próśb, nadal go nie odwiedził. Mengele liczył na przełomową wizytę.

Przez te wszystkie dekady Anioł Śmierci otrzymywał od rodziny w Niemczech regularną, miesięczną wypłatę. Były to niebagatelne sumy pozwalające mu nie tylko godnie żyć, ale również w miarę konieczności nabywać nieruchomości (czy też udziały w nich) i zmieniać miejsca zamieszkania. Wreszcie w 1975 r. trafił do São Paulo. Kupił tam dwa mieszkania – w jednym zamieszkał, a drugie wynajął, by mieć kolejne stałe źródło dochodu. W listach zapewniał syna, że kiedyś staną się jego własnością.

W maju 1976 r. Mengele prawdopodobnie doznał niewielkiego udaru. Po kilku tygodniach wrócił jednak do jako takiej formy fizycznej, choć jego stan psychiczny opierał się na huśtawce nastrojów.

Tymczasem nadszedł 7 lutego 1979 r.

105.

Panuje wyjątkowy upał. Od kilku dni temperatury utrzymują się powyżej wszelkich statystycznych średnich. Do tego dochodzi potworna wilgotność powietrza. Wyjazd z São Paulo do nadmorskiej Bertogi był koniecznością.

W wyprawie towarzyszą mi przyjaciele, Wolfram oraz Liselotte Bossertowie z dwójką dzieci. Jestem dla nich wujkiem, a i oni stali się dla mnie namiastką rodziny. Namiastką normalności.

– Ale tłum... – Wolfram z rezygnacją kręci głową. Na plaży rzeczywiście jest mnóstwo ludzi złaknionych chwili oddechu. – A pomyśleć, że grzeje tu tak samo jak w głębi łądu.

– Tyle że niebawem zerwie się wiatr znad oceanu – zauważam. – To powinno przynieść nieco ochłody.

– Nieco...

Upał i tłum nie przeszkadzają rodzeństwu Bossertów z wrzaskiem radości pognać do wody. Ich matka czujnie je obserwuje, tymczasem Wolfram daje mi ukradkiem znać, byśmy odeszli na bok. Uśmiecham się do niego.

– Popływamy na uboczu – stwierdza do małżonki. – Pilnuj dzieciaki, a my oddalimy się od tego tłumy.

– Jasne – odpowiada Liselotte. – Ale lepiej wróćcie tu przed kolacją.

– Jest jeszcze mnóstwo czasu.

Zerkam na zegarek. Nie ma jeszcze siedemnastej, więc faktycznie mamy co najmniej dwie godziny. Planowaliśmy wynająć jeden z domów przy plaży, ale decyzję uzależnialiśmy od zatłoczenia okolicy. Teraz wydaje mi się, że może być problem choćby ze znalezieniem wolnego miejsca.

– Chodź, zaraz się ugotuję – pośpiesza mnie Wolfram.

Zdejmuję zegarek oraz koszulę. W samych kąpielówkach podążam za przyjacielem. Po kilku minutach oddalamy się od głównej plaży na tyle, że przynajmniej w oceanie nie ma tłoku.

– Tu?

– Tu – zgadzam się, po czym kierujemy się prosto do wody.

Fale leniwie obmywają brzeg, a niebo jest całkowicie bezchmurne. Ocean delikatnie chłodzi, choć wejście do niego nie jest nieprzyjemne. Nie trzeba się przyzwyczajać przed całościowym zanurzeniem.

– Czuć lekki prąd – zwraca uwagę Wolfram. – Ponoć to się tutaj zdarza nader często.

– Przynajmniej jakaś atrakcja.

Uwielbiam pływać. Zawsze byłem dobrym pływakiem i gdy zanurzam się w ocenie, czuję całkowite odprężenie. Robię dwa wymachy rąk, a następnie obracam się na plecy. Co za cudowny dzień! Dawno nie bawiłem się tak dobrze.

106.

Płynę powoli, delektując się każdym ruchem. Jestem zaledwie kilkadziesiąt metrów od brzegu, choć w tym miejscu nie ma tak wielu ludzi jak przy wejściu na plażę. Rzeczywiście prąd jest mocny i potrzeba sporo wysiłku, aby sobie z nim poradzić. Płynę równolegle do plaży, szukając miejsca, gdzie będzie się rozchodził. Tam skieruję się już na ląd. Mam sześćdziesiąt osiem lat i prawo czuć się zmęczony.

Szlag. Wymachy rąk sprawiają mi coraz więcej problemu. Łapię zadyszkę, a w głowie zaczyna mi się kręcić.

Szlag.

Oblewa mnie nagła fala gorąca. Wiem, że to nie kwestia temperatury wody. Przed oczami pojawiają mi się mroczki i nagle jakbym tracił równowagę.

Do tego nie mam czucia w prawej ręce. Nie mogę nią poruszać. Bezwładnie opada i zaczyna mi ciążyć, podobnie jak cała prawa połowa ciała.

Szlag.

Wciągam do płuc sporo wody i zaczynam się dławić. Staram się odkaszlnąć, lecz nie jestem w stanie. Między kolejnymi rozpaczliwymi ruchami usiłuję unieść dłoń, przyzywając na pomoc Wolframa. Chyba widzi, że coś się ze mną dzieje. Jest oddalony o niespełna pięćdziesiąt metrów.

Kolejny raz wraz z oddechem zachłystuję się wodą. Czuję jej ostry, słony smak. Mam wrażenie, że rozsadza mi płuca i przewód

oddechowy. Mam zdarte gardło, choć nie wydobywa się z niego krzyk.

Pamiętam eksperymenty wodne z więźniami. Pamiętam, że kiedyś ojciec zabrał mnie na ryby.

Pomocy! Ratunku...

Wolfram jest już niedaleko, a mimo to jego postać niknie między falami. Ocean wygładza się, by zaraz spaść na mnie z łoskotem. Nie potrafię rozróżnić go od nieba. Otacza mnie jednorodna, ciemna masa.

Czy właśnie taki jest koniec?

– Josef!

Wolfram chwyta mnie pod ramię i zaczyna holować do brzegu. Czuję to tylko przez moment. Opadam na dno oceanu, jakby ściągało mnie samo piekło.

Anioł Śmierci. Czy to o mnie mówiono w ten sposób? Nie, chyba nie... Boję się. I jest mi przeraźliwie zimno.

Tak. To koniec.

A więc po drugiej stronie są tylko zimno i ciemność...

Josef Mengele, mimo że został wyciągnięty na brzeg, nie przeżył. Został pochowany na cmentarzu Nossa Senhora do Rosário na przedmieściach São Paulo. Kilka lat później niemieccy śledczy trafili na jego trop.

6 czerwca 1985 r. dokonano ekshumacji i potwierdzono, że ciało złożone w grobie należało do niego. 14 lipca 1986 r. prokuratura formalnie zamknęła śledztwo w sprawie Anioła Śmierci.

—=FADE TO BLACK=—

[9] Naczelny lekarz obozowy.

[10] Mengele został lekarzem obozowym w podoboziu B IIe Auschwitz-Birkenau przeznaczonym dla Cyganów.

[11] W trakcie „kuracji” na świerzb dziesiątki więźniów zmarły w związku z wyziębieniem organizmu oraz zapaleniem płuc, na które zapadali z powodu wielogodzinnego stania nago na dworze.

[12] Potoczna nazwa grup roboczych zajmujących się usuwaniem popiołów pozostałych po kremacji.

POSŁOWIE

Po raz kolejny rzeczywistość przerasta najbardziej przerażającą fikcję, czyż nie? Postać Josefa Mengelego była do tego wyjątkowo intrygująca. Tak, przyznaję, że umysły zbrodniarzy pasjonują mnie, choć nie posunąłbym się do fizycznego krojenia ich na kawałki, by dokonać ewentualnego porównania. Nawet gdybym miał taką możliwość.

Jednak proces pisarski, i to polegający na stworzeniu obrazu w narracji pierwszoosobowej czasu teraźniejszego, ociera się o ową wiwisekcję. Uczestniczyliśmy w niej zresztą wszyscy. I ja, i Państwo, którzy dobrnęli do tych słów. Jak to o nas świadczy? Ciekawość jest ponoć pierwszym stopniem do piekła, a jednak... Pewnym jest, że im bardziej złożona osobowość, tym bardziej fascynująco zaspokaja się ową ciekawość.

Czy gdyby naziści nie doszli do władzy i nie wybuchła wojna, Mengele zostałby poważanym naukowcem? A może stałby się przykładem szalonego doktora przeprowadzającego nieetyczne eksperymenty na zwierzętach? To już tylko domysły, których nie chcę snuć. Skupiałem się na faktach i to sfera rzeczywistości jest dla mnie najważniejsza.

Mimo wszystko w kontekście działań tego lekarza oraz filozofa (a może raczej absolwenta studiów lekarskich i filozoficznych) warto wyciągnąć nauczkę na przyszłość. Najważniejszą jest ta, by zrobić wszystko, aby historia nie zatoczyła koła. Kolejne pokolenia nie mogą

dopuszczyć, aby czasy splugawiły się na tyle, by stworzyć sprzyjające okoliczności do rozwoju nowych Mengelów. To nasza odpowiedzialność. Nie pozwólmy manipulować swoimi obawami oraz potrzebami. Ale nie wierzymy też ślepo w demokrację. Musimy mieć własne mózgi i nie możemy pozwolić ich pokrajać. Przynajmniej za naszego życia.

Ukłony
Max Czornyj

Clauberg Carl – w maju 1945 r. trafił do niewoli sowieckiej, a następnie został przetransportowany do Rosji. W 1948 r. skazano go na 25 lat pozbawienia wolności. W 1955 r. przekazano go władzom RFN. Zmarł w 1947 r.

Entress Friedrich – w 1946 r. został skazany przez amerykański sąd wojskowy w Dachau na karę śmierci. Wyrok wykonano w maju 1947 r.

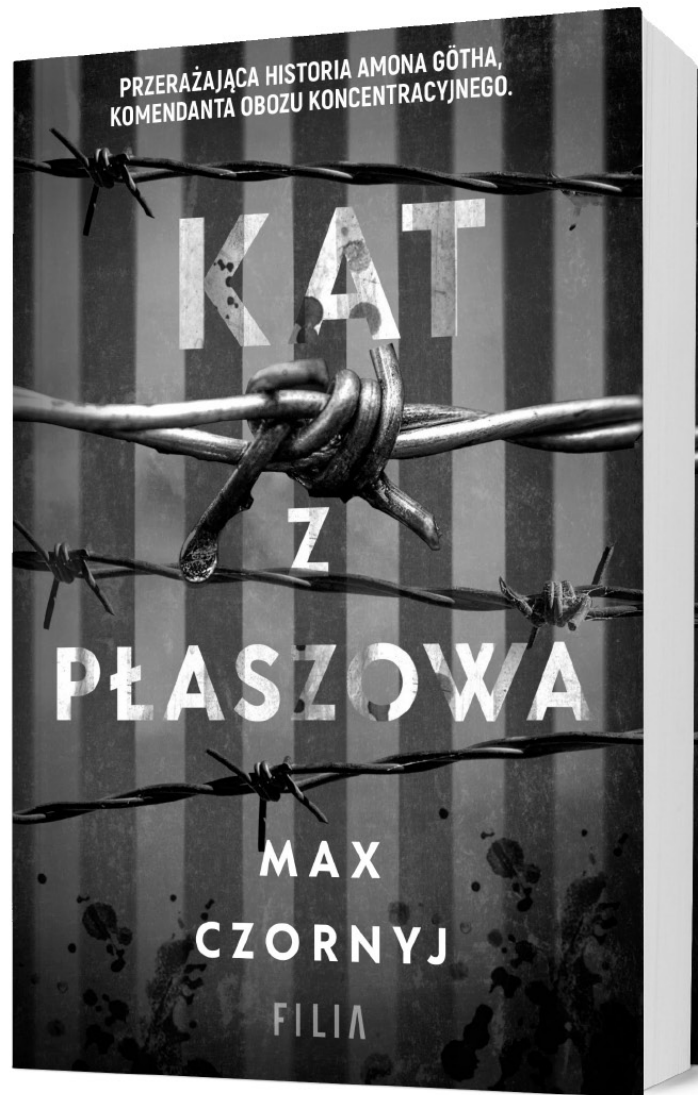
Höß Rudolf – po wojnie ukrywał się, lecz został ujęty w marcu 1946 r. Wydano go władzom polskim. Po kilkutygodniowym procesie, 2 kwietnia 1947 r. skazano go na karę śmierci. 16 kwietnia 1947 r. wyrok wykonano przez powieszenie na terenie obozu w Oświęcimiu.

Schumann Horst – przez pierwsze lata po wojnie ukrywał się. W 1949 r. założył praktykę lekarską w Gladbeck. Po rozpoznaniu uciekł do Afryki, gdzie pracował jako lekarz między innymi w Libii oraz Nigerii. Ponownie rozpoznany w Ghanie w 1966 r. został przekazany RFN. W 1972 r. ze względu na problemy zdrowotne oskarżonego proces zawieszono, a Schumann został zwolniony z aresztu. Zmarł w 1983 r.

Verschauer Otmar – po wojnie nadal prowadził badania naukowe, od 1959 r. był kierownikiem Instytutu Antropologii Uniwersytetu we Freiburgu. Zmarł w 1969 r.

Wirths Eduard – w lecie 1945 r. poddał się wojskom brytyjskim. 20 września popełnił samobójstwo.

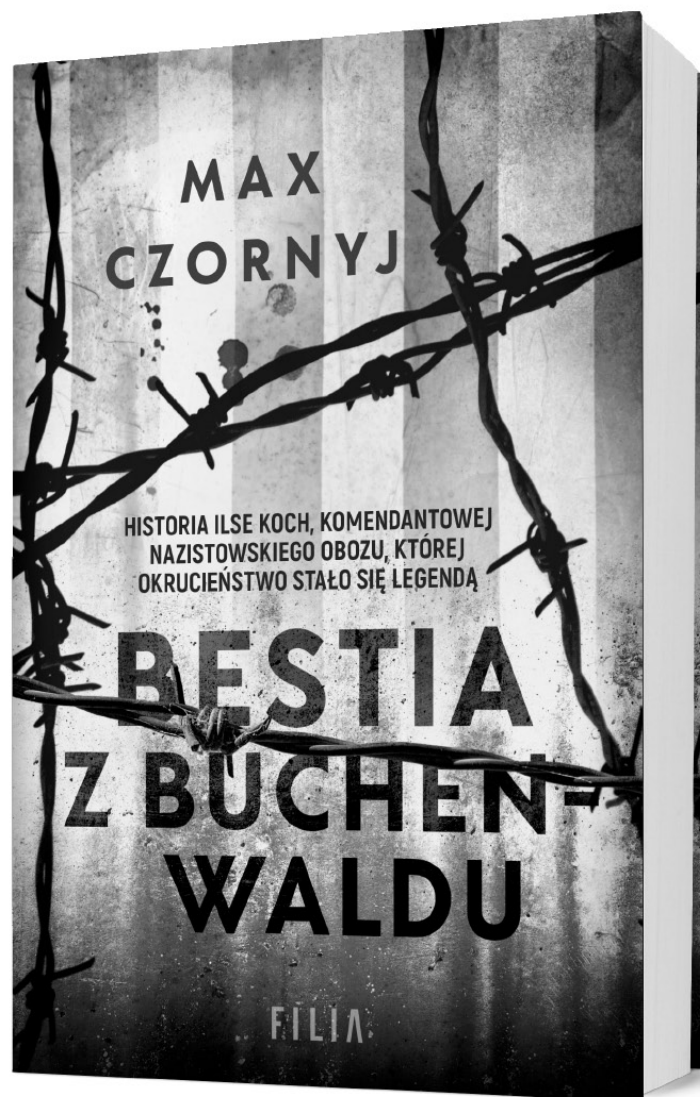
Przerażająca historia Amona Götha,
komendanta obozu koncentracyjnego.



FILIA

NA FAKTACH

Historia Ilse Koch, komendantowej nazistowskiego obozu, której okrucieństwo stało się legendą.



FILIA

NA FAKTACH

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

* * *

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

MENGELE ANIOŁ ŚMIERCI

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

- 16.
- 17.
- 18.
- 19.
- 20.
- 21.
- 22.
- 23.
- 24.
- 25.
- 26.
- 27.
- 28.
- 29.
- 30.
- 31.
- 32.
- 33.
- 34.
- 35.

KL AUSCHWITZ

- 36.
- 37.
- 38.
- 39.
- 40.
- 41.

42.
43.
44.
45.
46.
47.
48.
49.
50.
51.
52.
53.
54.
55.
56.
57.
58.
59.
60.
61.
62.
63.
64.
65.
66.
67.
68.
69.

70.
71.
72.
73.
74.
75.
76.
77.
78.
79.
80.
81.
82.
83.
84.
85.
86.
87.
88.
89.
90.
91.
92.
93.
94.
95.
96.
97.

- 98.
- 99.
- 100.
- 101.
- 102.
- 103.
- 104.
- 105.
- 106.

POSŁOWIE

* * *

Reklama 1

Reklama 2

Karta redakcyjna

Copyright © by Max Czornyj, 2022
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2022

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: domena publiczna

Redakcja: Marta Akuszevska
Korekta: Jarosław Lipski
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-432-4

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA NA FAKTACH